

Steve Shagan

Odkrycie

The Discovery

Przełożył

Dariusz Bakalarz



Dla mego przyjaciela

Vica Morrow

Przekażę ci skarby schowane
i bogactwa głęboko ukryte

Iz 45.3

U wejścia do jaskini w górze Nebo stała wysoka, dumna postać w purpurowej szacie. Syn Amrama opierał się na drewnianej lasce, którą dokonywał cudów. Mojżesz miał sto dwadzieścia lat, ale widok licznych potomków Abrahama, Izaaka i Jakuba nie męczył mu wzroku.

Na pustyni zgromadzili się Izraelici - ramię przy ramieniu, rodzina obok rodziny.

W ich liczbie znajdowali się Izraelici przybyli z Etiopii, Kanaanu, Palestyny i starożytnego królestwa Ebla. Czarno-białe szalasy z koziej skóry wznosiły się na pustyni od brzegów Morza Martwego aż po ruiny Sodomy i Gomory.

Kozy, owce, osły i bydło wyległo również na pustynię. Gdzieś między wzgórzami, zaniepokojona śpiewami i biciem w bębny, żałośnie ujadła sfora szakali.

Ludzie śpiewali pieśń smutku i żałości, ponieważ nastął dzień śmierci ich wielkiego proroka - Mojżesza. Lud Izraela nigdy już nie wyda na świat tak wspaniałego człowieka. Wywiódł ich z egipskiej niewoli i podprowadził aż do granicy Ziemi Obiecanej. Dał im prawo i przykazania Boga, którego nazywali Jahwe i który był dla nich jedynym Bogiem.

Mojżesz po raz ostatni spojrzął z góry Nebo na wzgórza i doliny Kanaanu - Ziemi Obiecanej, do której Jahwe zabronił mu wstępu.

Szakale umilkły. Przestały grać bębny i piszczałki. Nie śpiewali już kapłani. Wojownicy Judy stali na baczność, w słońcu błyszczały ich tarcze i włócznie.

Nad pustynią ani nad wzgórzami nie powiał najmniejszy wiatr. Zaległa idealna cisza - cisza boska.

Słońce rzucało oślepiający blask. Dzieci Izraela spuściły oczy, gdyż nie mogły znieść tej jasności.

Stojący z przodu młody kapłan, potomek rodu Lewiego, zadrżał, gdyż tylko on usłyszał głos Jahwe.

„Itamarze, synu Aarona, wejdź do jaskini wieczności. Znajdziesz tam służbę mego - Mojżesza. On powierzy ci tajemne zadanie, gdyż wybrałem ciebie, abyś przechował moje słowa teraz i na wieki wieków”.

I Itamar osłonił oczy szatą, i ruszył do stóp góry Nebo.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Na powierzchni pustyni wznosił się pięćdziesięcioakrowy piaszczysty pagórek przypominający ogromny pęcherz.

Na Tell Mardikh składały się ruiny osad powstające tutaj od czterech tysięcy lat. Pod powierzchnią, niczym cegła na cegle, leżały warstwy wykopalisk, w których została zapisana historia ludzkości.

Profesor Emilio Sabitini siedział za kierownicą zakurzonego jeepa i spoglądał w zadumie na rumowisko. Przed bezlitosnym syryjskim słońcem chronił go parasol.

Sabitini był dziekanem wydziału zajmującego się badaniami nad Bliskim Wschodem na Uniwersytecie Rzymskim, doskonałym egiptologiem, a także uznanym autorytetem w topografii antycznej.

Sławę zawdzięczał także po trosze temu, że często mylono go z amerykańskim aktorem Benem Gazzarą, do którego rzeczywiście był podobny. Niejednokrotnie, ze swoistym humorem, rozdawał autografy podpisując się nazwiskiem gwiazdora.

W swojej pełnej niezliczonych ekspedycji karierze naukowej, która trwała już prawie trzydzieści lat, nie był w stanie przewidzieć wypadków, które rozegrały się tutaj - na pustyni w północnej Syrii.

Aż trudno uwierzyć, że minęło już pięć lat, odkąd po raz pierwszy wbito łopatę w Tell Mardikh. Tamtego lata Sabitini i jego syryjski kolega, doktor Amin Gamasi, mieli powody aby przypuszczać, iż pod warstwą piasku znajdują legendarne królestwo Ebla.

Spisane w 3500 roku przed Chrystusem sumeryjskie tabliczki wzmiankowały o Ebla i jego ludności niezwykle wyrafinowanej i zaawansowanej w nauce i sztuce. Także tysiąc lat starsze egipskie papiirusy uznają Ebla za ośrodek wiedzy. Stary Testament podaje, że Ebla było miejscem narodzin Ebera. Jednak aż do tamtego lata położenie legendarnego królestwa pozostawało nieznane.

Pierwszy promyk nadziei na zlokalizowanie Ebla pojawił się - jak to zwykle w archeologii - niespodziewanie.

Wiosną 1974 roku w południowym Libanie rolnik orzący ziemię odkrył nie opodal Tyr bazaltowy kamień obustronnie pokryty sumeryjskim pismem klinowym. Ów ciężki rękopis okazał się być pierwszym znanym zapisem przy użyciu znaków bardziej

przypominających litery niż obrazki.

Sabitini i jego współpracowniczka, piękna archeolożka, doktor Gabriella Bercovici zostali wezwani przez opiekuna zabytków w Libanie. Sfotografowali kamień i za pomocą testów węglowych ustalili datę powstania na okres między 3500 a 3400 lat p.Ch.

Po powrocie do Rzymu Gabriella zaczęła tłumaczyć pismo klinowe. Choć nie skończyła jeszcze trzydziestu pięciu lat, należała do czwórki największych znawców bliskowschodnich języków.

Tygodnie nadludzkie wysiłki zaowocowały wstrząsającym odkryciem. Tekst umiejscawiał położenie Ebla - przy szlaku handlowym, na południe od Aleppo i na północ od Damaszku.

Entuzjazm Gabrielli ostudził Sabitini przypominając, że wspomniany teren jest dosyć rozległy i usiany ruinami licznych osad.

Niemal dwa lata spędzili na upalnej syryjskiej pustyni, zanim Sabitini doszedł do wniosku, że starożytne Ebla mogło znajdować się pod Tell Mardikh. Decydujące znaczenie miała wielkość kopca, strategiczna pozycja na głównej drodze do Damaszku i obfitość fragmentów naczyń znajdujących pod powierzchnią ziemi.

Zbadanie Tell Mardikh wymagało czasu i pieniędzy. Trzeba było zorganizować ekspedycję, zapewnić fundusze i współpracę Syryjczyków, a także powołać małą armię specjalistów: lingwistów, rysowników, architektów i metaloznawców. Cały zespół należało zebrać, przetransportować na miejsce poszukiwań i zakwaterować.

Wczesną wiosną 1976 roku, dzięki współpracy doktora Gamasi, udało się zdobyć zgodę Syryjczyków. Ekspedycję finansował Uniwersytet Rzymski, syryjskie Ministerstwo Kultury i konsorcjum prywatnych inwestorów pod nazwą Pyramid International.

Obóz został rozbity na wzór fortów francuskiej Legii Cudzoziemskiej. Pomalowane na biało wysokie, mocne mury osłaniały baraki mieszkalne, pracownie, kuchnię, laboratorium fotograficzne oraz punkt medyczny.

W lipcu 1977 roku włosko-syryjska brygada wydrążyła biegnący ze wschodu na zachód tunel do wnętrza Tell Mardikh. Brnąc przez glinę, muł i kamienie, na głębokości dwunastu metrów dokonano pierwszego znaczącego odkrycia. Przed oczami poszukiwaczy pojawiły się masywne wrota z brązu. Pokryty płaskorzeźbami łuk był pęknięty, ale dzięki Sabitiniemu udało się go scalić. Zachowana płaskorzeźba pochodziła mniej więcej z 1600 roku p.Ch. i przedstawiała ceremonię religijną - grupę odzianych w długie szaty kapłanów, brodatych wojowników i nubijskich niewolników, a za nimi owce, gęsi i krowy. Wszyscy chylili głowy przed bóstwem Kanaanejczyków - Baalem.

Wykopaliska trwały jeszcze kilka tygodni, kiedy nagle zostały wstrzymane przez głównego inżyniera. Owocem tego pierwszego podejścia było podparcie tunelu stemplami, zainstalowanie światła i wypompowanie wody z podziemnych pomieszczeń.

Podczas drugiego sezonu dotarto do komnaty z brązu ze złotym posążkiem dziewczyny-kota Hittite w środku, a także odnaleziono bazaltową statuetkę skrzydlatego lwa, dwadzieścia siedem figurek z terakoty i brązową rzeźbę kanaanejskiego bożka zła - Pazuzu.

Zbadano wiek tych przedmiotów, sfotografowano je, skatalogowano i wysłano do muzeum w Aleppo.

W mrocznych komnatach odnajdowano coraz to nowe przedmioty, ale na żadnym z nich nie doszukano się ani śladu jakiegokolwiek inskrypcji. Wielki kopiec ziemi usytuowany na bliskowschodnim szlaku handlowym wciąż milczał. Powoli gasł zapal poszukiwaczy, gdyż dla archeologa nie ma nic równie ważnego i ekscytującego, jak słowo pisane.

Gabriella była z lekka zdegustowana. Jej umiejętności odszyfrowywania pisma klinowego były ciągle nieprzydatne. Nieoficjalnie objęła stanowisko fotoreportera wyprawy. Podczas prac w komnatach i tunelach aparat nikon był w ciągłym użyciu. Odgłos automatycznie przesuwanej kliszy bezustannie zakłócał ciszę panującą w podziemiach. W przerwach między sezonami wykopaliskowymi układała setki zdjęć w kartotekach Biblioteki Uniwersytetu Rzymskiego. Zrobiła powiększenie fotografii groteskowego bożka zła - Pazuzu i powiesiła je w swoim gabinecie obok zdjęcia podobnej figurki znalezionej podczas ekspedycji do ruin Megiddo w północnym Izraelu. Sama nie wiedziała, dlaczego zainteresowała się tymi pogańskimi bóstwami, jednakże było w nich coś, co ją intrygowało.

Czwartego lata w wyprawie wzięli udział głównie inżynierowie i architekci. Podstemplowano kolejne tunele, przeciągnięto światło i, dla łatwiejszego poruszania się między poziomami, skonstruowano schodki.

Prace wykopaliskowe podjęto w pierwszy poniedziałek lipca, lecz ich kontynuacja stanęła pod znakiem zapytania. Z każdym dniem marzenia o Ebla rozplywały się. Nadal znajdowano posążki i przedmioty użytkowe, jednak archeolodzy zamieniliby całe złoto i wszystkie statuetki na jedną inskrypcję.

Wydawało się, że jakieś starożytne bóstwo ukrywa się pod ziemią i, zwodząc ich, nie pozwala odkryć właściwej tajemnicy - tożsamości i kultury właścicieli znalezionych artefaktów. Pomimo wysoko rozwiniętej nauki i technologii Ebla nadal pozostawało mitem.

ROZDZIAŁ DRUGI

Siedząc w jeepie nie opodał obozu i wspominając minione lata, profesor Sabitini kręcił z niezadowoleniem głową. Spojrzał na kopiec. Wiedział, że piąty sezon poszukiwań może się wkrótce zakończyć.

Prywatni inwestorzy z Pyramid International sugerowali, iż ze względu na brak postępów mogą wstrzymać finansową pomoc. Podobne zniecierpliwienie okazywał kierownik administracyjny Uniwersytetu Rzymskiego, jak i szef syryjskiego Ministerstwa Kultury.

Sabitini westchnął ciężko i pomyślał, że może postawił na Tell Mardikh zbyt pochopnie. Lecz przecież pomyłki i drugie podejścia są w tej dziedzinie czymś normalnym. Wiedza archeologiczna w gruncie rzeczy sprowadza się do instynktu i szczęścia.

Wtem zerwał się wiatr, unosząc tuman kurzu. Kilka ziaren piasku uderzyło go w twarz i wyrwało z zadumy.

Zastanowił się, co mogło zatrzymać Gabriellę, i spojrział na zegarek. Była czternasta piętnaście dwudziestego piątego lipca.

Zamknawszy parasol wysiadł z samochodu i powoli ruszył w stronę obozu.

Do laboratorium fotograficznego wszedł w chwili, gdy Gabriella opuszczała ciemnię. Była boso, ubrana w obcisłe dżinsy i biały podkoszulek z niebieskim napisem: „Let's go Bruins”. Trzymała mokre odbitki i uśmiechała się niepewnie.

- Jeszcze minutkę.

- Ekipa jest już chyba w połowie tunelu.

- Przepraszam, Emilio. Miałam problemy z odczynnikami.

Szybko rozwiesiła zdjęcia na sznurku, usiadła na łóżku i zaczęła wkładać buty.

Sabitini nigdy nie mógł nadziwić się jej naturalnej urodzie. Miała wyraziście zarysowane kości policzkowe, podkreślające głębię jej niebieskich oczu, pełne usta i prosty, nadający twarzy szlachetnego wyglądu, nos. Była wysoka, zgrabna i zawsze dumnie wyprostowana.

Wstała, włożyła kurtkę koloru khaki, wzięła torbę ze sprzętem fotograficznym, poczesła włosy i z uśmiechem powiedziała:

- Gotowe.

Pod ziemią temperatura była niższa o trzydzieści stopni. Sabitini znalazł zmęczoną brygadę na szóstym poziomie.

W mrocznym pomieszczeniu panowała atmosfera zagrożenia, a wilgotne powietrze cuchnęło śmiercią i zgnilizną. Cienie padające na zroszone ściany przypominały duchy dawno zapomnianych pogańskich bóstw.

Nagle dał się słyszeć szcęk łopaty uderzającej o jakiś metal. Sabitini szybko podbiegł do beduińskiego robotnika, uklęknął i delikatnie oczyścił z ziemi brązową figurkę. Podał ją Gabrielli. Natychmiast rozpoznała kanaanejskiego bożka Pazuzu.

- Wiem, o czym myślisz - powiedział. - O koneksjach z Izraelitami.

- Nic takiego nie mówiłam. Ale gdy tego samego bożka spotyka się w Syrii i w Izraelu, sprawa jest godna zainteresowania.

- Miejmy nadzieję, że tylko zainteresowania. Syryjscy przyjaciele nie byliby zachwyceni, gdybyśmy udowodnili obecność Izraelitów w północnej Syrii.

Prace trwały jeszcze godzinę i Sabitini już miał je przerwać, gdy nagle, z głębi korytarza, dobiegł głos kierownika syryjskiej grupy:

- *Maktaba! Maktaba!*

Było to jak grom z jasnego nieba. Po arabsku „maktaba” oznacza bibliotekę. Sabitini i Gabriella pobiegli w tamtym kierunku.

Gdy się zbliżyli, syryjscy robotnicy odsunęli się ukazując w ścianie wybitą dziurę.

- Proszę spojrzeć - doktor Gamasi uśmiechnął się.

Widok rzeczywiście był imponujący. Komnata wyłożona była litym złotem, a na drewnianych półkach leżały tysiące glinianych tabliczek obustronnie zapisanych pismem klinowym. Na środku stał złoty posąg przedstawiający brodatą postać w koronie wybijanej drogimi kamieniami.

Bezsprzecznie wspaniałe odkrycie - wielka i doskonale zachowana królewska biblioteka.

Robotnicy natychmiast wyrąbali otwór wielkości człowieka, aby naukowcy mogli wejść do środka.

Gabriella przyklękła u stóp posągu i starła kurz z wyrytej na cokole inskrypcji. Powoli przesuwiała nad nią lupę. Królewskie imiona przeczytała bez trudu. Składnia zdania nie różniła się zasadniczo od tej, jaką posługiwali się Sumerowie w 3800 roku przed Chrystusem. Król kazał wyryć imię swoje, ojca, a także nazwę narodu, nad którym panował.

Jej ręka drżała, gdy przesuwiała lupę od jednego do następnego słowa.

Cisza raniła uszy, minuty stawały się wiecznością, aż wreszcie wstała.

- *Napis głosi... - Emocje tłumili jej głos. - ...Ręką skryby składam swój podpis. Jam jest Ibbit-Lim, syn Ebera, król ludu Ebla.*

- *Allah akbar!* - wykrzyknął Gamasi.

*

Prace wstrzymano, a wszyscy robotnicy, ustawieni jeden obok drugiego, tworzyli łańcuch biegnący od biblioteki aż do wyjścia. Przechodzące z rąk do rąk gliniane tabliczki, przypominające miodowe pierniki, po długim śnie w ciemnościach wydostawały się na światło dwudziestego wieku. Układano je na dziedzińcu, gdzie były katalogowane i fotografowane.

Wspaniałe odkrycie poruszyło ekipę, która postanowiła to jakoś uczcić. Wyniesiono na dwór stoły i krzesła. Przyniesiono magnetofon. W kuchni krzatali się syryjscy i włoscy kucharze. Nocne powietrze wypełniały zapachy czosnku i słodkich przypraw. Sycylijskie chianti lało się na przemian z mocnym syryjskim arakiem. Ulubione włoskie piosenki przeplatano lirycznymi śpiewami arabskimi.

Tańce, śpiewy i mieszanka różnych języków - oto atmosfera tej radosnej nocy. Z licznych miejsc w obozie na uczujących i świętujących odkrywców spoglądały wykopane przedmioty przedstawiające bożki, posążki i rubinookie kobry z brązu, pamiętające królestwo Ebla sprzed czterech tysięcy lat.

*

Gabriella nie słyszała odgłosów przyjęcia, chociaż pracownia znajdowała się obok biesiadników. Miała zaczerwienione ze zmęczenia oczy i prawą rękę obolałą od wielogodzinnego trzymania szkła powiększającego. W plecach czuła mrowienie, a z czoła spływały na koszulę krople potu. Nie zwracała na to uwagi pochłonięta odszyfrowywaniem pisma klinowego z tabliczek. Była jak opętana. Odczytała tylko sześć słów z tabliczki z pieczęcią króla Ibbit-Lim. Zapis języka Ebla okazał się być skomplikowany.

*

Poczuła rękę Sabitiniego na swoim ramieniu. Drgnęła.

- Już wystarczy - powiedział. - W taką noc nie wypada pracować.

Odłożyła lupę i zakryła oczy dłonią.

- Muszę wracać do Rzymu.

- Dlaczego? Przed nami jeszcze sześć tygodni pracy.

- Nigdy nie spotkałam się z takim językiem. - Wstała i otarła pot z czoła. - Przymiotniki i czasowniki są takie same jak w tradycyjnym piśmie Akkadyjczyków, ale nie mogę odczytać rzeczowników i wychodzą bezsensowne zdania.

- Podpis pod posągiem przetłumaczyłaś bez trudu.

- To były tylko królewskie imiona. Typowa identyfikacja władcy, jego ojca i poddanego ludu. Tabliczki zawierają prawa, pisma handlowe, religijne i historyczne, niestety tak zakodowane, że cholernie trudno cokolwiek zrozumieć.

- Jednak prace wykopaliskowe muszą toczyć się dalej - powiedział stanowczo Sabitini.

- Po co? Mamy dosyć eksponatów. Jeśli rozszyfrujemy ten język, tabliczki powiedzą nam czego i gdzie szukać.

- A nie możesz pracować tutaj?

Pokręciła głową.

- Muszę mieć laboratoryjne warunki. Trzeba wracać, Emilio.

Trudno było podważyć słuszność jej argumentów. Szansa, jaka zaistniała, by przemówiło starożytne Ebla, przedstawiała większą wartość niż kontynuowanie prac wykopaliskowych.

- No dobrze. - Pokiwał głową. - Porozmawiam z doktorem Gamasi.

ROZDZIAŁ TRZECI

Po powrocie do Rzymu Gabriella wraz ze swymi studentami podjęła się arcytrudnego zadania rozszyfrowania eblańskich tekstów.

Z nadzieją na odnalezienie klucza do języka starali się dopasować doń rzeczowniki z różnych starożytnych dialektów semickich. Problem nie polegał na trudności ułożenia poszczególnych elementów, ale na tym, że nie było wiadomo, co do czego dopasować. Nic się nie udawało.

Pewnego niezwykle chłodnego, jak na październik, wieczoru wyszła z pracowni językoznawczej i wróciła do swojego gabinetu na czwartym piętrze. Chwilę się wahała, a potem podeszła do otwartego pianina i jednym palcem wystukała znaną melodię Beatlesów. Po chwili usiadła i zaczęła grać preludium Debussy'ego.

W dzieciństwie uczyła się grać na fortepianie, ale uświadomiwszy sobie, że ma w tym kierunku ograniczone zdolności, postanowiła uprawiać pianistykę jedynie amatorsko. Lubiła kompozytorów klasycznych, choć fascynował ją także jazz. Zwłaszcza styl afroamerykański; zebrała sporą kolekcję płyt z tą muzyką.

Wstała od pianina, zaparzyła mocną kawę, zapaliła papierosa, usiadła wygodnie w fotelu i spojrzała na powiększone zdjęcia Pazuzu. Po raz któryś zaczęła zastanawiać się, w jaki sposób to bóstwo zła występowało zarówno w Izraelu, jak i w Syrii.

Wydmuchując dym rozważała dwie możliwości: historyczną oraz logiczną. Biblijni Kanaaniejczycy zostali po śmierci Mojżesza podbici przez Jozuę. Napływ Izraelitów przypadł na 1260-1240 rok p.Ch.; wówczas zajęli Megiddo, leżące tylko dwieście kilometrów na południe od Ebla.

Czy to możliwe, aby plemiona izraelickie utrzymywały z mieszkańcami Ebla stosunki handlowe? A jeśli tak, to czy istnieje możliwość, że ich języki wymieszały się i przekształciły w nowy dialekt? I nim właśnie zostały zapisane tabliczki z Ebla?

Jej serce zabiło mocniej, ale pokręciła głową. Nie zgadzają się daty. Tabliczki z Ebla spisano dwa tysiące lat przed zajęciem Kanaanu przez Izraelitów.

Westchnęła ciężko i spojrzała przez okno na odległą kopułę Bazyliki św. Piotra.

Rozwiązanie zagadki leżało w zasięgu jej możliwości, wystarczyło tylko skojarzyć odpowiednie fakty. Szybko podeszła do biurka i zaczęła przeglądać kartotekę ze zdjęciami.

Gdy odnalazła fotografię posągu króla Ibbit-Lim, jej ręka zdrząła. Po raz kolejny przeczytała napis na cokole: *Jam jest Ibbit-Lim, syn Ebera...*

Księga Rodzaju wspomina przecież Ebera jako przodka patriarchów izraelskich, może więc warto zainteresować się językiem hebrajskim i posłużyć jego rzeczownikami przy odczytywaniu odnalezionych tabliczek.

Ogarnęło ją poczucie radości i mimo późnej pory zadzwoniła do Sabitiniego. Wysłuchał jej sugestii w milczeniu.

- Biblia to legendy - odezwał się wreszcie ze stoickim spokojem. - A ty traktujesz ją jak zapis faktów.

- Możliwe, ale legendy mają dłuższy żywot niż fakty.

- Ech. - Jego głos stał się cieplejszy. - Uwielbiam kiedy rozumiesz jak Włoszka.

- Zawsze tak robię - odparła. - Przykładasz zbyt dużą wagę do okresu, który spędziłam w Cambridge.

- Za późno na dyskusję o brakach w twoim anglosaskim wykształceniu. Jeszcze coś?

- Chciałabym sprawdzić, czy hebrajskie rzeczowniki z Biblii pasują do pisma klinowego. Przydałaby się ekspertyza specjalisty wojskowego.

- No dobrze - westchnął. - Zadzwoń do generała Grimaldiego. A teraz wracaj do domu, napij się wina i idź spać.

*

Siedzieli po obu stronach oficera obsługującego komputer, mający w pamięci cały słownik języka hebrajskiego.

Sabitini gryzł nerwowo nie zapalone cygaro, a Gabriella przeglądała notatki. Miała niektóre zbiory wyrazów przetłumaczone z pisma klinowego na biblijny hebrajski i chciała uzupełnić je rzeczownikami.

Informatyk wczytał komputerowy program kryptograficzny, a za chwilę zapaliło się światełko sygnalizujące przyjęcie informacji.

- Ponieważ nie znam hebrajskiego - rzekł - będziecie musieli powiedzieć mi, kiedy osiągniemy semantyczną koherencję.

- Naturalnie - odparła Gabriella.

Minęła prawie godzina, zanim na ekranie ukazał się układ siedmiu wyrazów.

- Ma to jakiś sens? - zapytał.

Gabriella skinęła głową, nie odrywając oczu od ekranu.

- Tak. To znaczy: *Wyryłem na wieki wiedzę...* - Przerwała. - Brakuje jednego słowa.

- Znajdziemy - powiedział z nadzieją w głosie oficer.

Sabitini zapalił cygaro i obserwował ekran monitora.

Zdanie powtarzało się, a w miejsce brakującego słowa pojawiały się kolejne rzeczowniki. Żaden jednak nie pasował, aby powstała logiczna całość.

Oficer westchnął i spojrzał na Gabriellę.

- Chyba wykazałem zbyt optymizm. Kończą nam się możliwości.

Spróbował jeszcze raz, przycisnąwszy odpowiednie klawisze. Na ekranie pojawiały się, a potem znikwały setki liczb. Uważnie spojrzał na rezultaty i wystukał ostatnią kombinację.

Gdy komputer wyświetlił propozycję zdania, Gabriella klasnęła w dłonie z zachwytem.

Jeden z hebrajskich rzeczowników dokładnie pasował do zdania: „Jahwe - Bóg starożytnego Izraela.”

Odwróciła się z miną poszukiwacza, któremu się poszczęściło.

- *To znaczy: Odkryłem na wieki wiedzę Jahwe.*

- Bravo! Bravo! - Sabitini ucałował ją i uściśnął dłoń oficerowi, który patrzył na nich z rozbawieniem.

Nie rozumiał ich obsesji na punkcie dochodzenia tajemnic z odległej przeszłości i dziwił się, że tak niewiele potrzeba, aby poprawić im humor.

A było to odkrycie, które rzucało nowe światło nie tylko na zaginioną cywilizację, ale i na obecne stosunki polityczne, z czego Gabriella nie zdawała sobie sprawy. Imię Jahwe na tabliczkach z Ebla świadczyło o tym, że przodkami współczesnych Syryjczyków były plemiona Izraelitów osiadłych w Syrii dwa i pół tysiąca lat przed powstaniem Islamu.

*

Sabitini zaprosił ją na lunch do malej przytulnej restauracyjki na Piazza Farnese. Po spaghetti z cielęcina i deserze ze świeżych wiśni oraz domowym cięście Sabitini zamówił brandy i dwie kawy. Gabriella szybko i z przejęciem opowiadała, jak powołają specjalistów do przetłumaczenia tabliczek z Ebla.

Profesor zdawał się słuchać, ale myślami był daleko.

- O co chodzi? - zapytała. - Co cię gnębi?

- Myślę o sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy.

- Nie rozumiem?

- Bliskowschodni politycy będą chcieli nas powstrzymać przed ogłoszeniem wyników badań.

- Chyba wypiliśmy za dużo wina. O czym ty mówisz?

- Pomyśl, Gabriello. - Nachylił się do niej. - Jeśli informacje o związkach Syryjczyków z Izraelitami dostaną się do tamtejszej albo zachodniej prasy, nie otrzymamy już

zezwolenia na powrót do Ebla.

- Ale dlaczego?

- Nie można zapominać o kulturze i mentalności Syryjczyków - wyjaśniał. - Poza tym rząd Izraela może uznać tabliczki z Ebla za dowód na dawną przynależność Syrii do Izraela.

Nie wolno ignorować pięciu wojen, a stoimy być może w obliczu nowego konfliktu.

- Ale jeśli Syryjczycy dowiedzą się, że tak naprawdę walczą ze swoimi braćmi?

Sabitini westchnął i pokręcił głową. Podziwiał jej urodę i inteligencję, jednak polityczna naiwność z lekka go irytowała.

- Wierz mi, Syryjczyków nie ucieszyłaby wiadomość, iż są trzynastym plemieniem izraelickim.

- Skąd wiesz? - zapytała ze złością. - Jesteś politycznym prorokiem?

- Znam bliskowschodnich polityków.

- A niech to wszyscy diabli! Mam po dziurki w nosie polityków i papierowych dyktatorów. Jesteśmy, do cholery, naukowcami, nie? Naszym zadaniem jest dostarczanie informacji. A może jednak, gdyby Syryjczycy i Izraelici dowiedzieli się o łączących ich więzach, ustałyby krwawe mordy.

- Uwielbiam - Sabitini się uśmiechnął.

- Co? - zapytała zaskoczona.

- Twoje wybuchy złości. Przypominają o szlachetnym, włoskim pochodzeniu.

- A ja nienawidzę, jak wszystko obracasz w żarty.

- To najlepszy sposób na życie.

- Nie, to twój cynizm.

- Raczej pragmatyzm - odparł spokojnie. - Wiem, że proszę o rzecz niemożliwą, ale nie mamy wyboru. - Wziął ją za rękę. - Do odczytania pozostało kilka tysięcy tabliczek. Na razie trzeba wszystko trzymać w tajemnicy.

- Tego nie mogę obiecać. Docieranie do historycznej prawdy to jedyna rzecz, w jaką wierzę.

- Pamiętaj, że Ebla przez cztery tysiące lat leżało pod ziemią. Teraz jeden błąd może je pogrzebać na nowo. Rozumiesz?

- Tak - westchnęła.

*

W następnym tygodniu Gabriella skoncentrowała się na odszyfrowywaniu tabliczek. Odczytano wiele przepowiedni, z których niektóre już się spełniły - wypędzenie Dzieci Izraela z Ziemi Obiecanej i ich powrót po dwóch tysiącach lat. Natomiast inne, jak dotąd,

były niezrozumiałe - Megiddo miało być miejscem wyniszczającej bitwy armii Szatana i stronników Jahwe. Rezultat nie został podany.

*

Pewnego słonecznego poranka Gabriella dowiedziała się o rewelacyjnym odkryciu. Jeden z jej studentów przetłumaczył testamenty wybitnych ludzi Ebla. Ich imiona spisane były według zawodów: wojownicy, kupcy, politycy i ważne osobistości. Znajdowała się tam również zadziwiająca notatka: *Ja, Itamar, syn Aarona, posłaniec Mojżesza, strażnik ostatnich słów Jahwe, pragnę, by moje szczątki zostały złożone w krypcie Ibbit-Lima, króla Ebla.*

Tekst był niewiarygodny - wzmianka o izraelskim kapłanie oraz o wielkim proroku Mojżeszu. Ale najbardziej ekscytowała wiadomość, że być może gdzieś, w ruinach Ebla, leżą ostatnie słowa Boga.

*

Gabriella weszła do gabinetu Sabitiniego i położyła na biurku przetłumaczone słowa Itamara.

- Dzisiaj rano przyniósł mi to student.

- Zawsze nosisz dżinsy? - zapytał Sabitini z uśmiechem.

- Daj spokój, Emilio. Spójrz na to.

Załóżył okulary i długo wpatrywał się w słowa kapłana.

- Skąd to pochodzi?

- Ze zbioru testamentów. Co może znaczyć „posłaniec Mojżesza”?

Sabitini wzruszył ramionami.

- A co znaczy „strażnik ostatnich słów Jahwe”?

- Odpowiedź leży w Ebla. Musimy umieścić to w planie badawczym.

- Spróbuję z Gamasim jeszcze raz.

- Jak to jeszcze raz?

- Dzwoniłem do niego w ubiegłym tygodniu w sprawie wiz. Powiedział, że ważą się losy naszej ekspedycji. Gdy spytałem z jakiego powodu, odparł, że w prasie zachodniej ukazał się artykuł o obecności Izraelitów w starożytnej Syrii. Zwierzchnicy postawili Gamasiego w kłopotliwej sytuacji. - Sabitini wstał i spojrzał w okno. - Ostrzegałem, abyś nie wysyłała żadnych wyników badań do Londynu ani Nowego Jorku.

- Nie przekazałam nic, co mogłoby świadczyć o związkach Syrii z Izraelem. Jedyne teksty dotyczące handlu i religii i już przeze mnie odpowiednio zinterpretowane.

- Ale wspomniałaś o użyciu hebrajskich rzeczowników w klinowym piśmie.

- Przecież to jeszcze nie świadczy o tym, że Syryjczycy pochodzą z plemion

izraelskich.

- Według ciebie, ale wszelkie podejrzenia o koneksje Syryjczyków ze zniechodowanym wrogiem są dostatecznym powodem, żeby odmówić nam wiz. Rozumiem twoje postępowanie. Ja chyba zrobiłbym to samo. W naszej pracy liczy się uznanie kolegów i chęć dzielenia się sukcesami. - Objął ją ramieniem. - Stało się. Teraz musimy zabiegać o możliwość powrotu do Ebla.

- Ale jak?

- Nic się nie martw. - Podeszedł do drzwi z uśmiechem. - Pamiętaj, że jestem dalekim krewnym Niccolò Machiavellego, który kiedyś powiedział: „Imperia i państwa można zredukować do domów publicznych, jeśli tylko dobrze się to zaplanuje.”

Cały marzec Gabriella żyła w nieznośnym napięciu. Wisiało nad nimi widmo wygnania z Ebla. Z testamentu Itamara wynikało, że tam właśnie mogło być miejsce jego pochówku.

*

Po spotkaniu z wykładowcą, z którym kiedyś romansowała, usiadła na marmurowej ławie uniwersyteckiego dziedzińca. Propozycja odnowienia związku była kusząca, ale nie potrafiła zaakceptować włoskiego zwyczaju dzielenia nocy między żonę i kochankę.

Spojrzała na siedzącą opodal parę studentów. Chłopak objął dziewczynę ramieniem i szeptał jej coś do ucha. Uśmiechnęła się zalotnie i przytuliła do niego.

Obserwując ich poczuła, że ogarniają smutek i samotność. Pokusiła się o wspomnienia ze studenckich lat w Cambridge, kiedy to zakochała się w pewnym młodym Amerykaninie. Odtwarzała w myślach małe przytulne puby i koncerty w Albert Hall, kluby jazzowe na Carnaby Street i Szekspira w Aldwych oraz T.S. Eliota, Sylwii Plath, Purcella i Beatlesów, a także długie spacerunki w jesienne popołudnia, wkuwanie do egzaminów i miłosne wieczory spędzane w ciszy, bez słów...

Skończył się semestr i chłopak musiał wracać do domu. Związek trwał jakiś czas dzięki miłosnym listom. Tamten okres na zawsze pozostał w jej wspomnieniach jako piękna romantyczna przygoda. Potem miała jeszcze kilka romansów, ale już nigdy nie przeżyła takiej pełnej radości z obcowania z innym człowiekiem.

Westchnęła pogodzona, że praca nie pozwala jej na trwalsze związki. Im głębiej i dokładniej poznawała tajemnice przeszłości, tym brzydsza i mniej ciekawa wydawała jej się teraźniejszość. Zamknęła oczy i zwróciła twarz ku gorącemu rzymskiemu słońcu. Poczowała w głowie wypite wino. Z rozmarzenia wyrwał ją znajomy głos.

- Uważaj, szkoda tak pięknej skóry.

Otworzyła oczy i ujrzała Sabitiniego.

- Chodźmy na spacer - zaproponował.

Minęli grupkę studentów prowadzących ożywioną rozmowę.

- Nareszcie wiosna - powiedział. - Odradza się w nich chęć do życia.

Gabriella milczała. Spozrzegł, że jest smutna i w melancholijnym nastroju. Pod maską energicznej asystentki dojrzał kobietę nie spełnioną w życiu osobistym.

- Co się stało? - zapytał.

- Nic, rozmyślałam o Londynie, starych piosenkach Beatlesów i przystojnym chłopcu.

- Ech, te wspomnienia z dzieciństwa.

- Być może jest w nich więcej prawdy niż we wszystkich wykopaliskach, jakie w życiu widziałam.

Zatrzymał się i objął ją ramieniem.

- Posłuchaj, Gabriello, jedyna prawdziwa rzecz w życiu to konieczność przetrwania. Romanse to luksus dla młodych, którzy nie znają nic lepszego, i dla starców, którzy coś lepszego znać powinni. Romans to tylko chwila nieuwagi. Nic więcej.

- Łatwo ci mówić. Jesteś szczęśliwie żonaty.

- Nikt nie jest w małżeństwie do końca szczęśliwy - powiedział, ruszając naprzód. - Pierwszą ofiarą małżeństwa jest miłość i nie ma w nim nic do powiedzenia. Kluczem do utrzymywania małżeństwa jest wyczerpująca praca. Wtedy nie ma czasu na dążenie do zmian.

- A jak tłumisz emocje?

- Treningi - uśmiechnął się. - Telewizja. Mecze. Dobre wino i od czasu do czasu jakieś urozmaicenie. - Mrugnął okiem.

- Boże, jakie to smutne.

- Tylko dla Anglosasów. My jesteśmy mieszkańcami Morza Śródziemnego. Romanse tu nigdy się nie kończą, bo wcale nie istnieją. Są ponętym, ale fałszywym złudzeniem. W historii pełno romantyków, którzy popełniali zbrodnie na ludzkości.

- Na przykład twój daleki krewny Machiavelli.

- Nie, on był pragmatykiem. Mussolini to romantyk. Pomylił Rzymian z Włochami i przez jego marzenia w Afryce zginęło dwadzieścia tysięcy chłopców.

Szli w stronę laboratorium i zauważyli, że na świeżo malowanych ścianach pojawiło się polityczne graffiti.

- Nastrój melancholii przemija - ciągnął Sabitini. - Zapomnisz o anglosaskim wychowaniu i nauczysz się radować chwilą. A poza tym, dzisiaj mamy dzień triumfu, a nie smutku. Przynoszę ci dobre wieści. - Przerwał. - W przyszłym tygodniu jedziemy do Ebla.

W jej oczach pojawiła się radość. Rzuciła się w jego ramiona.

- Jak ci się udało?

- Ach, stara metoda perswazji - szantaż polityczny. Nasze MSZ zagroziło, że nie przekaze syryjskiej marynarce dziesięciu okrętów. Klasyczny przykład dominacji uzbrojenia nad kulturą. Ale mamy ograniczone pole działania.

- W jakim sensie?

- Żadnych wykopalisk. Tylko katalogowanie i badanie już wydobytych tabliczek i posążków. Gamasi ocenzuruje wszystkie fotografie. A eksponaty zostaną odesłane do muzeum w Aleppo.

- A jeśli uda nam się zlokalizować miejsce pochówku Itamara?

- Przecież to tylko przypuszczenia. W każdym razie musimy przyjąć warunki doktora Gamasi.

- Ach te warunki i ci politycy! - W jej oczach pojawiła się złość. - Ani jedno, ani drugie nie powinno mieć wpływu na archeologię!

- Tobie tak się wydaje. Politycy i pieniądze wiążą się z każdą dziedziną nauki. Tak już jest. A teraz ciesz się z tego, co masz. Poza tym, jak już tam będziemy, hm, może da się coś zrobić.

Amerykanka z trzema skryptami pod pachą poprosiła Sabitiniego o autograf i pochwaliła jego dorobek. Będąc przekonanym, że komplement nie ma nic wspólnego z archeologią, złożył zamaszty podpis: Ben Gazzara.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Tarcza księżyca, wyglądając zza chmur, wysyłała smugi światła padające na powierzchnię pustyni.

Sabitini stał przed bramą obozowiska i spoglądał na stertę piasku wyniesionego z wnętrza kopca. Wiatr przynosił z oddali wycie kojota. Sabitini był naukowcem i nie wierzył w duchy, lecz wiedział, że pustynia ma swój język, którym tej nocy chce coś oznajmić.

Do Ebla przyjechali dwa tygodnie temu. Gamasi rozmawiał z nimi tylko wtedy, gdy było to absolutnie konieczne. Zniknęła gdzieś dawna zażyłość. Wszystkie ich poczynania ściśle nadzorowano, a kluczowe decyzje napotykały na biurokratyczne trudności. Codziennie ktoś przylatywał do Gamasiego na kontrolę, a tamtego popołudnia wojskowy helikopter zabrał go do Damaszku.

Sabitini spojrzał na stojącego pod ścianą beduińskiego strażnika. Zanim skończy się noc, powinien pozyskać jego przychylność. Pomachał ręką i ruszył w jego stronę.

Oczy strażnika szklily się od haszyszu. Na uszach miał słuchawki walkmana. Sabitini dał mu paczkę włoskich papierosów, które tamten przyjął z uśmiechem, rewanzując się słuchawkami. Sabitini pochwalił jakoś sprzętu. Potem, zgodnie z lokalnymi zwyczajami, pocałował Beduina w oba policzki i wrócił na dziedziniec obozu.

W większości baraków było ciemno. Drzwi domku, zajmowanego kiedyś przez architektów, stały otworem. Kierując się w stronę oświetlonego namiotu Gabrielli, oglądał ustawione przy ścianie figurki.

Lampa karbidowa syczała, a poła namiotu głośno furkotała na wietrze. Gabriella siedziała za wielkim drewnianym stołem. Przy niej stała pełna niedopałków popielniczka i butelka mocnego, syryjskiego araku. Była rozluźniona psychicznie, lecz podniecona emocjonalnie.

Cztery ostatnie tygodnie odszyfrowywała napisy na tabliczkach, które wyraźnie wskazywały na istnienie nekropolii na czwartym poziomie. Szukała krypty królewskiej - miejsca wiecznego spoczynku Itamara - a odnalazła jedynie zwykły cmentarz.

Odczytując po raz kolejny znaki klinowe, wolno przesuwiała szkło powiększające. Przetłumaczony tekst rozpałał w niej emocje: *Poniżej komnaty Baala będą pochowany ja - król Ibbit-Lim. Spoczną tam z przyjacielem, który żył w Ebla dwadzieścia siedem wiosen i stał*

mi się bratem. Mówię o Itamarze, synu Aarona, posłańcu Mojżesza.

Odłożyła lupę i napiła się araku. Komnatę Baala odkryto zeszłego lata, ale nikt nie przypuszczał, że pod glinianym podłożem może znajdować się krypta.

Włożyła kurtkę, przewiesiła przez ramię aparat fotograficzny, zabrała dwie lampy błyskowe i wyszła na dziedziniec.

Sabitini stał pochylony nad po mistrzowsku wykonanym węzem z brązu, gdy usłyszał jej kroki.

- Właśnie do ciebie szedłem - powiedział, prostując się - ale nie mogłem oprzeć się oczom tej kobry. Przez moment wydawało mi się, że ona żyje.

Usłyszeli wycie kojota, który wyraźnie zbliżał się w stronę obozu.

- To najsmutniejszy głos, jaki w życiu słyszałam - powiedziała w zadumie. - Pamiętasz, jak wył ten kojot złapany przez Beduinów?

- Chyba nigdy tego nie zapomnę - odparł cicho. - Lepiej już chodźmy.

Mijając bramę, Sabitini pokiwał do strażnika i przesłał mu arabskie pozdrowienie. Nie odpowiedział, ciągle mając słuchawki na uszach, ale uśmiechnął się ze zrozumieniem uznając, że profesor i młoda asystentka idą się kochać w jednej z ciemnych komnat. Doszedł pewnie do wniosku, że to może być podniecające.

Komnata Baala znajdowała się w zachodniej części kopca, na głębokości dwóch metrów. Kolorowe malowidła pokrywały wapienne ściany. Na centralnym miejscu znajdował się fresk przedstawiający Baala z siedzącym na tronie nagim Pazuzu, który przewodził orgii niewolników, wojowników, bogów i boginek. Akty seksualne oddano ze skrupulatną dokładnością.

- Wspaniale - szepnął Sabitini. - Lepsze niż w Pompejach.

- Nie ma czasu na zachwyty - uśmiechnęła się. - Krypta królewska jest pod stopami, a nie na ścianach.

Wyznaczyli środek i zaczęli kopać. Wybierali ziemię szybko i fachowo. Spoglądały na nich bakchiczne postacie ze ściennych malowideł, a do uszu dochodził szum wiatru wdzierający się do podziemnych korytarzy.

Gabriella kolejny raz wbiła szpadel, który tym razem natrafił na coś twardego. Była to pokrywa zrobiona z cedrowych desek. Szybko oczyścili ją z gliny i piasku.

- Ktoś już tu był przed nami - powiedział profesor. - Sądząc po zapachu cedru, całkiem niedawno.

- Złodzieje?

- Wątpię. Nie zostawili żadnego śladu. To na pewno Gamasi lub ktoś z jego ludzi.

Sabitini podniósł cedrową klapę i spostrzegł gliniane schodki prowadzące na niższy poziom. Powoli zeszli do komnaty wypełnionej słodkim zapachem.

- Czujesz? - zapytał.

- Jaśmin - pokiwała głową. - Żeby osłodzić królowi podróż w zaświaty.

Światło latarki padło na metrowej wysokości kamień pokryty pismem klinowym, z trójkątnym wyżłobieniem na wierzchu.

- Ten trójkąt musi coś oznaczać - szepnął Sabitini.

- Pewnie to jakiś symbol - powiedziała Gabriella, klękawszy przy kamieniu, aby odczytać napis. Następnie wyjęła notatnik i zapisała angielskie tłumaczenie.

Nagle usłyszeli jakiś hałas z zewnątrz.

- Helikopter - zauważył Sabitini.

Gabriella wstała i drżącym głosem odczytała napis: *Na tym kamieniu spisałem słowa Mojżesza wypowiedziane do mnie w dniu śmierci proroka. To on i nikt inny podyktował mi ostatnie słowa Jahwe - złożyłem je w Megiddo. Jam jest Itamar, syn Aarona, posłaniec wielkiego proroka.*

Warkot nagle umilkł.

- Wylądowali - oznajmił Sabitini.

Lekceważąc zakazy sfotografowała kamień ze wszystkich stron, zmieniając czas naświetlania i głębię ostrości. Przez kilka sekund komnata niemal bez przerwy jaśniała od błysków lampy.

Z wyższego poziomu dotarły do nich odgłosy kroków i arabskie okrzyki.

Szybko skończyła film, wyjęła go z aparatu i ukryła w bucie, a potem założyła nową kasetę i zrobiła kilka zdjęć krypty.

Po schodach zeszło sześciu krzepkich policjantów z dowódcą i strasząc bronią kazali Gabrielli i Sabitiniemu stanąć pod ścianą.

Za nimi nadszedł doktor Gamasi, który uśmiechając się do dawnych współników, skinął na pułkownika.

Oficer wyrwał aparat z rąk Gabrielli.

- *Maftou!* - rozkazał Gamasi.

Pułkownik otworzył aparat i wyciągnął kliszę.

- To panu nie ujdzie na sucho, doktorze, obiecuję! - krzyknął Sabitini.

- Znajduje się pan w takiej sytuacji, że nic pan nie może obiecać - odparł spokojnie Gamasi. - Tu jest Syria, a nie Rzym. A pan jest agentem syjonistycznych imperialistów - i za to pana osądzimy. - Potem zwrócił się do pułkownika. - *Al-dour al-mala!*

Policjanci wyprowadzili ich z krypty

Na tle kopca stały dwa sowieckie śmigłowce MI-8.

Gamasi szedł przodem, a za nim mundurowi prowadzący jego kolegów po fachu.

- Zostaniecie odwiezieni na lotnisko w Damaszku, a stamtąd deportowani do Rzymu.

Dwaj policjanci wprowadzili ich do helikoptera.

Włączono silniki i maszyna wzbiła się w powietrze.

Gabriella spojrzała na oddalający się Tell Mardikh, mówiąc w duchu dziękczynną modlitwę. Na szczęście nie zostali zrewidowani. Film ze zdjęciami testamentu Itamara bezpiecznie leżał w jej bucie.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Na pomarszczoną twarz padało światło punktowej lampy. Przekrwione oczy błyszczały, a źrenice osiągnęły wielkość główki od szpilki.

Sierżant Vince Rizzo opierał się o ścianę.

Jego zwierzchnik - porucznik Jack Raines - od pół godziny zadawał pytania.

- Pepe, opowiedz o Pancho Villa.

- Jezu... Muszę dać sobie w żyłę.

- Opowiedz o Pancho i masz to załatwione.

- Nie znam żadnego Pancho. Tylko jedną działkę...

Raines wstał i podszedł do okna. Przypomniwał sobie pogrzeb kapitana Louisa Cordero, który odbył się w minioną sobotę. Pamiętał rząd biało-czarnych samochodów, słowa księdza, gaszenie świec, salwy karabinowe. I wszystko to dla Cordero. Jego zabójca - kubański przemytnik o pseudonimie Pancho Villa - nadal cieszył się wolnością i właśnie wyjechał po nowy towar.

- Pepe! Pepe! Co z tobą?! - krzyknął sierżant Rizzo.

- Nic, nic... jestem chory.

Rizzo uderzył go w twarz.

Pepe zbladł jeszcze bardziej.

- Porozmawiaj ze mną, Pepe...

- Muszę sobie wałnąć w kanał. Jezu, sikam.

Dłoń Rizzo znowu wylądowała na policzku Pepe.

Raines gwałtownie odwrócił się i złapał sierżanta za rękę.

- Wystarczy, Vince.

Na spodniach Pepe pojawiła się mokra plama.

- Jak ja się nazywam? - Raines spokojnie zwrócił się do narkomana.

- Porucznik Jack.

- A kto jest twoim przyjacielem?

- Pan, panie poruczniku.

- Bardzo dobrze. A teraz opowiedz o Pancho.

Pepe bezskutecznie próbował skupić na czymś wzrok.

- Pancho... Pancho. Nie znam żadnego Pancho Villa.

- Ależ znasz. Dźgnął w serce kapitana Cordero.

Pepe dojrzał bliznę na policzku Rainesa i zaczął się trząść.

- Proszę mnie już nie bić. Jestem chory. Chory.

- Pepe, nie uderzyłem cię ani razu.

- Daj działkę.

- Wydaj Pancho.

- Łeb mi pęka.

Dreszcz wstrząsnął Pepe i zaczął wymiotować.

Jack odskoczył.

- Cholera! - krzyknął Rizzo, patrząc na ubrudzone buty.

Pepe targany konwulsjami upadł na kolana, prosto w rozpryskaną kałużę.

Jack zwilżył ręcznik i przyłożył do twarzy narkomana. Całe ciało Pepe zalewał zimny pot.

- Jest tam ktoś od narkotyków? - zapytał Jack Rizzo.

- Tak.

- To dawaj go tu.

Jack pomógł Pepe usiąść na skórzanej sofie.

- Jest pan księciem. Umieram, zamarzam, zaraz się rozlecę.

- Wszystko będzie dobrze.

- Narobiłem w spodnie. Coś mi zaszkodziło.

- Opowiedz o Pancho. Gdzie go można znaleźć?

- Sikam krwią... Już trzy tygodnie.

Wszedł Rizzo z wysokim, łysym oficerem z wydziału do spraw narkotyków. W ręce trzymał strzykawkę.

- Spójrz, Pepe - powiedział Jack.

- Chryste, jest pan wielki, poruczniku.

- Dopóki nie powiesz, nic z tego nie będzie.

- Sikam krwią.

- Sikasz na grób mojego przyjaciela - kapitana Cordero.

- Nie mogę wydać Pancho. On... on mnie wykończy. To mściwy Kubańczyk. - Pepe trzął się i szczął zębami.

- Spójrz na strzykawkę, Pepe - mówił Jack spokojnym głosem, przysuwając do sofy krzesło. - Za pięć, dziesięć minut poczujesz się wspaniale. Będiesz mógł falować po morzu.

Opowiedz o Pancho.

Wzrok narkomana powędrował w stronę strzykawki.

- A niech to wszyscy diabli. Musicie przysiąc na Matkę Boską, że jak sypnę Pancho Villa, to go przyskrzynicie. Bez żadnych ceregieli, bo was wykiwa. To szczwany kubański lis. Załatwiłby mnie. Musicie go zamknąć, bo poszatkowałby mnie na kawałki. Najlepiej go zabijcie.

- Tego nie możemy zrobić. Nie jesteśmy mordercami. Ale daję ci słowo, że przez resztę życia nie wychyli nosa zza kratki.

- Jezu, niedobrze mi, poruczniku. - Pepe złapał się nagle za brzuch. - Znowu będę rzygał.

- Spójrz na strzykawkę. - Jack chwycił go za ramię. - Za pięć minut ci przejdzie.

Pepe popatrzył czarnymi oczami na błyszczącą igłę. Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć.

- Przyjęcie... Jutro wieczorem... Przyjęcie.

- Gdzie?

- U Glorii. No wiecie, na Holly Ridge. Pancho dostarczy kokę.

- A kto odbiera?

- Charlie Morderca.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Wysoki budynek o nazwie Doheny-Palms stał na rogu ulicy łączącej Bulwar Santa Monica i Zachodzącego Słońca. Zamieszkiwali go podstarzali aktorzy, stewardesy, zmęczeni mafioso ze wschodu oraz dziewczyny do towarzystwa.

Jack zjechał do podziemnego parkingu i dostrzegł wolne miejsce należące do Lindy Jensen. Niewiele wagi przykładał do spotkań z piękną stewardesą, ale rozkład lotów już nie pierwszy raz pokrzyżował im plany.

Ich związek nie miał racji bytu. Linda była od niego młodsza o dwadzieścia lat, tryskała pełną wyrachowania energią. Prawie nigdy nie okazywała swoich uczuć. Czasami wątpił, czy go naprawdę lubi, ale takie zastrzeżenia kwitowała komentarzami na temat jego byłej żony. I nie myliła się - nigdy nie zapomniał o Laurze.

Podszedł do recepcji i zapytał, czy jest dla niego jakaś wiadomość. Portier poszukał w jego przegródce i pokręcił głową.

- Nic. A tak przy okazji. Czytałem o kapitanie Cordero. Bardzo mi przykro. To straszne, że mordercom udało się zbiec.

Jack bezmyślnie pokiwał głową i ruszył w stronę windy.

*

Wyjął z lodówki gotowy obiad, włożył do kuchenki mikrofalowej i poszedł do łazienki. Rozebrał się i wszedł pod prysznic. Wciąż czuł odór wymiocin Pepe. Do szklanki z wodą nalał odświeżacza i przepłukał usta.

Spojrzał na swoje odbicie w lustrze. Blizna na prawym policzku nabrała koloru. Linda mówiła, że przypomina ślad na jej pośladku.

Pokręcił z konsternacją głową. Nie miał jeszcze czterdziestu pięciu lat, dbał o zdrowie, ograniczając ilość alkoholu i wypalonych papierosów. Jednak siwiały mu włosy i w kącikach ust pojawiły się zmarszczki, a waga wciąż rosła.

Wystawił twarz pod strumień, jakby woda mogła zmyć wszystkie wypaczenia powstałe w jego psychice.

Ale bez rezultatu. Ich korzenie związane były z jego zawodem. Codzienne obcowanie z ludzkim bestialstwem nie pozostaje bez wpływu na nikogo. Nawet Rizzo, mający żonę, troje dzieci i prawo do zastawu hipotecznego, miewa czasem okresy frustracji. To właśnie on

uderzył Pepe.

Jack odwrócił się i gorące strumienie popłynęły po plecach i karku. Dzwonił wcześniej do córki, ale odebrała Laura. Zamienili kilka grzecznościowych zdań. Powiedziała, że Jenny wyszła do przyjaciółki, ale czeka na niego w niedzielę. Odparł, że przyjdzie po nią rano, ale ze względu na pracę będzie musiał skrócić spotkanie.

- Dobrze - odpowiedziała Laura. W jej głosie dało się wyczuć nutkę sarkazmu, ale nie było sensu się obrażać. Przedłużanie rozmowy doprowadziłoby do tych samych wniosków: praca w policji i obsesyjny stosunek do służby zniszczyły ich małżeństwo.

Na początku, gdy pracował dla CIA, wszystko układało się dobrze. Byli młodzi, otwarci na radości i wzruszenia, jakich dostarczało luksusowe życie, które mogli wieść dzięki jego pracy dla rządu. Z ramienia korpusu dyplomatycznego wyjeżdżali do Madrytu, Rio de Janeiro, Tel Awiwu, a także do Santiago w Chile.

Tam właśnie, w brytyjsko-amerykańskim szpitalu, przyszła na świat Jenny. Był lipiec 1970 roku - ostatni miesiąc kariery w CIA. Jack padł ofiarą obłudy: agencja wykorzystała go do zamachu na chilijskiego ministra finansów. Jednak w środowisku, gdzie narzędziem pracy jest sekret, nic nie pozostaje długo tajemnicą. Jeden z kolegów doniósł mu, że chcą go zrobić w polityczną rozgrywkę. Nie było żadnych spotkań ze zwierzchnikami, żadnych dyskusji. Po prostu złożył dymisję i wrócił do Los Angeles.

We wrześniu 1970 roku wstąpił do policji i niemal natychmiast zaczęło się psuć w jego małżeństwie. Laura nie mogła znieść samotnych nocy, nie dokończonych obiadów, zapominania o urodzinach, a nade wszystko nie do końca uświadomionej myśli, że któregoś dnia może odebrać telefon z prośbą o identyfikację zwłok. Ciągłe napięcie psuło ich związek. Stali się jak obcy, którym przyszło razem mieszkać, wychowywać dziecko i znosić małżeńskie obowiązki.

Rozwiedli się jesienią 1978 roku. Po dwóch latach Laura ponownie wyszła za mąż i tym razem wybrała dobrze. Doktor Martin Sorenson był autorytetem w dziedzinie chemii mózgu - neurofizjologiem. Posiadał wielomilionową fortunę i nowoczesny kompleks szpitalny w Westwood.

Zbliżał się do pięćdziesiątki, lecz lata nie odcisnęły żadnego piętna na jego psychice. Wykazywał w życiu wiele odwagi i siły. Podczas drugiej wojny światowej służył w specjalnej jednostce biorącej udział w bezpośredniej walce z wrogiem. Miał licencję pilota, był ekspertem w żeglarstwie i amatorem w archeologii.

Zawsze robił wrażenie miłego, przyjacielskiego i traktował Jenny jak własne dziecko. Jack spotykał go dość rzadko, gdyż odwiedzał córkę w niedziele, kiedy Sorenson zwykle

pływał na jachcie.

Cotygodniowe spotkania z Laurą powodowały, że Jack nie mógł pozbyć się wyrzutów sumienia. Ciągle jeszcze jakoś go obchodziła. Czuł znany zapach perfum, widział bliskie sercu błyski w oczach i ciemne włosy zawsze w ten sam sposób opadające na ramiona.

Zakręcił kurki i westchnął. Szaleństwem było rozpamiętywać miłość do kobiety, którą już stracił. Jednak znał jej duszę. Była matką jego dziecka i jedyną kobietą, którą kiedykolwiek kochał.

Wyszedł spod prysznic i wytarł ręcznikiem twarz. Gdy po raz któryś spojrzął w lustro na bliznę, pomyślał o miłym chłopcu z dobrej rodziny, który pchnął go nożem. Dzieciak został zatrzymany za handel kokainą w szkole. Jack zlekceważył ostrzeżenie kapitana Cordero i chcąc okazać wspaniałomyślność, nie zakuł chłopaka w kajdanki, natomiast zaproponował zwolnienie w zamian za wyjawienie źródła pochodzenia narkotyku. Chłopak zgodził się i zapytał, czy może wyjąć chusteczkę, a potem nagłym ruchem pchnął go nożem. Nie trafił w szyję, ale ostrze dosięgnęło policzka i rozcięło go aż do kości. Mundurowy policjant ogłuszył chłopaka uderzeniem w głowę.

Dzieciak całą młodość spędzi w więzieniu. Gdyby Jack założył mu kajdanki, dostałby najwyżej kilka lat poprawczaka.

Miał poczucie winy, ale rozdzieranie ran na nic się nie zdało. Jednak wyrzuty sumienia odcisnęły się w jego świadomości. Najgorsze w tym wszystkim, że nie zawsze wiadomo, co jest dobre. Pomimo treningu i doświadczenia, gdy człowiek znajdzie się w stresie, jego poczynaniami zaczynają rządzić odruchy.

Jack ubrał się, wszedł do kuchni i zmieszał wódkę z tonikiem. Długa noc przed nim. Miał nadzieję, że w telewizji puszcza jakiegoś starego, dobrego Garfielda lub Bogarta. Nie podobały mu się współczesne filmy. Oglądał je sporadycznie i to tylko ze względu na córkę. Węże na statku kosmicznym i obmierzone twarze morderców zdawały się być tak dalekie od eleganckiego kapelusza i szykownego płaszcza.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Chalon Road ciągnęła się przez środek Bel Air. Tylko minutę drogi stąd znajdowały się ekskluzywne dzielnice, lecz to miejsce przypominało Jackowi górzysty teren na północ od Madrytu. Las wysokich sosen walczył o przestrzeń z dzikimi palmami rzucającymi cień na budowane w hiszpańskim stylu posiadłości. Choć Bel Air powstało za pieniądze kalifornijskie, nie brakowało udziałowców hiszpańskich.

Na szczycie wzniesienia z Chalon Road skręcił gwałtownie w prywatną drogę i zatrzymał się przed żelazną bramą. Otworzył okno i nacisnął na guzik bramofonu. Za chwilę z głośnika doleciał go zniekształcony głos Laury. Jack przedstawił się i wrota powoli się otworzyły. Około pół kilometra przejechał krętą drogą, aż zaparkował przed garażem, w którym stał szary mercedes i ciemnobrązowy rolls-royce.

Przywitała go w drzwiach. Była wysoka i zgrabna, nadal miała dziewczęcą figurę. Ciemne kręcone włosy okalały twarz o szlachetnych rysach. Ubrana była w luźne spodnie i białą jedwabną bluzkę. Prócz obrączki ślubnej na serdecznym palcu nie dostrzegł żadnej biżuterii.

Wszedł za nią do łukowo sklepionego salonu, gdzie nowoczesne włoskie meble sąsiadowały z antykami. Na ścianach wisiały obrazy francuskich impresjonistów, a w oświetlonych gablotach błyszczały starożytne dzieła sztuki.

- Jenny zejdzie za chwilę.
- Dobrze, nie spieszę się.
- Kawy?
- Nie, dziękuję.
- A może coś mocniejszego?
- Nie, nie.

Zauważyła wyraźniejsze zmarszczki pod jego oczami i niespokojne, rozbiegane spojrzenie, które świadczyło o wewnętrznym napięciu.

- Martin na jachcie? - zapytał, próbując podtrzymać konwersację.
- Nie, wyjechał z miasta.
- To już w czwartą niedzielę z rzędu.
- Chyba tak - odpowiedziała, uśmiechając się nerwowo. - Ostatnio tak często

wyjeżdża, że zasłużył chyba na order świętego Krzysztofa.

- To był powód naszego rozvodu.
- Różnica polega na tym, że zawód Martina nie jest tak niebezpieczny.
- Chyba nie.

Bez zainteresowania minął artefakty z Afryki i przedkolumbijskiej Ameryki, zatrzymał się dopiero przed gablotą z rękodziełem bliskowschodnim. Jego uwagę przyciągnął bożek z brązu z wybałuszonymi oczami. Dłonie i stopy zakończone były pazurami, a z ramion wyrastały mu skrzydła.

- A co to takiego?
- Kanaanejskie bóstwo zła, Pazuzu - odparła. - Martin przywiózł je z wykopalisk w północnej Syrii.

- Nie mógłbym codziennie na to patrzeć.
- Może pomyślisz, że jestem przesadna, ale odkąd Martin przyniósł to do domu, zdarzyło się kilka tragicznych wypadków.

- Jakich na przykład?
- Prawie dokładnie tego dnia, kiedy bożek u nas się pojawił - sześć miesięcy temu - kolega Martina, doktor Brody, popełnił samobójstwo. Kilka tygodni później Alisonowie zginęli w wypadku samochodowym. W zeszłym tygodniu ktoś chciał udusić naszą służącą Elwię. Leży w szpitalu św. Jana. Jej stan jest krytyczny.

- Są jakieś legendy związane z tym bożkiem?
- Nie wiem, ale gdyby to ode mnie zależało, wywaliłabym go do śmieci.
- A co na to Martin?
- Śmieje się z moich obaw. Poza tym wiesz, jakiego ma bzika na punkcie starożytności.

- Nie za bardzo. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy.
 - Może robię z igły widły, ale podejrzenia mogą zamienić się w jakąś obsesję.
 - A tak w ogóle, jak wam się układa?
 - Jak nigdy. Czemu pytasz?
 - Tak sobie.
 - Jack, to już sześć lat.
 - Wiem. Tylko że czas teraz leci szybciej niż przedtem.
 - Do skruczy zawsze byłeś pierwszy. Powinieneś przejść na katolicyzm.
- Sięgnęła do porcelanowego puzderka po papierosa. Podpalił go.
- Chciałam zapytać o kapitana Cordero. - Zaciągnęła się głęboko.

- Miał dwa miesiące do emerytury, gdy zdecydował się na akcję - powiedział. - W meksykańskiej dzielnicy pełno jest handlarzy kokainą. Zaopatruje ich Kubańczyk Pancho Villa. Cordero potraktował sprawę jak osobistą wendettę. Pancho zadźgał go nożem w barowej toalecie.

- A ty chcesz pomścić kapitana?

- Daj spokój, Lauro.

- Nie mogę. Jesteś przecież ojcem Jenny.

- Nic mi nie będzie.

- Czego dowodzi ta blizna. Boże drogi, po co ty się w to wszystko mieszasz?

- Bo Cordero wiele dla mnie zrobił. Zawsze był tam, gdzie go potrzebowałem. Podtrzymywał mnie na duchu i pomagał w pracy. Przyjaźniliśmy się.

- Nie sądziłam, że Nolan pozwoli swoim oficerom na podejmowanie jakichkolwiek akcji.

- Owszem. Trochę mnie obsztorcował. „To akcja taktyczna, na inteligencję. Nie możemy się łądować w uliczne burdy.” Powiedziałem, że może zabrać mi odznakę. W końcu dał mi wolną rękę.

Odgłos kroków na schodach odwrócił jego uwagę. Do salonu weszła czternastoletnia dziewczynka o blond włosach i małym nosku. Podbiegła do Jacka. Podniósł ją i pocałował.

- Bardzo ładna sukienka - zauważyła Laura. - Ale baseballowa czapeczka chyba do niej nie pasuje.

- Zawsze ją noszę, jak jestem z tatą. Dostał ją od Steva Garveya.

- Naturalnie. Garvey nosił ją na Mistrzostwach Świata.

- Zrobiłeś z niej szkolną gwiazdę. Jest kapitanem żeńskiej drużyny baseballowej.

- Naprawdę trafiam, tatusiu.

- To lepiej ci idzie niż mnie. - Jack się uśmiechnął. - A co z lekcjami baletu?

- Nic rewelacyjnego.

- Odwiozę ją o szóstej - powiedział do Laury, gdy ruszyli do drzwi.

- Bawcie się dobrze. - Laura pocałowała Jenny w policzek.

Zamknęła za nimi drzwi, wróciła do salonu i, gnana jakąś magiczną siłą, podeszła do gabloty, aby popatrzeć w hipnotyzujące oczy bożka Pazuzu.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Wtedy w Rzymie była godzina dwudziesta piętnaście.

Gabriella stała przy oknie w Instytucie Badań nad Bliskim Wschodem i spoglądała na pusty dziedziniec Viale della Universita. Ani śladu szarego fiata Sabitiniego. Profesor spóźnił się już trzydzieści pięć minut.

Podeszła do pianina i, aby uspokoić nerwy, zagrała kilka gam. Potem zapaliła papierosa i pomyślała, że punktualność nie należy do zalet profesora. Miał za to wiele innych ważniejszych. Był doskonałym naukowcem, od którego dużo się nauczyła, a co więcej był cierpliwy, miły i zawsze gotów do pomocy. Uważała go nie tylko za kolegę z pracy, lecz za prawdziwego przyjaciela.

Drgnęła na myśl, że, nie daj Boże, mogło mu się przytrafić jakieś nieszczęście. Tak bardzo czekała, aby podzielić się z nim swoim odkryciem.

Ukryty w bucie film ze zdjęciami kamienia Itamara został wywołany. Powiększono odbitki, a w minionym tygodniu udało się odszyfrować sensacyjny tekst. Ostatnia wola Itamara przynosiła historyczne i teologiczne rewelacje, mogące przyprawić o dreszczyk emocji, a nawet strachu.

Zgasiła papierosa, zasłoniła okna i sprawdziła działanie projektora.

Drgnęła na odgłos gwałtownie otwieranych drzwi.

Do gabinetu wkroczył Sabitini.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedział. - Zdrzemnąłem się w czasie oglądania meczu, z którego pamiętam tylko tyle, że na zakończenie obudziła mnie Antonella.

- Dobrze, że w ogóle dojechałeś. Z twoim fiatem nigdy nic nie wiadomo. Mam kawę, ale parzoną przed sześcioma godzinami.

- To co? Ja mam pięćdziesiąt pięć lat i chyba nie straciłem na świeżości?

- A skąd mam to wiedzieć? - Uśmiechnęła się, nalała kawy do kubka i podała mu.

Napił się i powiedział:

- Kobieta, która odczytuje pismo klinowe, gra jazz i robi taką kawę, byłaby doskonałą kochanką, ale żadną żoną.

- To opinia eksperta?

- Nie, koleżeńska uwaga. Z pewnością nie jestem ekspertem.

- A jeśli chodzi o małżeństwo?

- Ech. - Machnął ręką. - Mój związek trudno nazwać małżeństwem. Antonella od dwudziestu lat myli mnie z Benem Gazzarą. - Napił się kawy, zapalił cygaro i wypuścił dym w sufit. - A teraz pokaż, co ma do powiedzenia kamień Itamara.

- Przekroczył najśmielsze wyobrażenia. Ale trójkąt na górze...

- Jak to?

- Zobaczysz.

Usiadł na krześle przed ekranem. Gabriella zgasiła światło i podeszła do projektora.

- Zobaczysz kamień z dwóch stron, a pod spodem będą się ukazywać moje tłumaczenia.

Na ekranie pojawiło się pierwsze przezrocze. W gabinecie zapanowała cisza.

W dzień śmierci wielkiego proroka, na ziemi Moaba, przed górą Nebo, głos Jahwe przykazał mi: „Itamarze, synu Aarona, wejdź do jaskini wieczności. Znajdziesz tam służbę mojego Mojżesza”. I udałem się pod górę Nebo, do tamtego miejsca, a wielki prorok powiedział mi: „W Meriba Kadesz nie powtórzyłem ludowi ostatnich słów Boga. Obawiałem się, że mogliby skierować je w złą stronę. Ten postępek uczynił mnie w oczach Jahwe niegodnym wkroczenia do Ziemi Obiecanej”. Tak Mojżesz przemówił do mnie, Itamara.

Odgłos przesuwanych klatek w projektorze zakłócił ciszę.

- Dalej? - zapytała po chwili Gabriella.

- Możesz zatrzymać się na tym zdjęciu?

Skinęła głową i nacisnęła dwa klawisze naraz. Po lewej stronie ekranu pojawiło się pierwsze przezrocze, a w środku drugie.

Wielki prorok nakazał mi: „Weź tę tablicę, Itamarze. Na niej wyryta jest droga do ostatnich słów Jahwe. Twym sekretnym zadaniem będzie umieścić tę tablicę w mieście kanaanejskim Megiddo, gdzie zalegnie na wieki.” I zaniósłem tablicę do Megiddo. I, jak przykazał Mojżesz, opuściłem Megiddo, a resztę dni spędziłem w starożytnym królestwie Ebla. I żaden człowiek nie podniósł na mnie ręki. A na tym kamieniu spisałem swój testament. Ktokolwiek nań natrafi, musi odczytać złote trójkąty i dowie się, w której komnacie w Megiddo leży testament Mojżesza.

Itamar, syn Aarona,

kapłan pokolenia Lewiego

Nastąpiło długie milczenie. Sabitini wstał i zapytał:

- Jesteś pewna tłumaczenia?

Skinęła głową.

- Pamiętaj, że moje tłumaczenia z Ebla pochwalili Delgado z Londynu i Ettinger z Nowego Jorku.

- Zakładając, że nie ma pomyłki, jesteśmy na tropie epokowego znaleziska - bardziej wartościowego niż rękopisy znad Morza Martwego. Taka archeologiczna bomba zniszczy historyczne i teologiczne teorie, doskonalone przez pokolenia naukowców.

Sabitini wziął wskaźnik i dotykając słowo po słowie czytał:

- *...nie powtórzyłem ludowi ostatnich słów Boga. Obawiałem się, że mogliby skierować je w złą stronę...* - Odwrócił się do Gabrielli i zapytał: - *Jak rozumiesz zwrot „kierować w złą stronę”?*

- To chyba znaczy nie zrozumieć.

- Na pewno? Trochę mnie zdumiewa użycie takiego zwrotu.

- Dlaczego?

- Mojżesz był jedynym człowiekiem, który widział oblicze Jahwe. Był sługą i pisarzem Boga od spalenia krzewu, przez niewolę egipską, aż po eksodus. To Mojżesz otrzymał przykazania i prawa liturgiczne. A jednak prorok, lojalny sługa, zataja przed ludem ostatnie słowa Boga, bo się boi, że „skierują w złą stronę” ich przesłanie. To znaczy, że w ostatnich słowach jest jakieś proroctwo, które ten wielki człowiek zatrzymał dla siebie, wbrew woli Jahwe.

- Myślisz, że to mogło być przykazanie?

- Nie. Przypuszczam raczej, że jakiś dopisek lub proroctwo, które tak przeraziło Mojżesza, że ośmielił się być nieposłusznym.

Gabriella drżącą ręką zapaliła papierosa.

Sabitini nie zwrócił uwagi na jej zdenerwowanie. Kamień Itamara pochłonął go zupełnie. Czuł się jak lekarz mający postawić diagnozę. Dotknął wskaźnikiem drugiej części ekranu.

- Spójrz na tę linijkę: *...opuszcilem Megiddo, a resztę dni spędziłem w starożytnym królestwie Ebla*. Czyim królestwie? Wiemy na pewno, że Ebla nie należało do świata Islamu. Aż do 650 roku p.Ch. nie ma w Syrii arabskich śladów. Prawie osiemset lat po Mojżeszu. Według mnie na tablicy Mojżesza znajduje się pisemne świadectwo przynależności Ebla do Izraelitów, a to będzie gwóźdź do trumny syryjskiej kultury.

Gabriella zgasiła papierosa.

- A co z zaginionymi trójkątami?

- Hm, z twojego tłumaczenia jasno wynika, że kto znajdzie trójkąt, będzie wiedział, gdzie w Megiddo jest tablica. Pamiętaj, że przed nami był ktoś w krypcie i wyniósł trzy trójkąty.

- Skąd wiesz, że trzy?

- Nie wiem. Domyślam się. Trójka gra ważną rolę w biblijnym Izraelu. Mojżesz należał do trzeciego pokolenia Lewiego. Sam był w rodzinie trzecim dzieckiem. W hebrajskim jego imię składa się z trzech liter. Jako dziecko był przez trzy miesiące ukrywany.

- I do Izraelitów zstępowali trzej prorocy: Abraham, Izaak i Jakub - dodała. - Również sam trójkąt ma trzy boki. Chyba możemy przyjąć, że Itamar wykonał trzy złote trójkąty. Powinieneś zostać policjantem. Byłbyś niezłym detektywem.

- Wątpię. Irytuje mnie przemoc - powiedział i zgasił cygaro, - No dobrze, podsumujmy. Po pierwsze: prawdopodobnie istnieje tablica z zapisanymi ostatnimi słowami, jakie Mojżesz usłyszał od Boga. Po drugie: treść tej tablicy może dowieść, że Ebla zamieszkiwali Izraelici. A po trzecie: musimy mieć trzy złote trójkąty, żeby dokładnie wiedzieć, gdzie w Megiddo szukać tablicy.

- Zadzwoń do Tel Awiwu i porozmawiam z generałem Barzanim - powiedziała. - Kiedyś pracowaliśmy razem w Megiddo.

- A utrzymujecie ze sobą kontakty?

- Tak, dosyć często do niego dzwonię.

- Dobrze, możemy zacząć od Barzaniego. Jak daleko posunięte są wykopaliska w Megiddo?

- Na głębokości piętnastu metrów odkryliśmy stajnię króla Salomona.

- I tam się zatrzymaliście?

- Nie mieliśmy wyboru. Był październik 1973 roku. Syria i Egipt zaatakowały Izrael. Wszyscy żydowscy archeolodzy zostali powołani do wojska. Prace wykopaliskowe wstrzymano.

- Ale głębiej niż do czasów króla Salomona nie weszliście?

- Nie.

- Mojżesz i Itamar żyli trzy wieki wcześniej - rzekł zamyślony Sabitini. - Trzeba będzie zejść jedną warstwę niżej. Powinniśmy porozmawiać o stałej ekspedycji.

- Bez wątplenia.

- Kto mógłby zostać sponsorem tej wyprawy?

- Może Izrael? - zaproponowała.

- Nie sądzę. To ekonomiczny bankrut. Odkąd w 1979 roku Yadin odkrył pisma Bar Kochba w Qumran, nie było w Izraelu większej ekspedycji archeologicznej. Poza tym nie jestem pewien, czy ortodoksyjne odłamy Żydów chcą przyjąć do wiadomości możliwość istnienia jeszcze jednej tablicy Mojżesza, nie mówiąc już o ostatnich słowach Jahwe. - Przerwał i potarł policzek. - Kto jeszcze wie o tłumaczeniu?

- Nikt.

- To dobrze. Musimy założyć, że Gamasi albo jego współpracownik wszedł do krypty przed nami i przetłumaczył tekst Itamara.

- I co z tego?

- Nic. Damaszek jest bazą wypadową przynajmniej pięciu różnych organizacji terrorystycznych, z których każdą nadzorują Syryjczycy. Jeśli Gamasi wie, że znamy ten tekst, bez problemu wynajmie kogoś do zlikwidowania mnie, ciebie czy kogokolwiek innego, kto mógłby wyjawić ich izraelskie korzenie. Mamy jednak przewagę nad Gamasim i jego zwierzchnikami, która polega na tym, że oni nie mogą wjechać do Izraela, a my możemy.

Przerwał na chwilę.

- No dobrze - rzekł po namyśle. - Dzwon do Barzaniego i jedź do Izraela. Zabierz ze sobą zdjęcia i tłumaczenie. W Megiddo zbadasz, jak wyglądają ruiny i co się da zrobić. Porozmawiam z ministrem kultury. Może częściowo pokryje koszty. Wątpię, ale trzeba spróbować.

- Mogę się skontaktować z członkami Pyramid International - zaproponowała Gabriella. - Może zechcą partycypować w wydatkach.

- Nie zaszkodzi, ale nie mam złudzeń. Bojąc się Gamasiego i jego zwierzchników, niewielu znajdzie się chętnych do inwestowania w ludzi związanych z Ebla.

- To niewiarygodne, jak wielki wpływ na obecne stosunki polityczne może mieć pismo sprzed trzech tysięcy lat.

- Niezupełnie. Stare niesnaski etniczne przechodziły z pokolenia na pokolenie. Syryjczycy wściekali się nawet na małą wzmiankę o ich ewentualnych związkach z Izraelitami. Wyobraź więc sobie, co by się działo, gdyby znalazła się tablica Mojżesza świadcząca o ich izraelskiej przeszłości.

- Musimy zaryzykować.

Westchnął i przytaknął.

- Jest jeszcze coś. Przypuśćmy, że znajdziemy tablicę i okaże się, że treść podważa wszystkie judeo-chrześcijańskie pryncypia. Cóż za odpowiedzialność moralna.

- Zawsze powtarzasz, że jesteśmy detektywami, a nie sędziami historii.

- Owszem, ale ważne, aby nie przekroczyć moralnej granicy między tym, co w naszym zawodzie wolno, a czego nie.

- Mówisz jak zagorzały katolik - uśmiechnęła się.

- Raczej uczciwy naukowiec. - Poglądził ją po włosach. - Zadzwoń do Barzaniego, a ja załatwię ci wyjazd i pokrycie kosztów.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Porucznik Jack Raines i sierżant Vince Rizzo siedzieli na przednich fotelach czarnego buicka i kierowali noktowizory na posiadłość Glorii Penrod. W domu na wzgórzu paliły się światła, a roznoszące się po kanionie echo potęgowało dobiegające dźwięki.

Gloria Penrod, była modelka, obecnie opiekowała się portowymi *call girls*, a także zajmowała się poszukiwaniem talentów do filmów pornograficznych. W policyjnym archiwum miała sporą kartotekę, ale wspaniale zadbane ciało nigdy nie zaznało niewygód więziennej celi.

Ich punkt obserwacyjny przy Holly Ridge Drive zasłaniał sosnowy las. Mieli rozległy widok na liczne kaniony otaczające Hollywood Hills. W dole stacjonował patrol policjantów z wydziału do spraw narkotyków.

Jack podniósł krótkofalówkę.

- Tu Red Arrow jeden. Odbiór.

- Red Arrow dwa.

- Jeszcze nie śpicie?

- Spieprzaj, Raines.

- Tylko sprawdzam. Odbiór.

- Odwal się.

Jack uśmiechnął się do siebie. Ci od narkotyków zawsze uważali się za lepszych.

- Pancho nie widać? - spytał Rizzo.

Jack pokręcił głową i podał mu butelkę.

- Golnij sobie.

- Nie, dzięki. A może Pepe nas wykołował?

- Nie sądzę.

Z lasu doleciało przejmujące wycie.

- Co to, do cholery?

- Kojoty. Mieszkają tutaj. W zeszłym tygodniu jeden samiec dotarł do Kanionu Laurel, zabił dziecko i poszedł na poszukiwanie następnej ofiary.

- Chyba słyszałem o tym w telewizji. Nie wiedziałem, że kojoty jedzą ludzi.

- Jak są głodne, rzucają się na wszystko. Jak rekiny. Zapach krwi albo mięsa wywołuje

w nich mordercze instynkty.

Rizzo usiadł w fotelu i nalał sobie kawy z termosu.

- Jak tam Jenny?

- Świetnie. Jest niesamowita i to wcale nie dlatego, że ja jestem jej ojcem. Zabawne, gdy wracaliśmy, spytała, czy mam przyjaciółkę. Nigdy przedtem nie rozmawiałem z nią na takie tematy. Z Laurą zresztą też.

- A co u Laury?

- Jest jakaś spięta. Czegoś się boi. Zacząłem wspominać przeszłość, może to ją rozstroiło.

- Wzdychanie do byłej żony to wielki błąd.

- Żadne tam wzdychanie. Przypomniałem tylko, że dobrze nam było razem.

- Możesz winić tylko siebie. Nie znam gliniarza bez małżeńskich kłopotów. To cholerny zawód.

- Ale tobie jakoś się układa.

- Tylko dlatego, że w porównaniu ze szwagrem jestem świętoszkiem.

Nocny wiatr znów przyniósł skowyt kojota.

- Chryste... - bąknął Rizzo. - Całkiem blisko.

- Sprawdźmy jeszcze Gilberta - powiedział Jack.

Rizzo wychylił się przez okno i wyciągnął antenę krótkofalówki.

- Tu Red Arrow jeden. Red Arrow dwa zgłoś się.

Po trzaskach i szumach usłyszeli zniekształcony głos:

- Tu Red Arrow dwa. Odbiór.

- Ze wzrokiem u was w porządku?

Znowu szum.

- Pancho Villa ma być w czerwonym jaguarze?

- Według naszych informacji, tak.

- Więc gdy zobaczymy ten cholerny samochód, ty dowiesz się o tym pierwszy.

- Dobrze, nie prześpijcie.

- Spierdalaj. Bez odbioru.

Jack zwrócił noktowizor w stronę domu. - Popatrz tam, Vince.

Zobaczyli nagą dziewczynę klęczącą przed rozebranym mężczyzną, siedzącym na krześle. Miał rozchylone nogi, a ona rytmicznie poruszała głową do góry i do dołu. Dwie inne przyglądały się i chyba zachęcały do działania.

- Seans pornograficzny - powiedział Rizzo.

- Mam ochotę ich pozamykać. I to zaraz.

- Weź na wstrzymanie. Przyszliśmy tu po Pancho. Poza tym dałeś słowo Nolanowi. My przygotowujemy grunt, a wkraczają ci od narkotyków.

- Założę się o tygodniową pensję, że te dziewczyny są w wieku mojej córki.

- Zapomnij o tym, Jack.

Dwie nagie dziewczyny były brawo klęczącej, która właśnie wstała, wytarła usta i wzięła skręta od jednej z koleżanek.

Jack odłożył lornetkę.

- Zajdziemy ich od tyłu i poobserwujemy - powiedział.

- Po co?

- Chcę się rozejrzeć zanim pojawi się Pancho.

- Cholera - burknął Rizzo. - To wbrew rozkazom. Wpakujesz się w coś i Nolan zabierze ci odznakę.

- Vince, jak chcesz, możesz zostać. Nie ma sprawy. Rozumiem cię.

- A niech to wszystko... - Rizzo podniósł się i wysiadł z samochodu.

Sprawdzili rewolwery, naładowali je i zabezpieczyli. Ciężar pistoletu w kaburze dodawał im otuchy.

Skradając się przez las, znaleźli się na tyłach domu Penrod. Zeszli z pagórka do cytrynowego gaju, na wprost wielkiego okna. Uklęknęli i zajrzeli przez szczelinę między żaluzjami.

Na plecionym wiklinowym krześle siedziała Gloria Penrod. Paliła haszysz. U jej stóp, na perskim dywanie, dwie pary uprawiały seks. Młodzieniec w czerwonych, jedwabnych slipach nachylał się nad stolikiem wciągając kokainę. Na łóżku dwie piękne dziewczyny pieściły się i paliły skręty. Mężczyzna w czarnym szlafroku robił zdjęcia blondynce dogadzającej równocześnie trzem panom.

W pewnej odległości od płataniny nagich ciał stał i ze spokojem wszystko obserwował starannie ubrany, szpakowaty mężczyzna. Popijał drinka i spoglądał na zegarek.

- Widzisz to, co ja? - szepnął Jack.

- Charlie Morderca.

- Dobra, wycofujemy się.

Weszli do lasu, zaświecili latarki i ruszyli przed siebie.

- No, nawet jeśli Pancho się nie zjawi - mruknął Rizzo - możemy przymknąć Charliego za posiadanie narkotyków i stręczycielstwo. Miałeś rację, te dwie to jeszcze młodociane.

Jack nie odpowiedział. Skoncentrował się na jednym: obecność Charliego Bumpinsello świadczyła o tym, że Pepe powiedział prawdę. Wcześniej czy później pojawi się Pancho Villa.

Dróżka między sosnami stopniowo opadała i zwężała się. Nagle z ciemności dobiegł ich jakiś odgłos. Wyciągnęli pistolety i zdwoili ostrożność.

- Jezu Chryste - jęknął Rizzo.

W blasku jego latarki błysnęło dwoje nienawistnych żółtych oczu. Przed nimi stał wielki kojot. Zupełnie się nie bał. Otworzył paszczę i wyszczerzył ostre kły. Postawił uszy. Zawył przeciągle, a potem odwrócił się i uciekł. Rizzo i Jack stali jeszcze przez chwilę bez ruchu.

- Widziałeś jaki wielki, sukinsyn? - zapytał Rizzo.

- Taak... Chodźmy stąd.

*

W samochodzie brzęczał sygnał radiotelefonu.

Jack odebrał.

- Tu Raines, o co chodzi?

- Gdzie wy, do cholery, byliście? Właśnie dwieście metrów od nas przejechał czerwony jaguar.

- Co to znaczy dwieście metrów od was? Mieliście zająć pozycję na drodze.

- Jesteśmy na Holly Ridge Road.

- Z tymi od narkotyków to tak zawsze - Rizzo pokręcił głową.

- Jesteście nie w tym kanonie co trzeba - wrzasnął do słuchawki Jack. - Miało być Holly Ridge Drive a nie Road.

- Spokojnie, Raines. Pojedziemy i tam.

- Mieliście jechać na dół od Merigosa. Mówiłeś o tym dwadzieścia minut.

- Już jedziemy.

- Jaguar! - poderwał się Rizzo, wskazując na drogę.

Jack złapał za noktowizor i skierował go w stronę zbliżających się świateł.

Czerwony jaguar zwolnił i zatrzymał się przed domem Penrod. Z samochodu wysiadł wysoki mężczyzna w dzinsach i wojskowej kurtce.

- To on - szepnął Jack.

Pancho schylił się i wziął z tylnego siedzenia brązową płócienną torbę. Rozejrzał się, a potem szybkim krokiem podszedł do wejścia i zadzwonił. Drzwi otworzyły się i zniknął w środku.

- Bierzemy go - powiedział Jack.

- A co z tymi od narkotyków?

- Nie ma czasu. On wręczy kokę, a Bumpinsello pieniądze. Nie zabawi dłużej niż pięć minut. - Jack mówił nerwowo, urywanymi zdaniami. - Weźmiemy walkie-talkie. Ty zajdziesz od tyłu, a ja od frontu. Kiedy będziesz przy drzwiach, odezwij się. Potem ruszamy. Gdy ktoś ci stanie na drodze, wykorzystaj tę pukawkę.

- Boże, Jack, Nolan przysiągł, że...

- Słuchaj no, ci od narkotyków spieprzyli robotę. Nie mamy wyboru. Ten skurwiel zamordował Cordero.

- Okay - westchnął Rizzo.

- Daj znać, jak będziesz na miejscu.

Rizzo skinął i odszedł.

*

Jack stał cicho w unoszącej się między drzewami mgle. Odczekał dwie minuty i, wyskoczywszy z lasu kilkoma susami, znalazł się niedaleko domu Penrod. Przykucnął za tojotą zaparkowaną przy jaguarze.

Wyjął z kieszeni scyzoryk, ominął tojotę i podczołgał się do przedniego koła jaguara. Wstrzymał oddech, otarł nadgarstkiem pot z czoła.

W zewnętrzną ściankę białej opony wbił ostrze noża. Usłyszał syk uciekającego powietrza. Za chwilę przeciął drugą oponę.

- Jack... - dobiegł głos z walkie-talkie - słyszysz mnie? - Rizzo mówił stłumionym głosem.

- Słyszę.

- Jesteś gotowy?

- Tak.

- No to w drogę.

*

Rizzo otarł spoconą dłoń i wyjął rewolwer. Ukucnął i zajrzał przez okno.

W pokoju było kilka osób. Jedni spali, inni pili kawę i palili skręty. Charlie Bumpinsello stał blisko frontowego wejścia. Wyjmował z brązowej torby przezroczyste woreczki z kokainą. Obok Pancho Villa liczył studolarowe banknoty.

Rizzo wstał, zaczerpnął powietrza, kopnął drzwi i wpadł do środka.

Przeżalone dziewczyny w popłochu zaczęły szukać jakiegoś ubrania.

*

Mężczyzna w czarnym szlafroku rzucił się na Rizzo z kuchennym nożem. Vince powalił go na miejscu uderzeniem kolbą w skroń.

Pancho odwrócił się w stronę wejściowych drzwi, a wtedy Rizzo wypalił. Strzał sparaliżował wszystkich.

Charlie Bumpinsello podniósł ręce. W prawej dłoni trzymał jeszcze woreczek z kokainą.

*

Pancho wyskoczył z domu i rzucił się do samochodu. W lewej ręce trzymał portfel, a w prawej niemiecki P-38. Zauważył przebite opony, skręcił i pobiegł w kierunku drogi.

- Pancho, stój! - krzyknął zza tojoty Jack.

Kubańczyk odwrócił się, dwukrotnie wystrzelił i pobiegł dalej. Jack oddał również dwa strzały. Kule trafiły w asfalt.

Pancho zbiegł z drogi i skrył się w lesie. Jack przebiegł sprintem trzydzieści metrów, a potem kilkoma susami dopadł skarpy prowadzącej w kierunku drzew. Podążając za odgłosem kroków biegnącego Pancho, przeskakiwał od drzewa do drzewa. Rozległ się wystrzał. Obok głowy Jacka przeleciał kawałek gałęzi i rozciął mu skórę na czole.

Tym razem chrzęst gałęzi usłyszał z lewej strony, więc schował się za najbliższe drzewo. Znow rozległ się huk i świst kuli. Jack zauważył między drzewami chmurkę dymu.

Wycelował w tamtą stronę i pociągnął za spust.

Pancho, trzymając się za krwawiące udo, podskoczył z krzykiem. Trochę się cofnął, zachwiał i upadł. Z ręki wyleciał mu portfel i studolarowe banknoty rozsypały się po sosnowych igłach.

Jack ostrożnie ruszył w jego stronę. Kubańczyk leżał na plecach z grymasem bólu na twarzy.

- Nie ruszaj się! - krzyknął Jack, przykładając mu pistolet do głowy.

- Śmiało, Raines - jęknął Kubańczyk. - Nikt nie widzi. Możesz zemścić się za tego cholernego Cordero. No już, pieprzony frajerze, pociągnij za spust.

Jack poczuł falę gorąca, pulsującą w skroniach. Dotykał palcem spustu. Otarł z oczu krew. Serce waliło mu jak młot. Pociły się dłonie. Dochodził do punktu, z którego nie ma już powrotu. Stał na progu morderstwa.

Oczy Pancho zaszyły mgłą. Pomylił się. Ten gliniarz był w stanie go zabić.

Odwrócił się na lewy bok, złapał Jacka za przedramię i wykręcił je z zaskakującą siłą. Jack upadł na leżącego. Pancho wyciągnął myśliwski nóż i wbił Jackowi w udo. Ten wrzasnął i poczuł, jak krew cieknie mu z otwartej rany.

Pancho podnosił nóż po raz drugi, gdy wtem Jack usłyszał warknięcie i zobaczył strach w oczach Kubańczyka.

Na szyi Pancho zacisnęły się silne szczęki kojota. Przemytnik jęknął, a twarz wykrzywiło mu cierpienie. Tryskająca krew plamiła futro drapieżnika. Zwierzę cały czas charczało, wbijając zęby w ciało człowieka.

Jack złapał oburącz P-38 i dwukrotnie wystrzelił. Kojot padł martwy.

Wzmocniony adrenaliną Jack wstał i próbował utrzymać równowagę. Zrzucił martwe zwierzę z pokrwawionego Kubańczyka i usiadł mu na piersi. Chwytał go za szyję i mocno ścisnął.

Twarcz Pancho była już niemal niebieska, gdy silne ramiona ściągnęły z niego Jacka.

- Wystarczy, Jack, już wystarczy - krzyczał Rizzo.

*

Do salonu Glorii Penrod wpadały promienie porannego słońca. Jack kończył spisywać raport, Rizzo rozmawiał przez telefon.

Po chwili odłożył słuchawkę i podszedł do Jacka.

- Dzwonili ze szpitala okręgowego. Pancho znajduje się w stanie krytycznym, ale jest szansa, że z tego wyjdzie. A poza tym kojot był wściekły i będzie musiał dostać dwadzieścia siedem zastrzyków w brzuch.

- Kojotowi należy się pomnik - powiedział Jack.

Rizzo spojrzał w okno.

- O cholera, ale się narobiło. Jedzie Nolan.

- Ale nie zabiłem tego skurwiela.

- Niewiele brakowało.

- To prawda. Gdyby nie ty, wkopałbym się w morderstwo. Przez otwarte drzwi dobiegł odgłos opon hamujących na żwirze.

Chwilę później do salonu wszedł dowódca sekcji taktycznej.

Nolan stanął na środku i popatrzył na Jacka. Chciał coś powiedzieć, ale zmienił zdanie i podszedł do barku. Nalał do szklaneczki brandy i podał Jackowi.

- Masz, pij - rozkazał.

- Posłuchaj, John, zanim zaczniesz się wściekać, pozwól, że po kolei...

- Wypij to - przerwał Nolan.

- Tak jest.

Jack przełknął brandy i poczuł rozplływające się po żołądku ciepło. Nolan odchrząknął.

- Godzinę temu znaleziono w Bel Air zastrzeloną Laurę Sorenson. Twoja córka jest bezpieczna, w szkole.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Droga do Bel Air minęła w milczeniu. Jack siedział obok Rizzo, włączył wentylację i nieustannie palił papierosy. Bardzo bolała go rana, a poza tym miał uczucie, że ta okrutna noc była tylko fragmentem czekającego go koszmaru. Wiadomość o śmierci Laury przyjął ze wściekłością połączoną z niedowierzaniem. Bał się też myśleć o tym, w jaki sposób powie o tym Jenny.

Służbowy samochód zaparkował na podjeździe przed domem.

Wyszedł mu naprzeciw wysoki mężczyzna z wyrazem troski na twarzy. Miał na sobie granatową marynarkę ze złotą odznaką szeryfa na piersi.

- Porucznik Raines?

- Tak.

- Nazywam się John Scanlon. Jestem z wydziału zabójstw.

Spojrzał na zranione czoło Jacka.

- Cholernie panu współczuję - dodał natychmiast.

- Dziękuję. To jest mój współpracownik, sierżant Vince Rizzo.

Scanlon skinął głową.

- Dwadzieścia po dziewiątej dostaliśmy wezwanie. Zawiadomił nas niejaki Sorell, który przychodzi tu sprzątać. Teraz śpi na górze. - Scanlon zawiesił głos. - Rozmawiałem z Nolanem. Pomyślałem, że będzie pan chciał wziąć tę sprawę. Formalności możemy sobie darować.

- Tak, dziękuję. Czy ktoś już był w domku gościnnym?

- Nie wiedziałem, że coś takiego tu mają.

- Tu jest pięć akrów ziemi, a dom dla gości stoi za tym zagajnikiem. Chciałbym, żeby sierżant Rizzo tam zajrzał.

Scanlon zawołał umundurowanego policjanta.

- Price, weź specjalistę od badania śladów, fotografa i idźcie z sierżantem Rizzo.

- Tak jest!

W salonie panował zorganizowany zamęt: błyski aparatów fotograficznych, krzątanie techników zbierających odciski palców. Detektywi w cywilnych ubraniach i umundurowani policjanci przechodzili tędy do różnych pomieszczeń, co chwila też przemierzali prowadzące

na górę schody.

W rogu pokoju szef koronerów z Los Angeles badał ciało Laury Sorenson. Zanim ściągnął z niej wełnianą narzutę, pobrał z ramienia krew i kilka kropli umieścił na szkiełku laboratoryjnym.

- Zebrałem swoich najlepszych ludzi - powiedział Scanlon.

- Odnaleźliście już doktora Sorensona?

- Jeszcze nie.

- Zginęło coś cennego?

- Nic, na pierwszy rzut oka. Futra dalej wiszą w szafie, w kuchni została srebrna zastawa. Bizuteria też wygląda na nietkniętą.

Scanlon przeczesał siwe włosy.

- Jedno mnie tylko zastanawia - zostały zdjęte wszystkie obrazy.

- To nic dziwnego - powiedział Jack. - Ktoś szukał pod nimi sejfu.

- Możliwe.

- No a po cóż innego, kapitanie?

Scanlon się zarumienił.

- Proszę posłuchać. Wiem, że całą noc był pan tam na wzgórzu i słyszałem, co zaszło. Wcale nie chcę podważać pana zdania, tylko mam na głowie sześć zabójstw, a od czterech miesięcy nie miałem wolnego dnia. Proszę się nie obrażać.

- Przepraszam, kapitanie.

*

Koroner Torres był krępy, łysiejącym mężczyzną o meksykańskich rysach i brązowych oczach. Pracował z Jackiem przy wielu sprawach i łączyła ich zawodowa zażyłość.

- Przykro mi... - mruknął Torres.

- Chcę ją zobaczyć, Gabby.

- Nie powinieneś. Dostała trzy razy. W twarz, w brzuch i w klatkę piersiową.

Jack zignorował uwagę i zaczął zsuwać z Laury przykrycie. Torres złapał go za rękę.

- To moja żona - powiedział Jack. - Chcę ją zobaczyć.

- Dobrze panu radzi, poruczniku - wtrącił się Scanlon.

Jack westchnął i wyprostował się.

- Była torturowana? - zapytał.

- Nie - Torres pokręcił głową. - Była kompletnie ubrana, nie ma żadnych śladów napastowania. Jeśli to może mieć jakieś znaczenie, zabił ją pierwszy strzał.

- Skąd wiesz?

- Brak śladów krwi. Mózg przestał funkcjonować w jednej chwili.

- Z jakiej broni strzelano?

- Sądząc po wielkości wlotu - z trzydziestki ósemki.

- Nie znaleźliśmy łusek - powiedział Scanlon.

- A ustaliliście czas? - zapytał Jack.

- Według wszelkiego prawdopodobieństwa zabito ją pięć godzin temu, ale potwierdzenie dostaniemy dopiero wieczorem.

Dwaj sanitariusze w białych kitlach ostrożnie przenieśli ciało na nosze. Na perskim dywanie, w miejscu gdzie upadła Laura, Jack zauważył plamy z krwi.

- Zapalę świeczkę za jej duszę - powiedział Torres. - Przykro mi, *amigo*.

- Dziękuję, Gabby.

I koroner szybkim krokiem wyszedł z pokoju.

Scanlon wyjął paczkę cameli i poczęstował Jacka.

- Nie, dzięki.

- Wygląda na to - mówił kapitan, zapalając papierosa - że to sprawka złodziei, których coś spłoszyło. Ale z drugiej strony profesjonalny włamywacz zwykle nie zabija ofiary.

- Co to znaczy „zwykle”?

- No cóż, gdy profesjonalście nie powiedzie się któryś raz z rzędu, może zabić.

Podeszli do gablot z artefaktami.

- Tu jest coś poruszone - zauważył Scanlon. - Afrykańskie i prekolumbijskie eksponaty są na swoim miejscu, a ta statuetka... - przerwał wskazując na przedmioty z Bliskiego Wschodu.

Za stłuczoną szybą gabloty spoglądały na policjantów roześmiane oczy bożka Pazuzu.

- Przyjemniaczek - powiedział Scanlon.

Jack pokiwał głową.

- Eksponaty afrykańskie i prekolumbijskie były zrobione z drewna albo kamienia, a wśród bliskowschodnich zdarzały się złote.

- To wiele wyjaśnia.

- Jednak nadal uważam, że szukali sejfu w ścianie, a w nim czegoś cenniejszego niż gotówka czy biżuteria.

- Czego na przykład?

- Chciałbym to wiedzieć, kapitanie.

Sprzątacznik miał regularne rysy twarzy, ale pełne rozpaczony oczy przypominały Jackowi

podstarzałego gracza wyścigów konnych, który właśnie przegapił zakończenie gonitwy.

- Panie Sorell - powiedział Scanlon - oto porucznik Jack Raines. Zmarła była kiedyś jego żoną.

- O Jezusie, o Boże, tak mi przykro.

- Dziękuję. Nie chcemy pana zatrzymywać, panie Sorell. To z pewnością był dla pana szok. Proszę tylko powiedzieć, co pan wie.

- Przychodzę sprzątać co poniedziałek. Zjawiłem się kilka minut po dziewiątej. Brama była otwarta.

- Jak zwykle?

- Nie, ale czasami, jak pan Sorenson odwoził córkę do szkoły i wracał za piętnaście ósma, nie zamykał bramy.

- Ale nie zawsze?

- Nie.

- Proszę dalej.

- No więc przyjechałem, zabrałem ubrania z samochodu, podszedłem do drzwi i zadzwoniłem. Nikt nie otwierał. Nacisnąłem klamkę i było otwarte.

Pociągnął nosem i rękawem otarł twarz.

- Przepraszam, mam alergię.

- A co było potem?

- Wszedłem do środka, rozejrzałem się po salonie... - Sorell wykrzywił twarz. - Boże... nigdy tego nie zapomnę. Ona... ona wyglądała jak...

- Proszę tylko powiedzieć porucznikowi, co pan zrobił - przerwał Scanlon.

- Podszedłem do telefonu i zadzwoniłem na policję. Potem czekałem w samochodzie.

- Niech się pan teraz dobrze zastanowi - powiedział Jack. - Proszę zapomnieć o widoku ciała i skoncentrować się na tym, co pana zaintrygowało od momentu przyjazdu aż do telefonu na policję. Niczego osobliwego pan nie zauważył?

Sorell wstał, podszedł do okna i przez chwilę obserwował teren.

- Nie jestem pewien. Byłem roztrzęsiony, ale gdy wróciłem do samochodu, miałem wrażenie, że coś się poruszyło przy tamtych zabudowaniach.

- Przy domku dla gości?

- Jeśli to ten, tak.

- A co dokładnie pan widział albo się panu wydawało?

- Coś się ruszało. Może drzewo, jakiś cień, zwierzę albo człowiek. Nie jestem pewien.

Ale coś się ruszało koło domku.

Jack spojrzał na Scanlona.

- Chce pan jeszcze o coś spytać, kapitanie?

- Czy Sorensonowie zatrudniali służącą?

- Tak, leży w szpitalu św. Jana - powiedział Jack. - Kilka dni temu próbowano ją udusić.

- Skąd pan wie?

- Laura mi wczoraj mówiła.

- Mogę już iść? - zapytał Sorell.

- Mamy pana adres albo telefon?

Sorell skinął głową.

- Dałem sierżantowi numer do pracy i adres domowy.

- Dziękujemy za pomoc - powiedział Jack.

Do pokoju zajrzał umundurowany policjant.

- Jest pan wzywany przez radiotelefon, kapitanie.

Scanlon odwrócił się do Jacka.

- Może by się pan trochę rozejrzał. Zna pan przecież ten dom lepiej niż ja.

W sypialni jeden z laborantów zdejmował odciski palców z oprawionej fotografii.

- Jest coś? - zapytał Jack.

- Pełno śladów, ale chyba wszystkie należą do rodziny. Okaże się, jak sprawdzi to komputer FBI.

Jack podszedł do obszernego łóżka. Na nocnym stoliku stał telefon i leżały okulary.

Raines wyciągnął szufladę. Zobaczył notatnik podpisany „Dr Martin Sorenson”. W środku był tylko jeden numer telefonu: 202-555-8888.

Jack rozpoznał kierunkowy do Waszyngtonu. Zadzwoił natychmiast.

- Proszę o numer - usłyszał w słuchawce przyjemny, lecz surowy damski głos.

- Wykręcałem 202-555-8888.

- Pytam o pana numer.

- Dzwonię spod 213-471-27...

- Chodzi o pana osobisty numer - przerwała kobieta.

To pytanie nagle rozjaśniło mu w głowie. Zadzwoił do jednej z agencji rządowych.

- Proszę posłuchać - powiedział ostro. - Nazywam się Jack Raines. Jestem porucznikiem policji w Los Angeles. Prowadzę śledztwo w sprawie zabójstwa i muszę rozmawiać z doktorem Martinem Sorensonem.

Przerwał. Wiedział, że kobieta zastanawia się co zrobić.

- Słyszysz mnie pani? To poważna sprawa.

Połączenie trwało jeszcze minutę, a potem nagle zostało przerwane.

*

W salonie ucichło. Laboranci i policjanci wyszli. Wszyscy stali przed domem.

Jack rzucił okiem na poplamiony dywan i już miał wychodzić, gdy zjawił się Rizzo. Trzymał pod pachą oprawioną fotografię.

- W gościnnym domku nic specjalnego nie znaleźliśmy. Tylko to. Podał Jackowi fotografię. Przedstawiała grupę ludzi na tle wielkiego piaszczystego kopca. Wśród kilku mężczyzn stała przystojna blondynka. Doktor Sorenson obejmował ją ramieniem. Na dole widniał podpis: „Pyramid International z włoskimi i syryjskimi archeologami. Ebla. Maj 1981.”

- Czy ma to jakieś znaczenie? - zapytał Rizzo.

- To pytanie należy zadać Sorensonowi. Były jakieś inne zdjęcia?

- Tak. Laury, Jenny, Sorensona z konferencji medycznej i w kabinie statku.

Jack drżącą ręką podпалиł cygaretkę.

- Dobra, Vince, przypilnuj, żeby wszystko zostało opieczętowne. Niech kilku chłopaków tu zostanie. Umów się ze Scanlonem, aby się z nami konsultował.

- Masz jakiś pomysł?

- Może.

*

Jenny była zaskoczona, że w gabinecie dyrektora widzi ojca. Dostrzegła blizny na jego czole i zapytała, czy coś się stało.

- Chodź, Jenny, przejdziemy się.

Przytulił ją do siebie, uważając na prawą nogę. Przeszli w odległy zakątek szkolnego boiska.

Powstrzymując łzy, powiedział jej o śmierci Laury. Po pierwszym wstrząsie nastąpiła fala pytań. Mówił prawdę, ale omijał niektóre szczegóły.

Na koniec Jenny spytała, czy to na pewno nie jest pomyłka, i jej matka żyje. Pokręcił głową. Niestety, nie. Rozplakała się.

Przytulił ją i pocałował w mokry policzek.

- Masz jeszcze mnie - powiedział łagodnie. - Na zawsze.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Gabriella Bercovici i generał Zvi Barzani stali na szczycie ruin uznanych za centrum starożytnego Megiddo. Dokoła rozciągał się widok zielonozłotej równiny Jezreel. Z jednej strony padał na nią cień Wzgórz Golan, a z drugiej góry Tabor. Ten malowniczy widok zupełnie nie pasował do zaciętych bitew, jakie w tym miejscu się rozgrywały.

- Trudno tu sobie wyobrazić Armageddon - powiedziała Gabriella.

- Tym niemniej - odparł Barzani - Apokalipsa dość dokładnie podaje miejsce, gdzie nastąpi koniec świata. Właśnie tu, w Megiddo.

- To tylko legendy, nie fakty. - Uśmiechnęła się. - No, chyba że są przekonywające.

- A przyjechałaś do mnie z największą legendą o jakiej słyszałem.

- Mamy powody, aby wierzyć, że gdzieś tu jest tablica z ostatnimi słowami waszego Boga - Jahwe.

- Nie jestem pewien, czy w moim kraju jest ktoś zainteresowany ostatnimi słowami Jahwe. Skoro Mojżesz obawiał się je wyjawić, to chyba miał rację.

Przerwał im potężny huk.

- F-16 przekracza barierę dźwięku - wyjaśnił Barzani. - Lecą z misją rozpoznawczą nad Dolinę Bekaa.

W regularnych rysach twarzy generała dominowały czarne, pełne chłodu i pustki oczy, sprawiające wrażenie wyrzeźbionych w kamieniu. Ciemne, kręcone włosy przysypała siwizna, a na opalonej skórze pojawiły się zmarszczki. Barzani nie przekroczył jeszcze pięćdziesiątki, a przeżył już pięć wojen. Ostatnie działania, w jakich brał udział, miały miejsce w Libanie w 1982 roku, kiedy dowodził jednostką, która przełamała linie przeciwnika i otworzyła nadbrzeżną autostradę dla jego wojsk.

Był nieczuły na wojenne okrucieństwa, odkąd jego życie osobiste zniszczył bezsensowny mord. Żona i dwóch synów zginęło podczas napadu terrorystów na autobus jadący z Tel Awiwu do Hajfy. Zamarły w nim wszelkie emocje, poświęcił się wyłącznie wojskowej karierze i zainteresowaniom archeologią.

- Proszę, spojrzysz tam, Gabriello - wskazał palcem miejsce, gdzie falowało gorące powietrze. - W 1500 roku przed Chrystusem, stąd, na złotym rydwanie, atakował Kanaanejczyków faraon Tutenchamon Trzeci. A tam, w tym gaju oliwnym, król Dawid

przechytrzył Filistynów. - Wskazał na pobliską łąkę. - Na tym polu krzyżowcy stoczyli ostatnią potyczkę z Saladynami. Zostali wycięci w pień.

Gabriella kiwała głową, ale nie komentowała. Wiedziała, że fascynuje się historią swego kraju.

- A tutaj - ciągnął Barzani - dokładnie tutaj, gdzie stoimy, szesnastego kwietnia 1799 roku Turcy zaatakowali mały francuski garnizon. Uratował go oddział kawalerii dowodzony przez młodego oficera - Napoleona Bonaparte. - Położył jej na ramieniu dłoń. - Sporo się tu działo. A wy się chcecie w tym wszystkim grzebać?

- A ty nie? - Uśmiechnęła się. - Nie ma nic bardziej fascynującego niż odkrywanie ostatniego słowa Boga.

- Wasza ekspedycja w Ebla - powiedział Barzani, patrząc na równinę - narobiła zamieszania w dysydenckich kręgach Syrii. Doktor Gamasi odwołał konferencję prasową i oskarżył was o syjonistyczną propagandę.

- Ale gdyby tablica Mojżesza udowodniła, że Syryjczycy i Izraelczycy mają wspólne korzenie, byłoby to doniosłe odkrycie.

- Być może, ale póki co, chciałbym jeszcze dołożyć naszym syryjskim braciom.

W cieniu ruin, obok jeepa, siedziało dwóch żołnierzy uzbrojonych w automatyczne karabiny. Gabriella spojrzała na nich z niepokojem. Mieli spalone na miedziany kolor twarze, a oczy ukryte pod słonecznymi okularami. Pomyślała, że w ich beczynnym oczekiwaniu jest coś złowieszczonego.

Generał wyjaśnił po hebrajsku, że wraz z Gabriellą chce wejść w głąb wykopalisk.

Wejście odkryto w 1925 roku i od tej pory liczne wyprawy, metr po metr, penetrowały wnętrze kopca. Każda garść piasku odkrywała nowy rozdział w historii ludzkości.

Oświetlając sobie drogę latarkami umieszczonymi na czołach szli pochyleni ciemnym, chłodnym korytarzem. Poziom ten nazwano Stratum I; znaleziono w nim rękodzieła pochodzące z perskich i babilońskich wypraw wojennych. Kamienne schodki doprowadziły ich do Stratum II. Malowidła na wapiennych ścianach przedstawiały asyryjskich wojowników.

Na końcu korytarza wilgotne powietrze stało się ostrzejsze. Gabriella wzdrygnęła się na widok ruszającego się od robaków nadgniętego ciała ogromnego szczura.

Przeszli przez otwór wielkości człowieka. Światła latarek padły na marmurowe schody.

- Teraz ostrożnie - powiedział Barzani. - Dawno tu nikogo nie było. Marmur jest

śliski.

- Byłam tu w październiku 1973 roku. Pamiętny miesiąc.

Przez chwilę patrzyli na siebie, wspominając dawną zażyłość.

Gdy zaczęli schodzić w dół, wziął ją za rękę.

Włączył zasilane baterią światło. Ujrzeni kamienie pochodzące z wiosek, spichlerzy i obozów.

- To tu znaleźliśmy dokument stwierdzający, że Megiddo było piątym okręgiem wojskowym króla Salomona - powiedział Barzani.

- Och - westchnęła Gabriella. - Może cztery lub pięć metrów niżej leżą ukryte ostatnie słowa Jahwe.

- To nie takie proste, Gabriello. Potrzebna jest do tego zorganizowana ekspedycja archeologiczna. Musielibyśmy zatrudnić inżynierów, architektów, kreślarzy, robotników... Na to potrzeba co najmniej ćwierć miliona dolarów. A poza tym, jak znajdziemy tablicę Mojżesza bez legendarnych złotych trójkątów Itamara?

- Na złote trójkąty za bardzo nie ma co liczyć, chociaż Sabitini jest pewien, że to nie tylko legenda, a więc można mieć nadzieję, że choć jeden się znajdzie.

- Masz świadomość, że gdy znajdziemy tę tablicę, twoje życie będzie zagrożone? Nawet ja nie będę potrafił cię obronić.

- Przed Syryjczykami?

- Nig... do diabła z nimi. - Uśmiechnął się. - Przed Żydami. Staniesz się największym prorokiem Izraela od czasów Mojżesza. Wodzem wszystkich plemion hebrajskich. Dostaniesz miejsce w świątyni.

- Czy to znaczy, że będę musiała wstąpić do armii?

- Oczywiście. Ja ci załatwię przydział.

- Świetnie. - Uśmiechnęła się i nastawiła ostrość w japońskim aparacie. - Mamy trochę czasu?

- Tak. Stary z Jerusalem przyjmie nas dopiero po zachodzie słońca. Mam nadzieję, że wiesz, iż to tylko samozwańczy mędrzec. Kabalistyczny prorok. Można z nim rozmawiać o wizjach, nie o faktach.

- Być może, ale Sabitini uważa, że kabalistyczne teorie mogą wspominać o ostatnim słowie Jahwe.

- Dziwni jesteście, wy Rzymianie. Zburzyliście naszą świątynię, jednego z naszych cieśli uczyniliście Bogiem, zabijaliście jego zwolenników, a teraz po dwóch tysiącach lat chcecie się dowiedzieć, co mówił jego ojciec.

Roześmiała się.

- Nie pamiętam, żebyś kiedykolwiek był dowcipny. Atrakcyjny owszem, czasem nawet pociągający, ale nigdy dowcipny.

- No już dobrze. Rób te swoje zdjęcia. - Uśmiechnął się. - Pokaż profesorowi Sabitini, że się nie objąłeś w Ziemi Świętej.

*

Zaparkowali jeepa przy wzgórzu Syjon i wrotami Dung przeszli na Stare Miasto.

Gabriella zawsze podziwiała piękno Jerozolimy. Uważała, iż mimo wielu nieszczęść, jakie ją dosięgły, zachowała cały majestat.

Barzani dał jej wojskowy beret i kurtkę, która zupełnie nieźle pasowała do dzinsów. Wyjaśnił, że do dzielnic ortodoksyjnych Żydów kobietom nie wolno wchodzić z odkrytą głową.

Gdy krążyli po brukowanych uliczkach, cały czas podążali za nimi dwaj żołnierze.

Mijali mężczyzn z pejsami, ubranych w długie chałaty i czarne kapelusze z szerokim rondem. Kobiety w luźnych szatach, sięgających po czubki butów. Dzieci siedzące na balkonach, gdzie doskonaliły starożytne rzemiosło odręcznego przepisywania świętych pism. Wszystkie zakątki starej dzielnicy wypełniały melodyjne, hebrajskie modlitwy.

Generał zatrzymał się przy niewielkim domku i głośno zapukał w ciężkie drewniane drzwi. Otworzył mały chłopiec, a Barzani przepuścił Gabriellę przodem. Chłopiec poprowadził ich alkową do następnych drzwi i drewnianymi schodami zeszli do sutereny.

Pomieszczenie zalewało karmazynowe światło padające z lampki przysłoniętej czerwonym szkłem. Na trzech ścianach wymalowana była Gwiazda Dawida. Podłogę pokrywały kolorowe malowidła przedstawiające szakale, lwy, liczbę trzy, a w środku trójkąt z nagą kobietą o niewidzących oczach. Wokół jej ciała wiły się dwa węże. Dłońmi zakrywała piersi, odsłaniając jedynie sutki.

Na podłodze siedział starzec w purpurowej szacie, z czołem posypanym popiołem. Śpiewał pieśń w dialekcie aramejskim - język Boga Izraelitów. Chłopiec zatrzymał ich i kazał czekać. Starzec modlił się jeszcze kilka minut; nagle skończył, robiąc znak trójkąta.

Podniósł się i podszedł do nich. Miał skórę koloru kawy i niebieskie, przenikliwe oczy. Nie miał charakterystycznych dla ortodoksyjnych sekt pejsów, a siwe włosy swobodnie opadały na ramiona. Barzani domyślał się, że szaman był z pochodzenia Marokańczykiem lub Egipcjaninem.

- To ślepa córka Baala, siostra Pazuzu - powiedział słabym, lekko stłumionym głosem, wskazując na postać w trójkącie. - Jest kobietą-diabłem, nazywa się Isztar. Na tysiąc lat zanim

Jahwe przemówił do Mojżesza, natchnęła faraona Akhenatona siłą słońca. Posiada moc trójkąta, od którego pochodzą piramidy. Trzy tysiące lat przed Genesis była obecna w Samarii. Aż do chwili, gdy Jahwe pocałował Mojżesza, walczyła z archaniołem Michałem o duszę wielkiego proroka.

Starzec poruszał się jak w transie, patrzył niewidzącymi błyszczącymi oczami. Pomieszczenie wypełniała słodka woń.

- W Megiddo znajdziecie Isztar. Nadal posiada wielką moc i tam zasnęła na wieczność. Jej szatańską rękę może powstrzymać tylko prorok Elias.

- Czym zgrzeszył Mojżesz? - zapytał łagodnie Barzani. - Dlaczego tak wielki prorok nie mógł wkroczyć do Ziemi Obiecanej?

- W księdze życia możemy wyczytać, że na miejscu wody zatracił ostatnie słowa Mojżesza. Nic więcej nie wiem.

Barzani skinął głową i wsunął starcowi do ręki pieniądze.

*

Lekko zamglony księżyc świecił niczym samotne złowieszcze oko. Wśród budynków z czerwonej cegły cichł chłodny wiatr wiejący od wzgórz Judei. Po Via Dolorosa przemykały koty o żółtych oczach. Z otwartych okien kościoła Świętego Grobu dobiegały gregoriańskie śpiewy. W dzielnicy arabskiej do modlitwy wzywał wiernych zawodzący głos muezina.

Gdy szli ulicą Smutku, mijając stacje drogi krzyżowej, generał Barzani objął Gabriellę ramieniem. Dwaj żołnierze, idący za nimi, cały czas trzymali palce na spustach automatycznych pistoletów. Mimo dużej liczby kościołów, meczetów i synagog starożytne miasto Dawida nie sprawiało wrażenia pobłogosławionego pokojem.

Gabriella drgnęła.

- Zapnij kurtkę - powiedział Barzani. - W Jerozolimie noce są zawsze chłodne.

- Nie jest mi zimno. Przypomniałam sobie tego starca.

- Eee, nie ma się co przejmować. Ci prorocy żyją tylko ze znaków, symboli i niejasności w Biblii.

- A jednak wiele się zgadzało z inskrypcją Itamara - odpowiedziała. - Powiedział, że Mojżesz „zatracił” słowa Boga.

- Faktycznie, ale pamiętaj, że te wszystkie prorocтва przeszły przez usta wielu pokoleń różnych mędrców. Mają chyba niewiele wspólnego z prawdą.

- Możliwe, ale wierzę, że stary ma zdolności wizjonerskie. - Przerwała na chwilę. - A co sądzisz o tym, że Isztar nadal jest w Megiddo?

- To tylko legenda Kanaanejczyków, nic więcej.

- Wiem, ale prawie każde poważniejsze odkrycie archeologiczne opierało się częściowo na legendzie.

- Zapomnij o tym starcu, Gabriello. Mamy w ręku tekst Itamara. To jest fakt, a nie legenda. Potrzeba nam tylko funduszy na dokopanie się do warstw z czasów Itamara. A potem z trójkątami albo bez zrobimy co się da. Wszystko zależy od tego, czy uda ci się zdobyć pieniądze.

- Taak... - westchnęła. - W gruncie rzeczy wszystko sprowadza się do pieniędzy.

Gdy przechodzili przez wrota Dung, generał odwrócił się do żołnierzy i powiedział coś po hebrajsku.

- Po co idziemy na wzgórze? - zapytała.

- Zapomniałem, że mówisz po hebrajsku. - Uśmiechnął się. - Chciałbym, żebyś ze wzgórza Syjon zobaczyła Stare Miasto.

Objął ją mocniej i ruszyli łagodnym podejściem. Wiatr rozwiewał jej włosy. Dotarli do zagajnika i popatrzyli na oświetlone kopuły meczetów i wieże kościołów. Widzieli zalaną światłem Zachodnią Ścianę Drugiej Świątyni.

- Pięknie.

- Nie tylko. W każdym kamieniu mieszka historia. Kiedy byłem bardzo młody, przychodziłem tutaj i... - głos mu zadrżał i z trudem się uśmiechnął. - Ech, to było zupełnie inne życie.

Odwrócił się i dotknął jej włosów. Wzmagął się wiatr i delikatnie szumiały drzewa.

- Wiesz, myślę czasami o tej październikowej nocy. O nas. O huku syryjskiej artylerii w uszach i krwi moich synów na mundurze. - Przerwał. - Dopiero z upływem czasu zaczynam rozumieć, jak wiele wtedy dla mnie zrobiłaś.

- Kochanie się z tobą nie było z mojej strony uprzejmością. Chodziło o to, żebyś zwrócił się ku życiu i potraktował śmierć jak złudzenie.

Uścisnął jej dłoń i stali milcząc w świetle księżyca, spoglądając na starożytne miasto króla Dawida.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

„Królowo Święta, Matko Miłosierdzia... nasze życie, nasza dobroci i nasza nadziejo. Do Ciebie ślemy westchnienia, szlochy...”

Pogrzeb Laury odbywał się we wtorek. Słowa księdza słyhać było aż za rogiem Chalon Road, skąd nadjeżdżał Jack.

Doktor Martin Sorenson zatrzymał się na przedmieściu Waszyngtonu - Maryland, a na pogrzeb do Los Angeles przyleciał własnym samolotem.

Jack starał się odciągać uwagę córki od telewizyjnych programów transmitujących ceremonię. Brutalne morderstwo Laury Sorenson - byłej żony porucznika policji i obecnej towarzyszki życia znanego lekarza - stanowiło doskonały temat zawierający wszelkie elementy sensacji, zapewniające wysoką oglądalność.

Po pogrzebie żona Rizzo - Angela - zaproponowała, że zaopiekuje się Jenny, na co Jack zgodził się z wdzięcznością. Rodzina Rizzo miała trzy córki, z których jedna była w tym samym wieku co Jenny, więc wydawało się, że będzie to dla dziewczynki idealne miejsce na czasowy pobyt.

*

Jack skręcił w bramę posiadłości Sorensonów, przejechał pełną zakrętów drogę i zaparkował obok samochodu doktora. Minął czterech robotników wynoszących dużą sofę i wszedł do domu.

Sorenson był wysokim, dobrze umięśnionym mężczyzną o surowych rysach twarzy, które łagodził szczerzy uśmiech. Częste kontakty z morzem sprawiały, że miał zawsze ogorzałą twarz. Ciemnoniebieskie oczy i srebrne włosy jeszcze wyraźniej kontrastowały z miedzianym kolorem skóry.

Uścisnęli sobie dłonie, a Sorenson się uśmiechnął.

- Rozumiem, że to oficjalna wizyta?

- Być może.

- Dobrze. Jak widzisz zabieram wszystko i wyprowadzam się. Będę mieszkał na jachcie. Nie znoszę tego miejsca...

- Rozumiem - powiedział Jack. - Możemy porozmawiać?

- Proszę. Może tam.

Gabinet był obszerny, wyposażony w barek i stół bilardowy. Okno wychodziło na wspaniały różany ogród.

- Napijesz się?

- Nie, dziękuję.

Doktor nalał brandy do kieliszka i zamieszał złoty płyn.

- Jestem jeszcze trochę roztrzęsiony. Nie mogę się pogodzić z jej śmiercią.

- Ja też.

Pomimo powierzchownej serdeczności wyczuwało się między nimi pewne napięcie. Okrutna śmierć Laury była dla obu jakby oskarżeniem - tak czy inaczej, obydwaj ją stracili.

- Jak tam Jenny?

- W porządku.

- Bardzo miło, że Rizzo się nią zaopiekują.

- Tak, istotnie - odpowiedział Jack, wyjmując z kieszeni złożoną fotografię. - To odbitka z oryginału, który Rizzo znalazł w domku gościnnym.

Sorenson spojrzał na zdjęcie z podpisem: „Ebla, 1981”.

- Możesz podać personalia tych ludzi?

Doktor skinął głową.

- Od lewej: doktor Amin Gamasi. - Przerwał. - Tytuły też?

- Mogą się przydać.

- Gamasi zajmuje się starożytnością w syryjskim Ministerstwie Kultury. Obok profesor Emilio Sabitini, dziekan wydziału studiów nad Bliskim Wschodem na Uniwersytecie Rzymskim, jeden z najsławniejszych archeologów świata.

Jack notował, a Sorenson ciągnął dalej.

- A ta urodziwa kobieta to Gabriella Bercovici. Współpracuje z Sabitinin, jest świetną lingwistką.

- To znaczy?

- Specjalistką od starożytnych języków. Zajmuje się dialektami semickimi i bliskowschodnimi. W swojej dziedzinie jest najlepsza - rzadka kombinacja urody i rozumu. Po jej lewej stronie - ja, a po mojej lewej lord Anthony Hamilton, dalej Pierre Claudon i w końcu doktor Howard Emory. - Napił się brandy. - Ta ostatnia trójka - Hamilton, Claudon i Emory, a także ja - tworzymy konsorcjum zwane Pyramid International. Finansujemy ekspedycje archeologiczne. Z jednej strony hobby, a z drugiej odpisy od podatków.

- Data na podpisie jest prawdziwa?

- Tak. Zdjęcie zostało wykonane w maju 1981 roku w Syrii, podczas wykopalisk w

Ebla. To piaszczyste wzgórze w tle nazywa się Tell Mardikh. Po sześciu latach poszukiwań syryjsko-włoski zespół odkrył tam starożytne królestwo Ebla.

- Kiedy zakończyły się wykopaliska?

- Zeszłego lata. Rząd syryjski opieczetował teren i wydalil grupę Sabitiniego.

- Dlaczego?

- W Ebla została odkryta biblioteka królewska z tysiącami glinianych tabliczek zapisanych trudnym do rozszyfrowania pismem klinowym. Pannie Bercovici udało się ustalić język, co bezwzględnie udowodniło obecność Izraelitów w północnej Syrii na dwa tysiące lat przed jakimikolwiek śladami Islamu. Rząd syryjski uznał, że tabliczki zagrażają ich kulturze i podważają arabskie pochodzenie. Innymi słowy, gdyby ujawniono choćby najmniejsze przypuszczenia, iż Syryjczycy pochodzą od izraelickich plemion, w arabskim świecie straciliby prestiż.

- A idąc dalej - dodał Jack - Syryjczycy nie życzą sobie nikogo, kto mógłby udowodnić ich hebrajskie koneksje.

- Przesada, Jack. Sugerujesz, że Syryjczycy mogą być zamieszani w śmierć Laury.

- Może i przesada, ale nie da się tego wykluczyć.

- Niezupełnie - sprzeciwił się Sorenson. - Wiadomość o tabliczkach z Ebla i hebrajskich koneksjach dostała się do prasy przed rokiem. Doktor Gamasi oskarżył odkrywców Ebla o syjonistyczną propagandę. Niemożliwe, aby dopiero teraz przyczyniło się to do zabójstwa Laury.

Jack pokiwał głową i zapalił cygaretkę.

- Laura mówiła, że wyjeżdżałaś.

- To prawda.

- W jakim celu?

- W interesach.

- Jakich?

- Nie mogę o tym rozmawiać ani z tobą, ani z nikim innym.

- Dlaczego?

- Dość powiedzieć, że nie ma to żadnego związku ze śmiercią Laury.

Jack wyjął z kieszeni kartkę papieru.

- Poznajesz ten numer?

- Tak.

- Do kogo należy?

- Nie mogę powiedzieć.

- Dzwoniłem tam - powiedział Jack. - Połączyłem się z agencją wywiadowczą w Waszyngtonie. Recepcjonistka poprosiła o mój numer identyfikacyjny. Dla jakiej agencji pracujesz?

- A co to ma wspólnego ze śmiercią Laury?

- Może nic, ale proszę o odpowiedź.

Sorenson przeczesał siwe włosy i westchnął.

- No dobrze. Zaszliśmy za daleko. Pracuję dla NASA nad tajnym projektem rządowym związanym z neurofizjologią. Rzecz dotyczy badania zachowań.

- Jak dalece była w to wtajemniczona Laura?

- Wcale nie była wtajemniczona. Mówiłem jej, że moje nieobecności związane są z pracami badawczymi dla Medycznego Centrum Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych.

- Przerwał na chwilę. - Jak wiesz, Laura miała szczęście do mężów, którzy niewiele mówią o swojej pracy.

Jack przemilczał sarkastyczną uwagę.

- Jesteś pewien, że żadna agencja rządowa nie szukała tu jakichś dokumentów albo orzeczeń związanych z twoimi badaniami?

- Absolutnie.

- No dobrze. A co z innymi zajęciami? Masz przecież kompleks medyczny w Westwood - od dentystów po chirurgów mózgu. Jakieś problemy ze współnikami, pacjentami? Może ktoś żywi do ciebie urazę albo jakiś psychopata chciał się zemścić?

- Nic o tym nie wiem, ale niezrównoważonej osoby, szukającej z jakichś wymyślonych powodów zemsty, nigdy nie można wykluczyć.

- Ile jest wart cały ośrodek?

- W gotówce, uwzględniając wszystko, gdzieś około dwudziestu milionów.

- Dokonywaliście ostatnio jakiejś niecodziennej transakcji?

- Cóż... parę miesięcy temu wykupiłem udziały doktora Emory.

- Tego samego, co na fotografii?

- Tak.

- Wszystko przebiegało w przyjaznej atmosferze?

- Negocjacje były dosyć twarde, ale przy dużych sumach pieniędzy to normalne.

- Gdzie go teraz znajdę?

- Jest na emeryturze, mieszka w Palm Springs.

- Poproszę o numer telefonu i adres. Także numer na jacht.

- To wszystko?

- Masz gdzieś w ścianie sejf?

- Nie, a czemu pytasz?

- Pozdejmowano wszystkie obrazy. Najwyraźniej poszukiwano sejfu.

- To się rozczarowali. Możemy już skończyć?

- Jeszcze minutkę.

Jack zgasił cygaretkę.

- Czy Laura kogoś miała?

- Nic o tym nie wiem.

- A ty?

- Nie - odpowiedział szybko Sorenson, a potem dodał: - Nie jestem detektywem, ale wydaje mi się oczywiste, że Laura trafiła na zwykłych opryszków, którzy nakryci przez nią, zabili.

- Możliwe, ale w żadnym razie nie oczywiste. Koroner doniósł o śladach po oparzeniu na skórze i ubraniach. Została zabita z bliska, niemal jak na egzekucji.

Sorenson dokończył brandy.

- Dam ci te numery.

Zapisał swój numer telefonu, a potem dodał numer i adres doktora Emory w Palm Springs.

Jack schował kartkę do kieszeni.

- Martin, nie wiem, czy Syryjczycy są w tę sprawę jakoś zamieszani, nie wiem, czy ma z nią coś wspólnego twoja agencja. Może to zwykłe morderstwo, ale doświadczenie mówi mi, że czegoś tu szukano. Czegoś niewielkiego, co zmieści się w ściennym sejfie. Myślę, że wiesz o co chodzi, a jeśli mam rację, lepiej, żebyś był ze mną szczery, bo to może się nie skończyć na Laurze.

- Do widzenia, Jack - powiedział spokojnie Sorenson.

*

Wracając do gabinetu Sorenson zauważył czerwone światelko na automatycznej sekretarce. Nacisnął klawisz i podniósł słuchawkę. Połączenie międzykontynentalne - usłyszał. - Rzym, Włochy. Gabriella Bercovici pragnie rozmawiać z doktorem Martinem Sorensonem. Proszę dzwonić do biura - 514-6037 lub do domu 591-4876.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Artur Benson ubrany był w starannie skrojoną niebieską marynarkę, czerwoną kamizelkę i zielone spodnie oraz błękitną koszulę z granatową muszką. Jego nos pokrywała sieć czerwonych żyłek, a wypięłgnowane wąsy przyciągały uwagę. Przypominał podstarzałego aktora z Broadwayu, który ma za sobą spore doświadczenie w zawodzie hazardzisty, natomiast nie miał w sobie nic z okręgowego dowódcy FBI.

Rozparty w fotelu rozmawiał przez telefon i końcami palców podkręcał wąsy. Starając się unikać spojrzeń dwóch siedzących naprzeciw detektywów, nerwowo błędził wzrokiem po gabinecie.

- Powiedz im, żeby zwrócili akta Simmonsowi - polecił Benson. - Chodzi tylko o narkotyki. Dziękuję, Mary.

Odłożył słuchawkę, wyciągnął szufladę, wyjął flakonik z tabletkami Gelusil i połknął dwie.

- Mam jakieś dolegliwości żołądkowe.

- Co z aktami Sorensona? - zapytał Jack.

Benson wstał, podszedł do syfonu z wodą, napełnił papierowy kubek, wypił do połowy, wyrzucił naczynko do kosza i wrócił za biurko.

Odchrząknął.

- Szkoda gadać. Zrobiłbym wszystko, żeby załatwić tę sprawę. Sęk w tym, że nie ma legalnych podstaw, aby udzielić takich informacji.

Rizzo spojrzał na Jacka w nadziei, że ten zachowa spokój. Nie zawiódł się.

- Nie proszę o żadną osobistą przysługę. Oficjalnie występuję o akta doktora Martina Sorensona. Czego tu się, do diabła, bać? To zwykła procedura.

- Sami wiecie, czego się boję. Mówiliście, że Sorenson związany jest z tajnym, projektem rządowym.

- Boże drogi, przecież chodzi o NASA.

- Może i tak, ale nie wiadomo, jaka agencja realizuje projekt. Może CIA, DIA albo NSA, albo nawet ta cholernie tajna NRO. Tu jest jak w Bejrucie, nikt nie wie, kto jest pierwszy. Taka informacja wywołałaby w Waszyngtonie reakcję łańcuchową. Byłbym na zawsze spalony.

Jack podszedł do ściany, na której wisiały zdjęcia Richarda Nixona obejmującego Bersona. Długo przyglądał się fotografii, a potem zwrócił się do niego:

- No dobra. Koniec z tymi bzdurami. Dwa miesiące temu Rizzo i ja dostaliśmy z wydziału kryminalnego twoje akta.

Benson nerwowo gładził wąsa.

- Boże, chyba nie chcecie ich ujawnić.

- A właśnie, że tak, cholera jasna! - krzyknął Jack. - I nie zasłaniaj się krótką pamięcią. Założyłeś nielegalny podsłuch w biurze radcy Mirella.

- I nadal działa - dodał Rizzo.

- Dobra, koledzy - wyjąkał Benson. - Ja... ja was bardzo szanuję, ufam wam w stu procentach.

- I nie zawiedliśmy cię - odpowiedział Jack. - A teraz prosimy o małą przysługę, a ty wciskasz nam biurokratyczne gadki.

- Jezu, Jack, przecież ty pracowałeś w agencji, wiesz, co to za świat. Ukrzyżują mnie.

- Za co?

- Za ujawnienie tajnego przedsięwzięcia.

- Przecież nie wiesz, że Sorenson jest agentem. To tylko rutynowe działanie Oddziału Taktycznego. Została zamordowana żona Sorensona, więc musimy wszystko sprawdzić.

- Przykro mi, ale będzie potrzebne podanie od Nolana.

- Nie wkurzaj mnie, Artur - powiedział Jack. - Wiesz cholernie dobrze, że Nolan nie chce podpisać. Albo spełnisz naszą prośbę, albo damy znać Mirellowi, że ma w biurze podsłuch.

- To się sprowadza do szantażu.

- Nie, to się sprowadza do morderstwa.

Benson popatrzył na nich chwilę, a potem nacisnął guzik interkomu i powiedział:

- Mary, przyjdź tu z czymś do pisania.

Otworzyły się dźwiękoszczelne drzwi i weszła wysoka, niezgrabna dziewczyna. Wydawało się, że jej wielkie, smutne oczy przyprawiają Bersona o stres. Trzymając w dłoni notatnik, stała niezdecydowana przy drzwiach.

- Usiądź, Mary - powiedział Benson, wskazując na sofę. Zakrył dłońmi twarz i odchylił się w fotelu. - To teleks o nadzwyczajnej ważności. Wykorzystaj kod. Benson do Manningsa - pilnie potrzebne akta doktora Martina Sorensona, S-O-R-E-N-S-O-N. Na prośbę porucznika Jacka Rainesa, R-A-I-N-E-S, z Oddziału Taktycznego Policji Los Angeles.

Dziewczyna spojrzała z sympatią na Bersona.

- Dziękuję, Mary.

Szybkim krokiem wyszła z pokoju.

- No i nic się takiego nie stało, prawda, Arturze?

- To było nielegalne.

- Podśłuch też.

- Wszystko się równoważy - powiedział Benson. - Przyjaźń jest w życiu najważniejsza.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Gabriellę obudził natarczywy dzwonek telefonu. Była naga i spocona. Niedbale zainstalowana wentylacja nie przynosiła żadnych efektów. Zielone cyferki zegara na nocnym stoliku pokazywały za kwadrans szóstą.

- *Pronto?* - odebrała po włosku.

- Czy to Gabriella Bercovici?

- Tak, to ja.

- Mówi Martin Sorenson.

W jednej chwili poczuła się całkiem rześko.

- Przepraszam, że o takiej porze, ale nie wiem, kiedy miałbym następną okazję zadzwonić.

- Nic nie szkodzi. Chwileczkę.

Wstała i otworzyła okno, żeby wleciało świeże powietrze. Zdając sobie sprawę, że to absurdalna reakcja, włożyła szlafrok. Jakieś podświadome skrupuły nie pozwalały jej rozmawiać przez telefon nago.

Usiadła na brzegu łóżka i podniosła słuchawkę.

- Przepraszam, Martin. O co chodzi?

- Dzwonię w związku z twoim telefonem.

- Ach tak, oczywiście - odpowiedziała. - Chciałam ci powiedzieć, że znaleźliśmy w Ebla kamień i sfotografowałam go zanim nas złapali. Jest na nim napis - ostatnia wola izraelickiego kapłana Itamara. Mówi o misji, podczas której umieścił w Megiddo tablicę Mojżesza z ostatnimi słowami Boga.

- To chyba możliwe - odparł Sorenson. - Było na ten temat wiele plotek. Mimo wszystko chodzi o słowa Boga?

- Tak, tablica zawiera końcowy edykt, którego Mojżesz nie ujawnił Izraelitom. Generał Barzani powiedział, że postara się o zezwolenie na pogłębienie wykopów.

- Rozumiem...

- I jeszcze coś. - Gabriella sięgnęła po papierosa. - Na kamieniu Itamara jest puste trójkątne miejsce. Zgodnie z napisem, w tym miejscu powinny być złote trójkąty, dokładnie wskazujące miejsce ukrycia tablicy.

- Mówisz, trójkąty?

- Tak. Profesor Sabitini mocno obstaje przy trzech, bo to dla Izraelitów magiczna liczba. - Zawahała się. - Trójkąty zaginęły.

Sorenson czuł, jak krew uderza mu do głowy, ale starał się mówić tym samym tonem.

- Dlaczego do mnie się z tym zwracasz?

- Barzani wyliczył, że na zejście do następnego poziomu w Megiddo potrzeba przynajmniej ćwierć miliona dolarów.

- Jeśli nawet uda się pogłębić wykopaliska, jak bez trójkątów znajdziecie tablicę?

- Przeszukując każdą komnatę, każdą kryptę, każdy grobowiec.

- Tak, to oczywiście bardzo intrygujące, ale w tej chwili nie jestem w stanie o niczym decydować. Przeżyłem straszną tragedię osobistą. Tydzień temu zginęła moja żona. Została zastrzelona.

Przez chwilę Gabriella nie była w stanie nic powiedzieć. Zaciągnęła się głęboko papierosem.

- Przykro mi, Martin. Przepraszam, o niczym nie wiedziałam - powiedziała w końcu.

- Nic nie szkodzi - odparł Sorenson. - Dziękuję za telefon. Jak się wszystko ułoży, skontaktuję się z tobą.

- Przyjmij moje kondolencje. Także profesora Sabitini.

- Dziękuję ci, Gabriello.

Odłożyła słuchawkę i podeszła do okna. Jasne słońce wolno wschodziło ponad wieże i kopuły Wiecznego Miasta.

*

Sorenson zamyślony odszedł od telefonu. Był zaskoczony, że Gabriella tak szybko odkryła przydatność trójkątów. Ale nic się nie stało. Ta rozmowa w niczym nie mogła zmienić jego planów.

Od momentu gdy dowiedział się o śmierci Laury, miał przed sobą jasno wyznaczony cel. Wkrótce się przekonają, że Martin Sorenson nie jest człowiekiem, którego można bezkarnie zdradzać.

Śmierć Laury musiała być pomszczona.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Brezentowy dach samochodu wystawiony był na gorące pustynne słońce. Panującą wewnątrz ciszę zakłócał szmer wentylacji i podająca najświeższe wiadomości radiostacja. Po obu stronach drogi, którą Jack zmierzał na zachód, ku purpurowej sylwetce góry San Jacinto, rosły rozłożyste palmy.

Palm Springs nie należało do jego ulubionych rejonów. Uważał, iż natłok moteli, zajazdów i barów szybkiej obsługi zniszczył dawny urok tego miejsca. Teraz stało się azylem dla gasnących gwiazd filmowych, uzależnionych od alkoholu pisarzy i podstarzałych bogatych wdów, które siedząc nad brzegiem basenów i sącząc martini, opalają się aż do uszkodzeń skóry. A powyżej, na zboczach San Jacinto, obok ogromnych willi, milionerzy grają w tenisa, urządzają drogie przyjęcia i paplają o świetlanej przyszłości.

Do domu państwa Emory skręcało się z bulwaru Las Palmas. Purpurowa roślinność opadała kaskadami na białe ściany, a wysokie palmy ocieniały czerwony dach. Po wyjściu z chłodnego samochodu Jacka uderzyło gorące powietrze.

Drzwi otworzyła wysoka, dystygowana kobieta w średnim wieku. Miała delikatne dłonie i pozbawioną zmarszczek twarz. Jedynie brązowe oczy i ściągnięte ciemne brwi zdradzały napięcie i przygnębienie.

Pokazał złotą odznakę.

- Porucznik Jack Raines - przedstawił się.

- Ach tak, nazywam się Helena Emory. Proszę do środka.

Wszedł do obszernego salonu z wyjściem na patio i basen. Stare, francuskie meble z pewnością musiały być bardzo drogie. Na ścianach znajdowała się imponująca kolekcja współczesnego malarstwa. Zauważył eksponaty w szklanych gablotach podobnych do tych z domu Sorensona. Na szklanym cokole stał posązek, na widok którego Jacka przeszedł dreszcz - przedstawiał kanaanejskiego bożka zła - Pazuzu.

Pani Emory nerwowo zaciskała dłonie.

- Dzwoniłam do pana, ale nie mogłam pana zastać. - Przerwała na moment, żeby strzepnąć z białej bluzki niewidoczny pyłek. - Mój mąż miał w nocy ciężki zawał. - Jej głos zdrzął. - Właśnie wróciłam ze szpitala. Dają mu niewielkie szanse.

Jack odchrząknął.

- Tak mi przykro. Nie miałem pojęcia. Możemy się spotkać kiedy indziej.

- Nie, nie. Mnie nic nie jest. Jechał pan z tak daleka. Wiem, że prowadzi pan ważne śledztwo. - Wyjęła papierosa ze srebrnej papierošnicy. - Śmierć Laury bardzo wstrząsnęła mną i moim mężem.

- Jest pani w stanie odpowiedzieć na kilka pytań?

- Oczywiście. - Zapaliła papierosa i zaciągnęła się głęboko. - Napije się pan czegoś zimnego?

- Wody, jeśli można.

Podeszła do barku, wrzuciła do szklanki kilka kostek lodu, otworzyła butelkę wody mineralnej i ostrożnie napełniła szklankę. Jack wiedział, że pozorny spokój jest wynikiem zmęczenia i nie przespanej nocy.

- Próbowałam dodzwonić się do syna w Chicago - powiedziała, podając mu wodę - ale wyjechał do chorego. Jest pediatrą i to całkiem dobrym. - Usiadła i założyła nogę na nogę. - A zatem, w jaki sposób mogę panu pomóc, panie Raines?

- Z tego co wiem, pani mąż i doktor Sorenson wspierali finansowo wyprawę archeologiczną.

- Tak, w Syrii. Również przy udziale Francuza Pierra Claudona i Anglika Lorda Anthony Hamiltona.

- Ta zabawka też pochodzi z Syrii? - zapytał Jack, wskazując na brązowego bożka Pazuzu.

- Tak, istotnie. Dostaliśmy go niedawno w prezencie od Lorda Hamiltona. A czemu pan pyta?

- Tak sobie. Podobny posązek widziałem u Sorensonów.

- To jakiś bożek zła. Z tego, co mówił mój mąż, dosyć rozpowszechniony w kulturze bliskowschodniej.

- Doktor Emory bardzo angażował się w tę wyprawę?

- Nie. Howard raz pojechał latem do Syrii i traktował ten wyjazd raczej jako wakacje.

- A pani z nim była?

- Nie. - Uśmiechnęła się. - Żony nie zostały zaproszone.

- Można zatem przyjąć, że doktor Emory nie był specjalnie zaangażowany.

- Owszem. Martin Sorenson kilka lat temu rozbudził w nim zainteresowania archeologią, ale traktuje ją jak hobby.

Jack pokiwał głową i napił się wody.

- Zdaje się, że pani mąż i doktor Sorenson byli również współnikami w kompleksie

medycznym w Westwood.

Uśmiechnęła się smutno.

- Dużo pan wie, poruczniku.

- Gdyby to była prawda, nie przyjeżdżałbym tutaj. Jak się układają stosunki między nimi?

- Zawsze byli przyjaciółmi, ale ostatnio, gdy Martin wykupił udziały mojego męża, stosunki nieco się popsuły.

- Ale doszli do porozumienia?

- Oczywiście. Po negocjacjach znów wszystko układa się dobrze.

- Kiedy ostatni raz widziała pani Laurę Sorenson?

- Kilka miesięcy temu na kolacji.

- Gdzie?

- U Sorensonów.

- Zdarzyło się coś niezwykłego?

- Nie wiem, co pan ma na myśli.

- Na przykład, ostra wymiana argumentów, nadużycie alkoholu, nieporozumienia między Laurą i Sorensonem albo między pani mężem a doktorem?

- Hm, owszem. Przed obiadem Howard i Martin zamknęli się w gabinecie. My z Laurą siedziałyśmy w salonie. Słyszałyśmy podniesione głosy.

- Sprzeczkę?

- Tak, ale krótką. Trochę ich poniosły nerwy. Martin mówił coś o trójkącie.

- O figurze geometrycznej?

- Tak.

- A co na to pani mąż?

- Nie wiem czy dobrze słyszałam, ale mówił o konieczności skontaktowania się z Hamiltonem.

- Czy wynikało z tego, że pani mąż sugerował, aby poinformować Hamiltona o trójkącie?

- Ja tego tak nie odebrałam.

- Pytała pani męża o ten trójkąt?

- Nie. Później atmosfera się poprawiła i zapomniałam o wszystkim.

- Jaką dziedziną medycyny zajmuje się pani mąż?

- Jest chirurgiem mózgu.

- Może pani opisać okoliczności zawału?

- Oglądaliśmy na górze telewizję, gdy zadzwoniono do drzwi. Howard powiedział, że czeka na kogoś, z kim prowadzi interesy.

- Powiedział kogo?

- Nie. - Zawahała się. - Chyba nie pytałam.

- Która była godzina?

- Dokładnie nie pamiętam. Zdaje się, że około północy.

- Nie za późno na interesy?

- Może i tak, ale kupiliśmy niedawno nieruchomość i doszłam do wniosku, że to w tej sprawie.

- Proszę dalej.

- Howard zszedł na dół i wrócił po jakichś dwudziestu minutach.

- Słyszała pani coś niepokojącego? Krzyki, kłótnię, szamotaninę albo coś w tym rodzaju?

- Nie, nic. - Pokręciła głową. - Howard wrócił do sypialni, narzekając na ukąszenie moskita, rozebrał się i włożył piżamę. Oglądaliśmy telewizję. Mniej więcej po dziesięciu minutach zaczął odczuwać bóle w klatce piersiowej, więc wezwałam pogotowie.

Zadzwonił telefon. Podeszła do aparatu pełna obaw, jakby przeczuwając złą nowinę.

Podniosła słuchawkę. Minęło kilka sekund zanim odpowiedziała:

- Tak, to ja.

Jack obserwował, jak staje się coraz bledsza.

- To był doktor Santoro - powiedziała beznamiętnym głosem, odłożywszy słuchawkę.

- Mój mąż nie żyje. - Walcząc z płaczem, przygryzła dolną wargę.

- Jeśli pani sobie życzy, mogę skontaktować się z pani synem w Chicago.

- Nie, dziękuję. - Otarła łzy. - Nic nie rozumiem. Howard nigdy nie chorował.

- Wiem, co pani przeżywa, pani Emory, ale być może pani mąż został zamordowany.

Uniosła brwi w konsternacji.

- Nie rozumiem.

- Ten nagły zawał jest podejrzany. To tylko moje domysły, ale doświadczenie mówi mi, że śmierć pani męża ma związek z morderstwem Laury.

- W jaki sposób?

- Nie wiem, ale chciałbym, aby zażądała pani sekcji zwłok.

- Skoro uważa pan, że jest to konieczne, poruczniku.

*

Licznik wskazywał sześćdziesiątkę, gdy Jack wracał autostradą do Los Angeles. Jego

umysł pracował na przyspieszonych obrotach, a musiał zachować ostrożność na drodze. Zastanawiał się, kim mógł być nocny gość państwa Emory, o czym z nim rozmawiał Howard, co znaczy słowo trójkąt i czy chirurgia mózgu, którą zajmował się Emory, ma jakiś związek z działalnością Sorensona dla rządu. Powiązania, które ujawniło morderstwo Laury, zdawały się ogarniać coraz większe kręgi.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Gabriella ostrożnie przejechała fiatem krętą Viale del Muro i dotarła do Porto del Popolo. Minąwszy oświetlony egipski obelisk, zaparkowała obok zabytkowego placu w pobliżu kościoła Santa Maria di Monte.

W džinsach i golfie bardziej przypominała studentkę niż uznany autorytet w dziedzinie języków starożytnych.

Przechodząc przez oświetlony skwer myślała o spotkaniu z Pierrem Claudonem. Gdy była w Ebla, rozmawiała kilkakrotnie z antykwariuszem należącym do spółki Pyramid International. Sprawiał wrażenie małego człowieczka, zamieszanego w drobne oszustwa.

Dała się namówić na kolację wiedząc, że jest to wynik rozmowy telefonicznej z Lordem Hamiltonem; w gruncie rzeczy Claudon był kimś w rodzaju chłopca na posyłki Hamiltona.

*

Restauracja bolońska pełna była gwiazd filmowych, drogich prostytutek z mediolańskimi klientami, biznesmenów, polityków z żonami lub kochankami, a także agentów włoskiej tajnej policji starających się upodobnić do lewicowych radykałów.

Kierownik sali wskazał Gabrielli stolik na tarasie i oznajmił, że *Signor* Claudon kilka minut się spóźni. Podziękowała i zamówiła butelkę białego wina „Gavi di Gavi”.

W oknach wisiały pasiaste zasłony, a wewnątrz oświetlały kuliste, bursztynowe lampki. Dobiegająca ze środka romantyczna ballada śpiewana przez Julio Iglesiasa spowodowała, że Gabriellę ogarnęło powracające co jakiś czas uczucie samotności.

Ożywione beztroskie rozmowy tylko pogłębiały jej smutek. Obiecała sobie, że zaraz po powrocie z Megiddo pomyśli o swoim życiu osobistym. Nie mogła już dłużej znieść otaczającej ją pustki.

Podniosła wzrok w momencie, gdy kierownik sali prowadził Pierra Claudona do stolika.

- Wybacz, Gabriello - Claudon uśmiechnął się i pocałował ją w rękę. - Nie mogłem złapać taksówki.

- Nic nie szkodzi. Dopiero przyszedłem.

Usiadł i poprawił krawat.

- Co u ciebie słyszeć? - zapytał.

- Wszystko w porządku. A u ciebie?

- Jak zwykle, doskonale.

- Zamówiłam „Gavi di Gavi”, ale jeśli wolisz coś innego...

- Nie, nie. Jeśli chodzi o włoskie wina, muszę się w pełni zdać na ciebie.

- Tak naprawdę nie istnieje coś takiego, jak dobre włoskie białe wino, ale „Gavi” trochę je przypomina.

- A co u mojego przyjaciela profesora Sabitini?

- Jak zawsze zajęty. Chciał do nas dołączyć, ale przygotowuje dla muzeum Villa Giulia ekspozycję sztuki etruskiej.

- Tak powinno być. - Uśmiechnął się. - Sztuka zawsze na pierwszym miejscu.

Kelner zręcznie otworzył butelkę i napełnił kieliszki winem.

- Za wykopaliska w Megiddo. - Claudon wznosił toast.

Tręcili się i napili chłodnego wina.

- Powiedz, czy Sabitini załatwił już coś w waszym Ministerstwie Kultury?

- Jeszcze nie, ale nie daje za wygraną.

- A Izraelczycy?

- Generał Barzani mówi, że ich rząd nie ma funduszy na wykopaliska archeologiczne.

- Szkoda... ale to rozumiałe. Mają przecież do napędzania ogromną machinę wojenną. - Przerwał i uśmiechnął się. - Zamówimy coś?

- Tak, robię się głodna.

- Co weźmiemy? - Przywołał kelnera.

- Mają tu wyśmienite małże.

- Dobrze. - Zwrócił się do kelnera. - Zaczniemy od sałatki z sardeli z pieczoną papryką, a potem dwie porcje małż Posillipo.

- Czy przy stoliku po prawej siedzi Fellini? - zapytał Claudon.

- Tak, to on.

- Widok jego przyjaciółki zapiera dech w piersiach.

- Pierre, co chciałeś ze mną omówić? - spytała zniecierpliwiona.

- Ależ oczywiście, do rzeczy. - Rozejrzał się i nachylił w jej stronę. - Lord Hamilton prosił, żebym się z tobą spotkał. Jest zainteresowany finansowaniem wykopalisk w Megiddo, ale obawia się Syryjczyków i nie chciał przyjść osobiście.

- Nie wiem dlaczego wszyscy są tacy zastraszeni - powiedziała. - Prasa pisała o odkryciach w Ebla już ponad rok temu. Gamasi i jego zwierzchnicy okrzyknęli moją

interpretację tekstów syjonistyczną propagandą. Prace wstrzymano, a nad tabliczkami trzymają pieczę Syryjczycy. Nie stracili twarzy przed arabskimi braćmi. Czego tu się bać?

- Cóż... Może tego nie wiesz, ale kilka tabliczek z Ebla trafiło jakimiś drogami do British Museum i nowojorskiego Metropolitan. Kontaktowałem się z Gamasim i mogę ci powiedzieć, że Syryjczycy są w bojowym nastroju.

- Ale co to ma wspólnego z poszukiwaniami tablicy Mojżesza?

- Jeśli umieszczony na niej tekst potwierdzi przynależność Syryjczyków do izraelskich szczepów, wtedy zobaczysz ich reakcję. Musimy postępować bardzo ostrożnie.

Kelner przyniósł sardelę z papryką i połał sałatkę oliwą.

- Wspaniałe sardele - powiedział Claudon.

- Czy nie wydaje ci się dziwne, że Lord Hamilton sam unikał spotkania ze mną, ale ciebie wysłał?

- Jestem w jakiś sposób od niego uzależniony. Jeśli wystawia mnie na ryzyko - Claudon wzruszył ramionami - muszę się na nie zgadzać.

- A może to wcale nie jest takie ryzykowne. Byliście przecież w bliskich stosunkach z Gamasim.

- Jestem biznesmenem, przyjacielem każdego. Nie mam obsesji na punkcie starożytnego rękodziela. Historia mnie nie pasjonuje. - Spojrzał prosto w jej niebieskie oczy. - Moje zainteresowania są przyziemne. Lubię kobiety i pieniądze.

Zignorowała aluzję i zajęła się otwieraniem małż.

*

Na środku placu, niedaleko obelisku, dwaj mężczyźni dyskutowali o wynikach meczy piłki nożnej, ale ani razu nie spojrzeli na siebie. Ich oczy zwrócone były w stronę bolońskiej restauracji, gdzie atrakcyjna blondynka jadła kolację z Pierrem Claudonem.

*

Po winie i kolacji Claudon stał się wylewniejszy. Gabriella uważała jednak, że propozycja Hamiltona została zaprezentowana ciekawiej, gdyby robił to kto inny.

Zamówili kawę i deser Sambuca. Claudon zapalił cienkie cygaro. Nabrał rumieńców, a nad jego górną wargą pojawiły się kropelki potu. Nachylił się do niej i konspiracyjnym szeptem powiedział:

- W tej chwili na waszym koncie w Banque Geneve jest zdeponowane sto tysięcy dolarów.

- Obawiam się, że to za mało.

Wzruszył ramionami, wyjął z marynarki książeczkę czekową i wręczył jej.

- To z pewnością pozwoli wyrównać braki.

- Miejmy nadzieję. - Westchnęła, chowając książeczkę do torebki. - Czego Lord Hamilton oczekuje w zamian?

- Dopóki nie upewnicie się co do istnienia tablicy, niczego. Wtedy chce, aby go wezwać do Izraela. Pragnie być obecny w momencie odkrycia.

- Z tym nie będzie problemu.

- Chce także mieć prawo do eksponowania tablicy oraz do światowego tournée pod jego patronatem.

- Na to nie mogę się zgodzić. Działamy pod nadzorem Izraela. Jeśli odnajdziemy tablicę Mojżesza, będzie własnością Izraelczyków.

- Prosimy tylko o to, co zwykle należy się inwestorom.

- W takim razie da się to jakoś załatwić.

- Dobrze, zatem ja już swoje zrobiłem. - Uśmiechnął się. - Reszta należy do was.

Gabriella rozejrzała się po zatłoczonym placu i zauważyła dwóch mężczyzn, którzy zdawali się ich obserwować. Odsunęła jednak od siebie tę myśl uznając, że powstała pod wpływem wina i wszystkich tych paranoicznych obaw związanych z Eblą.

Odwróciła się do Claudona.

- To śmieszne, ale zgromadzenie pieniędzy jest zawsze trudniejsze niż same wykopaliska. Niewiarygodne, że musimy zebrać o fundusze na odkrywanie historii ludzkości.

- Czemu nie zwróciłaś się do Sorensona i Emory? - zapytał Claudon. - Z pewnością zechcieliby partycypować na tych samych zasadach co my.

- Doktora Emory mało znam, natomiast rozmawiałam z Sorensonem. Niedawno przeżył tragedię. Tydzień temu została zamordowana jego żona.

Zaskoczony Claudon zmrużył oczy.

- W Los Angeles?

- Tak.

- Znasz szczegóły?

- Nie. Zwykle niewinni padają ofiarą.

- Tak, chyba tak - odpowiedział zdenerwowany. - Pewnie było to typowe morderstwo na tle rabunkowym.

Podpisał zamasyście czek, dodał do rachunku wysoki napiwek i zapytał:

- Żegnamy się już?

- Nie - pokręciła głową. - Podrzucę cię do hotelu.

Gdy przechodzili przez plac, Gabriella zauważyła, że jeden z mężczyzn, na którego zwróciła uwagę wcześniej, telefonował z budki stojącej nie dalej niż trzy metry od jej samochodu. Nic nie mówiąc Claudonowi, dokładnie go zlustrowała.

Wyjeżdżając z placu spoglądała w lusterko wsteczne, ale nie zauważyła, żeby ktoś ich śledził. Okrążyła ogrody Villa Borghese i przez Porta Pinciana wjechała na Via Veneto. Na skrzyżowaniu z Via Ludovisi skręciła ostro w prawo i skierowała się do „Hotelu Romana”.

- Wejdiesz na drinka? - zapytał Claudon.

- Nie, dziękuję. - Zawahała się. - Pierre, musisz uświadomić Hamiltonowi, że bez zaginionych trójkątów nasze poszukiwania mogą okazać się bezowocne.

- Już mu o tym mówiłaś, ale będę pamiętał. - Uśmiechnął się. - No to *bonne chance*.

- Wzajemnie. - Gabriella pomachała ręką i odjechała.

*

Gdy Claudon podszedł do hotelowego boya, w holu było mało ludzi.

- Wiesz, przyjacielu - zaczął - nagle poczułem się taki samotny.

- Cena za nadzwyczajne usługi wzrosła od pana ostatniej wizyty - odparł boy. - Dwieście tysięcy lirów.

- Drobnostka - Claudon roześmiał się i podał mu wymienioną sumę i pięćdziesiąt tysięcy napiwku.

- Może napije się pan przy barku - zaproponował. - Za kilka minut przyjdzie dziewczyna.

Claudon sączył koniak i czekał cierpliwie prawie pół godziny, aż wreszcie podeszła zgrabna młoda kobieta w eleganckiej, wieczorowej sukni.

- *Signor Caldon?* - zapytała.

- Tak.

- Nazywam się Gina. - Uśmiechnęła się. - Może być?

- Jesteś bardzo ponętna. Pójdziemy?

- Jak sobie życzysz.

Claudon otworzył drzwi apartamentu na ósmym piętrze i sięgnął po włącznik światła. Z ciemności wyłoniły się dwie silne dłonie, unieruchomiły mu ręce, a w tej samej chwili dziewczyna została uderzona ciężką kolbą w skroń. Upadła na podłogę.

Jeden z mężczyzn wycelował pistolet w Claudona.

- Ani słowa!

Ostrzeżenie nie było konieczne; Claudonowi odjęto mowę.

- Rozbieraj się - rozkazał niski, korpulentny mężczyzna.

Drugi, wysoki, puścił Claudona, a ten zdjął marynarkę.

- Szybko! - przynaglał niski.

Claudon ściągnął koszulę, spodnie i buty.

- Skarpetki i majtki!

Francuz usłuchał.

Niski potrząsnął pistoletem.

- Na taras!

- Ale... Ja... - Claudonowi wróciło głos. - Nic nie rozumiem. Kim jesteście? Ja nic nie zrobiłem.

Wypchnęli go na balkon i przez chwilę obserwowali, jak nagi drży ze strachu.

- Czego chcecie? Pieniądzy? Mogę...

Postępowali sprawnie, niemal fachowo. Jeden złapał go za rękę, drugi za nogi. Przenieśli go za barierkę i puścili.

Claudonowi wydawało się przez moment, że to koszmar dręczący go wizją upadku między samochody. Kręcił nogami, jakby pedałowal na rowerze. Przyciąganie ziemskie zawładnęło nim całkowicie.

Wydał z siebie długi okrzyk przerażenia.

Uliczne światła zbliżały się w szalonym tempie. Wrzask urwał się nagle. Claudon uderzył głową o dach zaparkowanego samochodu.

Mężczyźni cofnęli się do pokoju i zajęli się nieprzytomną prostytutką. Rozebrali ją. Niższy wyjął nóż i głęboko skaleczył jej brzuch, piersi i łono. Potem wyższy złapał ją za gardło i ścisnął, aż zsiniała jej twarz, a język wyszedł na wierzch.

Opuścili apartament. Jeden zszedł na dół schodami, a drugi zjechał windą.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

W Górach Santa Monica szalał ogień. Wyły syreny. Konie, sarny i kojoty biegały po kanionach jak szalone. Usiłowano stłumić pożar za pomocą armatek strzelających środkami chemicznymi. Zastęp strażaków czynił co mógł, żeby Bel Air całkiem nie zamieniło się w piekło. Popiół i dym mieszały się z wiszącą nad miastem chmurą smogu.

Wentylator jęcząc, wpuszczał do gabinetu powietrze z zewnątrz. Jack z zainteresowaniem studiował wycinki prasowe dotyczące Ebla.

Rizzo stał w oknie i obserwował dym.

- Któregoś dnia całe to pieprzone miasto pójdzie z ogniem.

- Wątpię. Z dnia na dzień coraz bardziej zagraża nam powódź. - Jack westchnął. -
Może należesz po jednym?

Rizzo otworzył górną szufladę biurka, wyjął butelkę Bushmills i postawił na blacie dwie szklanki.

Jack napił się irlandzkiej whisky, zapalił cygaretkę i skupił się na fotokopiach dokumentów. Nagłówek w *Time* brzmiał: „Tabliczki umieszczone przez wędrownych Izraelitów w północnej Syrii przed czterema tysiącami pięciuset laty.” W artykule opisywano, w jaki sposób lingwistka, Gabriella Bercovici, odczytała pismo klinowe z Ebla przy użyciu języka hebrajskiego. Według autora był to dowód na obecność w Ebla Ebera - prapradziada Abrahama, o którym jest mowa w Genesis. Stąd można wysnuć wniosek, iż Abraham był nie tylko patriarchą Żydów, lecz również przodkiem dzisiejszych Syryjczyków. Myślą przewodnią artykułu było narzucające się twierdzenie, że Izraelczycy i Syryjczycy są braćmi.

Obok została przytoczona wypowiedź doktora Gamasi dla syryjskiego Ministerstwa Kultury: „Interpretacja tabliczek z Ebla odsłoniła syjonistyczne przekonania profesora Sabitini i jego współpracownicy Gabrielli Bercovici.” Konkluzją artykułu była uwaga, że abstrahując od polityki, odkrycie w Ebla jest trzecim wielkim osiągnięciem archeologicznym naszych czasów po kamieniu Rosetta i rękopisach znad Morza Martwego.

Londyński *Times* drukował: **ODKRYCIE ZWIĄZKÓW STAROŻYTNEJ SYRII Z IZRAELICKIM PATRIARCHĄ.**

New York Times: **ODKRYCIE W EBLA WSKAZUJE NA OBECNOŚĆ IZRAELITÓW W SYRII NA DWA I PÓŁ TYSIĄCA LAT PRZED WPŁYWAMI ISLAMU.**

Los Angeles Times: CZY STAROŻYTNA SYRIA BYŁA MIEJSCEM NARODZIN PLEMION IZRAELICKICH.

Artykuł z *Los Angeles* cytował wypowiedź profesora Harvardu, który pominął polityczne konotacje: „Z punktu widzenia teologii można się cieszyć, że tabliczki nie ujawniły jedenastego przykazania.”

Jack wyprostował się i przetarł dłońmi oczy.

- Te artykuły spowodowały, że Syryjczycy mszczą się na wszystkich, którzy mają cokolwiek wspólnego z Ebla.

- Nie jestem pewien - powiedział Rizzo. - Są sprzed roku. Dlaczego Arabowie mieliby działać akurat teraz?

- Myślisz jak Amerykanin, a nie jak Syryjczyk. Izraelczycy znają syryjską mentalność. Powinienem skontaktować się z generałem Barzani.

- Kto to jest?

- Izraelski oficer pracujący dla CIA w Tel Awiwie. Przyjaźniliśmy się, gdy tam przebywałem. - Jack zgasił cygaretkę. - Ciekawe co z Torresem.

- Sekretarka powiedziała, że sekcję zwłok doktora Emory zakończono o szóstej rano. Torres poszedł do domu przespać się. Niedługo powinien przyjechać.

Zadzwoił telefon.

- Tak, jest. - Rizzo podał słuchawkę Jackowi. - Benson.

Jack wyobraził sobie Artura Bensaona siedzącego przy polerowanym biurku, palącego papierosa i gładzącego napomadowane wąsy.

- Co słyhać, Arturze?

- Pomijając otaczające nas pożary, wszystko w porządku.

- O co chodzi?

- Właśnie przyszła odpowiedź dotycząca udostępnienia akt Sorensona. - Przerwał dramatycznie. - Są pod czarnym kodem.

- Chryste... - mruknął Jack. - A co z doktorem Emory?

- Dostałem zgodę Nolana na wysunięcie prośby o ich przesłanie. Zaraz telegrafuję do Centrum. - Dzięki, Arturze.

- Zawsze do usług.

Jack odłożył słuchawkę i spojrzał na Rizzo.

- Akta Sorensona są pod czarnym kodem.

- Co to znaczy?

- Nikomu żadnych informacji, jedynie na bezpośredni rozkaz dowódcy.

- Chyba muszę się jeszcze napić - stwierdził Rizzo.

Jack wstał i w milczeniu podszedł do okna.

- Badania nad zachowaniem i program kosmiczny to tylko wymówka Sorensona. Nikt na podstawie takiej działalności nie dostaje czarnego kodu. To poważniejsza sprawa - dodał po chwili.

- Okłamał cię, sukinsyn.

- Teoretycznie masz rację, Vince, ale w gruncie rzeczy wykonywał rozkazy. Każdy agent działa na dwóch płaszczyznach i jeśli jest zmuszony, ujawnia tę uboczną działalność. W przypadku Sorensona był to program NASA.

- A co z doktorem Emory?

- Benson właśnie składa prośbę. Ale jeśli Emory był związany z Sorensonem i jego działalnością, rezultat będzie taki sam.

Rozległo się głośne pukanie do drzwi i wszedł Gabriel Torres. Koroner miał oczy podkrążone ze zmęczenia i lekko przygarbioną sylwetkę. Trzymał w ręce szarą kopertę, a w ustach nie zapalone cygaro.

- Jest tu tak duszno, jak na dworzu. Okropna pogoda. Dym z pożaru połączony ze smogiem nie nadaje się do oddychania.

- Powiedz o tym rajcom miejskim.

Torres usiadł na krześle.

- Poczęstujecie mnie drinkiem, koledzy?

Jack podał mu szklankę i nalał whisky.

- *Salud* - powiedział Torres, napił się i skrzywił. - Boże, sami ją pędzicie?

Rizzo skinął głową.

- Skupujemy kocią szczynę i odstawiamy na tydzień.

- Stawia na nogi. - Torres zapalił cygaro. - No, *amigos*, całą noc dla was harowałem. I moim zdaniem macie na głowie kolejne morderstwo. - Podał Jackowi kopertę. - Tu jest wszystko, ale oszczędzę wam czytania po łacinie. Znaleźliśmy we krwi doktora Emory znaczący ślad *propranololu hydrochloride*. Około ośmiuset miligramów.

- Co to u diabła jest, ten cholerny *propranololu*? - zapytał Jack.

- Środek chemiczny używany przeciwko anginie lub zaburzeniom rytmu serca, dostępny pod handlową nazwą Inderal.

- Jak zabija?

- Podawany doustnie lub dożylnie w dawkach przekraczających pięćset miligramów powoduje klasyczne objawy anginy: krótki oddech, ból w klatce piersiowej, a w końcu

zatrzymanie akcji serca.

- Miałeś rację, Jack - powiedział Rizzo. - Wstrzyknęli mu to w łydkę.

- Nie. - Torres pokręcił głową. - Na łydce odnaleźliśmy ślad po ukąszeniu moskita. Nie było innych po zastrzyku. Poza tym, gdyby ktoś mu wstrzyknął osiemset miligramów, nie wszedłby po schodach na górę.

- Więc środek został podany doustnie? - zapytał Jack.

- Bezsprzecznie. W tabletkach - są bardzo łatwo rozpuszczalne - albo, co bardziej prawdopodobne, dolano roztworu *propranololu* do drinka. Jest bez smaku i koloru. We krwi wykryliśmy też alkohol.

- Spodziewałem się czegoś bardziej egzotycznego - powiedział Jack.

- Na przykład?

- Curara.

- Aaa. - Torres się uśmiechnął. - To ulubiona trucizna, zwłaszcza w KGB - trudna do wykrycia. Wywołuje ból, jak po zwierzęcym jadzie. Miałem kiedyś przypadek trucia curarą, gdy rozeszła się pogłoska, że w Tylenolu jest arsenik. Kobieta otruła męża sugerując, iż śmierć nastąpiła po zażyciu Tylenolu, ale w jelicie cienkim wykryłem curarę. To takie moje małe zwycięstwo. - Wstał. - No, *amigos*, dziękuję za drinka.

Jack odprowadził koronera do drzwi.

- Dziękuję ci, Gabby, że się tego podjąłeś.

- Nic wielkiego. Koroner z Palm Springs odkryłby to samo. Były podejrzenia zawału, więc zbadaliśmy krew. Skąd wiedzieliście, że to nie zwykły atak serca?

- Nie wiedzieliśmy. To było przypuszczenie.

- Jack to współczesny Sherlock Holmes - powiedział Rizzo.

- Tylko nie zażywaj kokainy. Ten narkotyk to dziewięćdziesiąt procent geniuszu Holmesa. Wraz z postępowaniem śledztwa szybował wyżej niż latawiec. A jak tam twoja córka?

- W porządku.

Torres pokiwał głową i wyszedł.

Jack spojrział na oficjalne wyniki sekcji zwłok.

- Zabójca doktora Emory jest inteligentny, ale nie nieuchwytny.

- Co masz na myśli?

- Emory znał go lub tego, na czyje polecenie przyszedł. Nie obawiał się spotkania. Wszystko przebiegało prawidłowo. Wypili drinka, żadnych hałasów, żadnej szamotaniny. Spotkania pragnął nie zabójca, tylko Emory.

Jack podszedł do diagramu przedstawiającego tok śledztwa i analizował go chwilę.

Obok nazwiska doktora Emory postawił krzyżyk - symbol oznaczający zejście; taki sam jak przy nazwisku Laury.

- A tego uwolniliśmy od podejrzeń? - zapytał Jack.

- Sorella?

- Tak.

- Już tydzień temu.

- Musiałem zapomnieć.

- Był czysty. Odznaczony weteran wojny koreańskiej, żonaty, czwórka dzieci. Raz aresztowany za jazdę po pijanemu.

Jack wziął marynarkę i przewiesił przez ramię.

- Jadę do portu.

- Potrzebujesz towarzystwa?

- Nie, ktoś obcy mógłby peszyć Sorensona. Słuchaj, Vince, idź do wydziału telekomunikacji i wyślij prośbę do Interpolu o ustalenie miejsca pobytu Pierra Claudona.

- To chyba dosyć popularne nazwisko.

- U mnie na biurku znajdziesz numer telefonu i adres do pracy.

- Prosić też o lokalizację Lorda Hamiltona?

- Nie. Wolę, żeby w jego sprawie Nolan zadzwonił do Scotland Yardu.

- Wracasz na noc do domu?

- Chyba nie. Zadzwonię do Jenny od Sorensona z jachtu.

Jack mijał przeszklone gabinety. Dzwoniły telefony, stukały maszyny do pisania. Woń dymu papierosowego i potu unosiła się nad ludźmi zapewniającymi mieszkańcom Los Angeles ochronę.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Po zatoce pływało wiele jachtów, wiał morski wiatr pachnący solą i rybami.

Jack doszedł do końca pomostu i zauważył złoty napis „Shooting Star” na burcie łodzi Sorensona. Chromowane urządzenia błyszcząły na tle mahoniowego kadłuba. Na pokładzie pełno było anten, radarów i wysokiej klasy sprzętu elektronicznego.

Wygląda jak zabawka dla dorosłych, pomyślał. Na takich jachtach fotografuje się dziewczyny w bikini reklamujące w telewizji krem do opalania.

Ukrył zdziwienie na widok Sorensona. Doktorowi urosła broda, a siwe włosy były zapuszczone i potargane. Ciemnoniebieskie oczy - przekrwione i zwężone. Miał na sobie poplamione smarem dzinsy i wygniecioną koszulę.

Uścisnęli sobie ręce i Sorenson powiedział:

- Wejdz, przygotuję ci drinka.

Salon pod pokładem umeblowany był gustownymi włoskimi sofami i fotelami. Na podłodze leżał wschodni dywan, a na ścianach z ciemnego dębu wisiały zimowe pejzaże Sisleya. Stół zdobiła zastawa z chińskiej porcelany z dynastii Shang.

- Czego się napijesz, Jack? - zapytał doktor, nalewając sobie brandy.

- Szkocką z wodą.

- W radiu mówią, że ogień został opanowany.

Wysoki mężczyzna w niebieskim ubraniu, wychodząc powiedział do Sorensona:

- Silniki są w porządku!

- Sprawdziłeś warunki nawigacji?

- Odpowiednie.

- Dziękuję, Pete.

Sorenson podał Jackowi szklanę.

- Chyba dawno nie byłeś na pokładzie, co?

- Z parę lat.

- Jak pamiętam, cierpiełeś na chorobę morską.

- Kiepski ze mnie żeglarz. - Napił się whisky. - Wygląda na to, że przygotowujesz się do rejsu.

- Chyba popłynę w dół Baja, na ryby i trochę odpocząć. - Lekko drżącą ręką zapalił

kolejnego papierosa. - Od śmierci Emory nie mogę się pozbierać. To był szok. Badania wykazywały, że ma świetne zdrowie. No, ale - Sorenson westchnął - zawał to nic niezwykłego.

- W tym przypadku tak - spokojnie rzekł Jack. - Emory został zamordowany.

Sorenson zbladł i odruchowo zacisnął zęby. Napił się brandy i powiedział jednym tchem:

- Gdy dzwoniłeś z Palm Springs, mówiłeś, że to zawał.

- Sekcja zwłok wykazała coś innego. Słyszałeś kiedyś o środku chemicznym *propranolol hydrochloride*?

- Oczywiście. Jest dość powszechny. Stosuje się przeciwko anginie.

- A co się stanie, jeśli zdrowa osoba przełknie osiemset miligramów w płynie?

- Boże... - szepnął Sorenson. - Jesteś pewien? To znaczy, czy nie zaszła tu pomyłka?

- Mogę ci pokazać raport koronera. Nie ma żadnej pomyłki. W zeszły wtorek Emory miał gościa. Kogoś, kogo znał i czuł się przy nim bezpieczny. Gawędzili i popijali. Gość wyszedł, a on wrócił na górę i poczuł ból w klatce piersiowej. Rano zmarł. - Jack przerwał. - Mogę spytać, co robiłeś we wtorek wieczorem?

- Chyba mnie nie podejrzewasz? - Doktor pokręcił z niedowierzaniem głową.

- Muszę zadać to pytanie. Długo byliście współnikami, obydwaj inwestowaliście w wykopaliska w Ebla, wreszcie sposób zabicia Emory wymagał pewnej wiedzy medycznej.

Sorenson westchnął.

- Kiedy to się wydarzyło?

- Pani Emory nie potrafiła powiedzieć dokładnie, ale gdzieś między jedenastą a dwunastą.

- Byłem w domu w Bel Air i dzwoniłem akurat do Rzymu.

- Z kim rozmawiałeś?

- Z Gabriellą Bercovici. Dam ci jej numer. Możesz sprawdzić.

- O czym rozmawialiście?

- Spokojnie. - Sorenson podniósł rękę. - Najpierw odpowiem na ważniejsze pytania.

- W tej sprawie wszystko jest ważne! - odpowiedział zdenerwowany Jack. - Profesjonalni mordercy zabijają według jakiegoś planu. Wykończyli Laurę, a dają głowę, że gdyby Jenny była w domu, też by jej nie darowali. - Jack zawahał się i zmienił ton. - Jeśli będziesz ze mną szczery, ciebie, być może, da się uratować. Tylko przestań mi mówić, co jest ważne, a co nie.

Sorenson przyglądał mu się chwilę.

- Dzwoniłem w związku z telefonem panny Bercovici. Chciała wiedzieć, czy jestem zainteresowany finansowym udziałem w wykopaliskach w Megiddo.

- W Izraelu?

- Tak.

- Czy to się w jakiś sposób wiąże z Ebla?

- Poniekąd. Inskrypcja na kamieniu znalezionym w Ebla wskazuje na możliwość istnienia ostatnich słów Boga, które zapisał Mojżesz. Tablica z tymi słowami jest prawdopodobnie ukryta gdzieś w Megiddo. - Sorenson nie wspomniał o zaginionych trójkątach.

- Co odpowiedziałeś?

- Powiedziałem o śmierci Laury i że na razie nie mogę zajmować się niczym innym.

- Nie wiesz, czy panna Bercovici rozmawiała z Emory?

- Nie.

Sorenson podszedł do otwartego luku i spojrzał na zachodzące słońce rzucające szkarłatne promienie na powierzchnię oceanu. Nie licząc dalekich odgłosów znad zatoki, pod pokładem panowała cisza.

- Niepojęte - odezwał się wreszcie. - Dlaczego ktoś miałby zabijać Emory?

Jack doszedł do wniosku, że nadeszła pora, aby wyciągnąć asa z rękawa.

- Może z powodu trójkąta.

- Jakiego trójkąta?

- Nie udawaj, Martin. Sprzeczałeś się z Emory o ten trójkąt. Pani Emory was słyszała.

- Kiedy?

- Na kolacji u ciebie w domu.

- Cóż, musiała się przesłyszeć. Nie sprzeczałem się z Emory o nic, z wyjątkiem interesów. Być może padało słowo trójkąt, ale tylko w znaczeniu figury geometrycznej.

- Dlaczego pani Emory miałyby kłamać?

- Powiedziałem, że się pomyliła.

- W takim razie Emory został zamordowany bez widocznego motywu, tak jak Laura.

- Przykro mi, Jack. Chciałbym ci pomóc.

- Mnie też jest przykro. Czy Emory był w jakiś sposób związany z twoją działalnością na rzecz rządu?

- O tym nie mogę rozmawiać.

- Dlaczego twoje akta są w kartotece pod czarnym kodem?

Sorenson z pewnością był zaskoczony pytaniem, ale nie dał tego po sobie poznać.

- O tym też nie mogę mówić.

- I tak się dowiem. Powstaje pytanie, ile jeszcze do tej pory zginie ludzi.

Sorenson dolał sobie brandy.

- Emory był pośrednio związany z projektem rządowym.

- Opowiedz o tym. Nie jestem z KGB. Zatrzymam wasze sekrety dla siebie.

Doktor usiadł na oparciu sofy i rozpaczliwie spojrział na Jacka.

- Przekleliby mnie za to, ale ci zaufam.

Dopił brandy, wstał, nie wiedząc, co zrobić z rękami.

- Od tysięcy lat ludzie zdawali sobie sprawę, że gdzieś w czaszce leży centrum wszystkich ludzkich myśli, emocji i doznań. Mózg dorosłego człowieka to wilgotna, galaretowata masa ważąca około półtora kilograma. Składa się z ponad dziesięciu miliardów komórek nerwowych i neuronów. Biorąc go do ręki można się spodziewać, że już na powierzchni zobaczy się różne pomysły i idee. A to najbardziej złożony ze znanych człowiekowi elektrochemicznych organizmów. Mózg czyni cuda z oszałamiającą szybkością: koordynuje to, co widzimy, słyszymy, pamiętamy, naszą złość, głód, pragnienie i inne odczucia. Wszystko. Kilka lat temu, wraz z kilkoma kolegami po fachu, zostałem wybrany przez rząd do wykonania zadania. Mamy znaleźć odpowiedź na jedno proste pytanie: Czy można przekazywać cechy charakteru?

- Genetycznie?

- Nie. Genetyka to zupełnie inna dziedzina nauki. Chodzi o chemiczne kształtowanie charakteru u osób nie narodzonych.

- To znaczy wszczepić komuś charakter jeszcze w łonie matki?

- Coś w tym rodzaju. Weźmy szczury - stworzenia nocne. Boją się światła. Torturując je w ciemności i zadając przyjemność w świetle - dopóki nie wiemy, która część odpowiada za strach - robimy im papkę z mózgu. A tak, wstrzykujemy środek chemiczny do łona matki i następnego pokolenie szczurów boi się ciemności i cieszy światłem. Teoretycznie nastolatek może spać tylko sześć godzin dziennie, choć jest to dla niego niezwykle męczące. Dostarczając do płodu pewnych roztworów, rodzi się dziecko mogące spać o wiele krócej albo i wcale.

Sorenson nalał sobie brandy.

- Za pomocą podobnych działań możemy stworzyć astronautę odpornego na zmęczenie albo szpiega bez typowej podatności na korupcję, seks czy narkotyki. Albo doskonałego żołnierza pozbawionego strachu przed śmiercią. Innymi słowy możemy stworzyć gatunek pozbawiony duszy, ludzi robotopodobnych.

- Przeprowadzaliście eksperymenty na ludziach?

- Na to pytanie odpowiedzieć nie mogę. - Zawahał się. - Wiem, że to straszne, ale Rosjanie też nad tym pracują.

- I uważasz, że ten projekt służy interesom państwa?

- Oczywiście.

- Ile z tego wiedziała Laura?

- Nic.

- A jaka była rola doktora Emory?

- Czysto techniczna. Był chirurgiem i nie brał udziału w badaniach naukowych.

- Która agencja patronuje badaniom?

- Strategie Operational Deployment.

- Nigdy o niej nie słyszałem.

- Słyszało zaledwie kilkoro ludzi. Niektórzy znają tylko skrót SOD. Wywodzi się i działa pod osłoną CIA, która jednak nie ma wielkiego wpływu na tok prac.

- Czy projekt ma jakiś kryptonim?

- A czy to ważne?

- Słuchaj, Martin, nie wiem, czy ma to coś wspólnego ze śmiercią Laury, ale znam ten światek. Tam wszystko jest możliwe, jak w domu pełnym luster. A teraz daję ci słowo, że nikomu nie ujawnię nic, co mi dzisiaj powiedziałaś.

- Kryptonim brzmi „Rosemark”.

- Robiłeś ostatnio coś szczególnego w związku z projektem?

- Nie.

- Nic, co mogłoby wytłumaczyć plądrowanie domu w Bel Air?

- Absolutnie nic.

- Cóż, dziękuję za szczerść. - Jack dokończył whisky. - Mogę zadzwonić?

Kabina sternicza wyglądała jak nowoczesne laboratorium naukowe: komputer nawigacyjny, radary, skanery, skomplikowana konsola radiowa.

- Niezły sprzęt - zauważył Jack.

- W czasie długich wypraw wszystko się przydaje - odparł Sorenson i wskazał ręką na aparat telefoniczny z zielonymi przyciskami.

Jack wykręcił numer. Odebrała Angela Rizzo. Zamienił z nią kilka słów i poprosił Jenny.

- Cześć, tata.

- Cześć, Jenny. Słuchaj, dzisiaj wieczorem nie przyjdę, ale zobaczymy się jutro.

- Okay, mam całą furę lekcji.
- Dobrze, spotkamy się jutro wieczorem i spędzimy razem cały weekend.
- A pójdziemy na mecz Dodgersów?
- Jasne, załatwię bilety.
- I jeszcze...
- Tak?
- Nie zapomnij, że w piątek wieczorem gram w szkolnym teatrzyku.
- Nie zapomniałem. Będę siedział w pierwszym rzędzie.
- No to wracam do lekcji.
- Dobrze, do jutra.
- Pa, tato.

Nagle w radiu pojawiły się szумы i dało się słyszeć jakiś słowiański język.

- Co jest, do diabła? - zapytał Jack.
- Rosyjski kuter, znajdujący się około dwudziestu pięciu mil stąd.
- Rozumiesz po rosyjsku?
- Mniej więcej.
- Co mówią?

- Teraz rozmawiają o połowie tuńczyka, ale naprawdę są tu po to, aby lustrować odcinek między San Diego a Pearl Harbor.

- Tak bezkarnie?

- Jestem pewien, że my robimy to samo. Światowy pokój opiera się na wzajemnym podsłuchu. - Sorenson przerwał. - Odprowadzę cię do pomostu.

Mewy, w nadziei na resztki jedzenia, fruwały nisko nad łódkami. Jack spojrzął w stronę miasta; nad Górami Santa Monica wiła się cienka strużka dymu.

- Wygląda na to, że opanowali pożar - zauważył Sorenson.

- Martin, jeśli chcesz, załatwię ci policyjną ochronę.

- Nie, nie potrzebuję anioła stróża. Na pokładzie mam broń i wiem, jak się z nią obchodzić.

- Na pewno płyniesz do Baja?

- Nie. Być może w stronę Catalina.

- To paradoksalne.

- Co takiego?

- Manipulujesz zachowaniem ludzi za pomocą nauki niemal jak w filmach fantastyczno-naukowych i jednocześnie zajmujesz się historią sprzed tysięcy lat.

- Całe życie szalałem na punkcie historii ludzkości.
- Naprawdę myślisz, że w Megiddo jest tablica z ostatnimi słowami Boga?
- To możliwe. Zawsze istniały legendy na temat trzeciej tablicy Mojżesza.
- Uważaj na siebie, Martin. Jak coś ci się przypomni, daj mi znać.
- Możesz na mnie liczyć.

Uścisnęli sobie ręce i Jack poszedł.

Sorenson odwrócił się i zszedł po drabinie do siłowni.

- Jak tam, Pete?
- Nie wiadomo, co z tymi statecznikami.
- Daj im spokój. Według Straży Przybrzeżnej mamy słaby prąd. Wszystko inne sprawdzone?

Technik skinął głową.

- Na cacy. Możemy płynąć osiemdziesiąt godzin.
- Słuchaj, Pete. Masz tu kluczyki, weź mój samochód i jedź do sklepu po szkocką.
- Dobra.

Gdy technik zniknął z pokładu, Sorenson poszedł do kabiny nawigacyjnej. Skupił uwagę na zielonych światełkach kontrolnej konsoli. Wszystko wskazywało na to, że będzie jedynym jachtem żeglującym w tym rejonie. Ale zaplanowany rejs musiał się odbyć. Nieodwołalnie. Nie było odwrotu. Do tego spotkania musiało dojść.

Włączył system wentylacyjny i agregaty. Sprawdził ciśnienie oleju, a potem uruchomił silniki. Gdy zaczęły pracować śruby, jacht drgnął. Sorenson włączył instalację chłodniczą, wyszedł na pokład i zwinał liny cumownicze. Powoli odpływał od pomostu.

Potem obrał odpowiedni kierunek i popłynął głównym kanałem. Ustawił radar, włączył światła i ustalił prędkość na pięć węzłów. Ludzie machali z nabrzeża do dumnie wypływającej z portu łodzi.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Jack ze strachem obserwował wychodzące z sosnowego lasu zjawy o rozmywających się kształtach. Błyszczały żółte oczy kojotów. Bożek zła rozwinął skrzydła i wykrzywił twarz w szkaradnym grymasie. Laura spoglądała na niego oczami wylaniającymi się ze zmasakrowanej twarzy. Obok niej, płacząc krwawymi łzami, chodziła Jenny. Pancho Villa uśmiechając się znacząco, trzymał w jednej ręce brzytwę, a w drugiej głowę kapitana Cordero. Po ziemi przebiegł ogromny szczur. Martin Sorenson obejmował ramieniem nagą GaBriellę Bercovici.

Pojawiła się czarna postać z ogromną strzykawką. Wbiła igłę w szczura i wyciągnęła krew.

Odwróciła się do Jacka i zmiażdżyła strzykawkę w kościstych dłoniach.

*

Zlany zimnym potem, z rozdygotanym sercem, Jack krzyczał, dyszał i rzucał się na łóżku.

W pokoju majaczył jakiś nieznany kształt. Nie mogąc oddzielić koszmaru od rzeczywistości, złapał ze stolika pistolet, ścisnął oburącz i wycelował w postać.

- Jack, nie! To ja, Linda!

Zadrżała mu ręka. Znajomy głos dziewczyny pomógł mu uwolnić się od straszego snu. Powoli odłożył broń i zapalił nocną lampkę.

Przed nim stała piękna stewardesa Linda Jensen i patrzyła niewinnymi brązowymi oczami pełnymi strachu.

- O Jezu... - westchnął Jack. - Nie rób tego więcej.

- Przepraszam - powiedziała. - Ale... to... - Głos jej się łamał. - Przecież już nieraz... Dałeś mi klucze, pamiętasz? Właśnie wróciłam z Panamy. Słyszałam o Laurze.

- Czemu nie zadzwoniłaś?

- Portier nie mówił, że mam dzwonić, więc po prostu przyszłam. Rano znów wylatuję. - Przerwała. - Boże, te krzyki. Co ci się śniło?

- Jakieś koszmary. Nie miałem ich od czasów Chile. - Otarł z czoła zimny pot. - W barku jest butelka Bushmillsa. Nalej mi jednego i zrób sobie drinka.

Wstał i poszedł niepewnie do łazienki. Spojrzał do lustra na swą bladą twarz. Odkręcił

zimną wodę i włożył głowę pod kran, chcąc zmyć nocne koszmary.

*

Jednym haustem wychylił mocną irlandzką whisky, nalał następną i zapalił cygaretkę.

- Gdzie ty, u diabła, byłaś?

Poprawiła włosy.

- Latałam między Rio a Panamą. - Uśmiechnęła się. - Tęskniłam za tobą.

- Na pewno.

Podeszła do niego i pocałowała go delikatnie w usta.

- Wiem, myślisz, że ciągle spiam z kimś innym, ale tak naprawdę żyję w celibacie.

Z przerażeniem uświadomił sobie, jak niewiele brakowało, aby pociągnął za spust.

- Chodźmy się przewietrzyć - powiedział.

Wyszli na taras. Aż do brzegu oceanu migotały miejskie światła. Od strony Santa Ana wiał ciepły wiatr i poruszał liśćmi figusów. Gdzieś z oddali słychać było wycie syren, a od sąsiadów z dołu dolatywały dźwięki piosenki Sinatry.

- To było straszne - stwierdził Jack. - Miałas rację. Nigdy nie przestałem jej kochać.

Chwilę wpatrywali się w migoczące światła.

- Chcesz, żebym została? - zapytała czule.

Pokręcił głową.

- Nie byłoby ze mnie pożytku.

- Z całym szacunkiem, Jack, ale nie spałeś z Laurą od lat.

- Nie o to chodzi.

- A o co?

- Wykorzystałbym cię.

- Każdy kij ma dwa końce. Nigdy na nic nie liczyłam. Jeśli chcesz mnie splawić, nie ma sprawy. Robisz to nie pierwszy raz.

Objął ją w talii.

- Nie chodzi o to. Wszystko przez to cholerne śledztwo. Bóg jeden wie, ile naoglądałem się już okrucieństw, ale są pewne fakty, na pozór groteskowe, o których nie jestem w stanie mówić.

- Nie trzeba. Widziałam, jak spałeś. - Zamilkła na chwilę. - Słuchaj, wróć w niedzielę po południu, może gdzieś wyskoczmy?

- Dobrze. Zjemy kolację w Orlando-Orsini, napijemy się wina i zobaczymy co dalej.

Odprowadził ją do drzwi, pocałował w policzek i uśmiechnął się.

- Chyba sama widzisz, że korzystanie z kluczy do mojego mieszkania może być

niebezpieczne.

- Cały miesiąc byłbyś na pierwszych stronach gazet.
- Tydzień na pewno. Mówiliby o zbrodni z namiętności.
- Myliliby się - mruknęła i popatrzyła na niego. - Jesteś pewny tej niedzieli?
- Absolutnie.

*

Oparł się o poduszkę i za pomocą pilota szukał w telewizji jakiegoś programu, który dałby się oglądać. Sprzedawca samochodów na słońcu; potwór w Tokyo; polityk wyjaśniający potrzebę budowy nowej łodzi podwodnej; wampir wbijający zęby w szyję dziewczyny.

Jeszcze raz nacisnął przycisk.

Edward G. Robinson siedział w wannie i palił długie cygaro. W dłoni trzymał drinka, a twarz wystawiał na powiew małego wentylatora. Jack odetchnął z ulgą. Od wielu lat *Key Largo* był jednym z jego ulubionych filmów.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Kuter Straży Przybrzeżnej przecinał nieduże fale spokojnego morza. Żółte światło reflektora próbowało przebić się przez mgłę. Stojący na dziobie marynarz obserwował przez lornetkę powierzchnię wody. Pod pokładem działał skaner radaru ustawiony na „niebezpieczeństwo”. Ludzie z pilotażu popijali gorącą kawę i wykonywali swoje obowiązki.

Sternik ustawił żyrokompas na kurs 286 stopni i prędkość osiemnaście węzłów. Łącznościowiec od dwóch godzin niestrudzenie powtarzał komunikat: Tu Straż Przybrzeżna na „Point Bridge” Whisky, Union, Zebra dwa-cztery-dwa-osiem. „Shooting Star” zgłoś się - odbiór.

Specjaliści obsługi radaru wodzili palcami po zielonym ekranie, wskazując z każdą chwilą jaśniejący punkt.

- „Point Bridge” wzywa Eagle cztery-dwa, odbiór - mówił do mikrofonu kapitan Jameson. Wzywał helikopter.

W odpowiedzi rozległy się trzaski w głośniku.

- Tu Eagle cztery-dwa, odbiór.

- Mówi Jameson z „Point Bridge”. Radar wykrył obiekt na twoim terenie. Przypuszczamy, że to „Shooting Star”. Płyniemy według żyrokompasu - osiemnaście węzłów, dwieście osiemdziesiąt sześć stopni.

- Przyjąłem. Jesteście na wyliczonym kursie. Widzę „Shooting Star”. Wygląda na opuszczony, odbiór.

- Widzisz jakieś uszkodzenia, dym, przecieki? Odbiór.

- Nie, nic takiego. Odbiór.

- Dobrze. Zostań na swojej pozycji, aż nawiążemy z „Shooting Star” kontakt wzrokowy. Odbiór.

- Przyjąłem.

Kapitan Jameson opuścił mostek i podszedł do marynarza na dziobie.

- Jest coś?

- Widzę jakieś światła.

- Niech popatrzę.

Jameson przyłożył do oczu lornetkę i włączył obserwację za pomocą promieni

podczerwonych. W bladym świetle wyłoniła się sylwetka „Shooting Star”.

Oddał lornetkę marynarzowi.

- Nie spuszcza z niego oka.

Jameson wrócił do kabiny nawigacyjnej i stanął przed ekranem radaru.

- Co tam macie? - zapytał obsługującego.

- Ma z osiemdziesiąt stóp, kapitanie. Nie porusza się. Teraz już powinien być widoczny gołym okiem.

- I jest. - Jameson podszedł do mikrofonu. - „Point Bridge” do Eagle cztery-dwa.

Minęła chwila wypełniona szumami, zanim odezwał się pilot helikoptera.

- Tu Eagle cztery-dwa. Odbiór.

- Nawiązaliśmy kontakt wzrokowy z „Shooting Star”. Jesteś wolny.

- Przyjąłem. Wracam do bazy.

*

„Shooting Star” dryfował łagodnie po spokojnym morzu, z masztu zwisała amerykańska flaga.

Kuter zbliżył się do jachtu bokiem.

- Ahoj, „Shooting Star”! - krzyknął Jameson przez głośnik. - Hej tam na „Shooting Star”! - zawołał po chwili.

- Przygotować się do abordażu - Jameson zwrócił się do pierwszego oficera.

- Z karabinami?

- Z pistoletami.

Bosman nacisnął kilka przycisków i strumień światła zalał „Shooting Star”.

Manipulując kołem sternik zbliżył kuter do jachtu na niebezpiecznie bliską odległość. Wywieszono odbijacze. Kadłuby zetknęły się, a marynarze przytrzymali „Shooting Star” za pomocą bosaków. Jameson, a za nim inni przeszli z okrężnicy na pokład jachtu.

- Webb, Martinson, na dół - rozkazał dowódca. - Najpierw kabina nawigacyjna, siłownia, mesa, kambuz i kingston. Broń trzymajcie w pogotowiu.

Jameson wszedł na mostek w towarzystwie pierwszego oficera i rozpoczęli sprawdzanie wszystkich systemów. Silniki i łączność były wyłączone, ale pompy, chłodzenie i agregaty działały prawidłowo.

- Ciekawe - zauważył pierwszy oficer. - Żadnych planów, map, żadnych wytyczonych celów, a zbiorniki pełne paliwa.

- Zostań tutaj - powiedział Jameson i poszedł na dziób.

Świecił latarką po drewnianym pokładzie. Przy burcie zauważył ciemnoczerwoną

plamę. Przykłęknął i dotknął jej. Substancja była kleista i bezwonna. Już miał wstawać, gdy zauważył małą błyszczącą przedmiot toczący się raz w jedną, raz w drugą stronę. Podniósł go i obejrzał na dłoni. Była to łuska naboju nieokreślonego kalibru. Prędko wrócił na mostek.

- Zobacz - powiedział do pierwszego oficera.

Ten przyjrzał się uważnie.

- Dziewięć milimetrów albo trzydziestka ósemka.

- Na dziobie są plamy krwi - dodał Jameson.

W drzwiach pojawiła się głowa bosmana.

- Kapitanie!

- Tak?

- Ani żywej duszy i żadnych śladów awarii.

- Dobrze. Zostaw kilku ludzi.

- Tak jest!

Jameson podszedł do konsoli i przekręcił kluczyk w stacyjce. Prawie natychmiast zaczęła pracować śruba. To samo powtórzył z silnikiem bocznym. Wielki jacht ruszył z miejsca. Jameson wziął do ręki mikrofon.

- Halo, halo, tu kapitan Jameson z pokładu „Shooting Star” Whisky, Union, Zebra dwa-cztery-dwa-osiem. Odbiór.

Po chwili powtórzył meldunek. Przez jakiś czas z głośnika dobiegały tylko szумы.

- Słyszę cię, „Shooting Star”. Tu Straż Przybrzeżna z San Pedro. Odbiór.

- Weszliśmy na pokład „Shooting Star”. Jacht jest pusty. Wszystkie urządzenia działają. Są podejrzenia, że popełniono przestępstwo. Zawiadomcie policję. Przyprawdzą jacht bez holowania.

- Przyjąłem. Jest tu technik z „Shooting Star”, Pete Carr, ten, który zgłosił zaginięcie łodzi. Mówi, że właściciel jachtu - doktor Martin Sorenson - na krótko przed wypłynięciem spotkał się z porucznikiem Jackiem Rainesem z Los Angeles.

- Dobrze, wezwijcie też Rainesa.

- Przyjąłem. Bez odbioru.

*

Słońce wyjrzało zza chmur, morze falowało i łodzie zaczęły się lekko kołysać. „Shooting Star” stał przycumowany obok kutra Straży Przybrzeżnej.

Sierżant Rizzo zszedł na pokład. Umundurowani policjanci oglądali plamy krwi na dziobie.

Schowaną do koperty łuskę Jack miał w swojej kieszeni. Był spięty i zmęczony,

jednak mile zaskoczył go profesjonalizm młodego komendanta Straży Przybrzeżnej.

Jack niewiele wiedział o marynistyce, musiał się więc w zupełności zdać na Jamesona.

- Czy poza oczywistymi śladami przestępstwa - pytał Jack - nie uderzyło was coś niezwykłego?

- Rzadko się zdarza, żeby na jachcie nie było żadnych map ani planów.

- Dlaczego? Może chciał tylko popływać po zatoce.

- Do tego nie potrzeba pełnych zbiorników paliwa.

- Ale jest to możliwe?

Jameson się uśmiechnął.

- U amatorów wszystko jest możliwe.

- Czy w normalnych warunkach jeden człowiek może prowadzić taki duży jacht?

- Nie. To skrajne ryzyko, a powrót do portu byłby niemożliwy.

- Można więc wnioskować, że doktor Sorenson nie zamierzał wracać?

- Niekoniecznie. Mógł wpłynąć do głównego kanału, a potem wezwać holownik.

Jack napił się kawy.

- Co pan może powiedzieć o rosyjskich kutrach rybackich łowiących przy naszym wybrzeżu?

- Wiemy, że poruszają się po terenach niedostępnych dla naszych monitorów.

- Czy taki kuter mógł zabrać Sorensona?

- Wątpię. Prawie nigdy nie wpływają na nasze wody terytorialne.

- Dlaczego?

- Straż powietrzna już po paru minutach miałaby je na radarze.

- Przypuścimy, że wysłali do „Shooting Star” małą motorówkę.

- Jedna szansa na sto. Żeby w takiej mgłę namierzyć jacht, trzeba niezwykłej precyzji.

Ma pan jakiś powód, żeby podejrzewać Sowieców?

- Istnieje taka możliwość - powiedział Jack. - A panu, kapitanie, coś przychodzi na myśl?

- Według mnie Sorenson splawił technika i popłynął samotnie na jakieś sekretne spotkanie. Albo ktoś wszedł na pokład i zmusił go do odpłynięcia.

- Mój współpracownik, sierżant Rizzo, pytał ludzi w porcie, którzy zauważyli, że Sorenson wypłynął w minutę po odjeździe technika.

Rizzo wszedł na mostek i zbliżył się do Jacka.

- Przepraszam, kapitanie - powiedział Jack i poszedł za sierżantem.

Rizzo wyjął z kieszeni mały notes.

- Znalazłem to w szufladzie nocnego stolika w sypialni.

Na pierwszej stronie Jack przeczytał słowo „Rosemark”. Pozostałe kartki zapisane były wzorami chemicznymi.

- Widział ktoś, że to bierzesz?

- Nie.

Jack schował notes do kieszeni.

- Co to jest?

- Doświadczenia na szczurach.

- To znaczy, że Sorenson wykradł to z archiwum SOD?

- Na to wygląda. - Jack zauważył wchodzącego na pokład Gabriela Torresa.

Koroner trzymał pod pachą termos z kawą.

- Czy wy, chłopcy, nie możecie prowadzić śledztwa o jakichś przyzwoitszych porach?

- Nie zrzedź. - Rizzo się uśmiechnął. - W każdej chwili mogą cię deportować do

Tijuany.

- Po co do Tijuany. Pojechałbym za tobą do Palermo - odgryzł się Torres. - Może kawy?

- Dzięki. - Rizzo wziął termos.

- Co tu znaleźliście, Jack?

- Plamy krwi na pokładzie. Już je badają. I to... - Jack podał mu łuskę.

Koroner przyjrzał się jej uważnie.

- Chyba dziewięć milimetrów. Rzadki okaz. Pewnie zagraniczna.

Torres ruszył do miejsca, gdzie gromadzili się umundurowani policjanci.

- Gdzie, do diabła, ci od odcisków?

- W drodze - powiedział Rizzo. - Co zrobisz z technikiem Sorensona?

- Jest czysty. Wrócił ze skrzynką whisky i natychmiast zawiadomił posterunek Straży Przybrzeżnej, gdy zobaczył, że nie ma jachtu.

- Gdzie ten cholerny Sorenson płynął?

- Wygląda na to, że na umówione spotkanie z kimś, kogo znał i komu ufał. W każdym razie ten ktoś zastrzelił go i wyrzucił za burtę.

- A może to samobójstwo? Mówiłeś, że wyglądał na załamanego.

- To po co strzelał? Wystarczyło wskoczyć do wody.

- Utopienie to ciężka śmierć.

- To się nie klei, Vince. Gdyby się zastrzelił i tak ktoś musiałby go wyrzucić.

Na mostek wszedł wysoki, barczysty mężczyzna w błękitnej koszuli.

- Porucznik Raines?

- Zgadza się.

- Nazywam się Frank Piersall. - Pokazał legitymację CIA. - Jestem dowódcą w południowej Kalifornii. Na naszą prośbę Straż Przybrzeżna obserwowała Sorensona. Zostałem wezwany kilka godzin temu.

- Czym mogę panu służyć?

- Informuję pana oficjalnie, że przejmuję śledztwo. My się nim zajmujemy.

- Wy? - Jack zapytał z niedowierzaniem.

- Tak jest.

- Panie Piersall, porozmawiajmy na osobności.

Przeszli na rufę.

- Od kiedy agencja ma prawo przejmować śledztwo w kryminalnych sprawach od policji stanowej?

- Zapewniam pana, że moi zwierzchnicy ustalili wszystko z komendantem Harrisem.

A teraz proszę przekazać mi wszystko, co znaleziono na pokładzie.

- Rozmawiał pan z Nolanem z Sekcji Taktycznej?

- Powtarzam. Moi zwierzchnicy ustalili wszystko z komendantem.

Rizzo zauważył, że blizna na twarzy Jacka pociemniała.

- Tutaj nie ma żadnych zwierzchników - powiedział spokojnie Jack.

- Wiem o panu wszystko, panie Raines. Należy pan do tych wymoczków z Santiago.

- Panie Piersall - odezwał się Rizzo - niech się pan stąd wynosi, póki nie dobierzemy się panu do dupy.

Piersall spojrział na Rizzo i ruszył w jego stronę.

Jack zatrzymał go, odwrócił i wymierzył mu lewy sierpowy w splot słoneczny. Mężczyzna zatoczył się do tyłu, a Jack poprawił ciosem w policzek i Piersall wpadł do brudnej wody.

Wypląnął na powierzchnię i krzyknął:

- Raines, masz przegrane u mnie i w Waszyngtonie!

*

Na autostradzie do Santa Monica panował wzmożony poranny ruch.

Rizzo prowadził, a Jack przeglądał notes z operacji „Rosemark”.

- Nic z tego nie rozumiem.

- Ciekawe dlaczego zostawił w nie zamkniętej szufladzie?

- Może chciał, żeby ktoś go znalazł.

- Ale dlaczego?

- Poddaję się. - Jack wzruszył ramionami i wsunął notes do kurtki Rizzo. - Schowaj to w domu do jakiegoś starego ubrania. Najlepiej takiego, którego już nie nosisz. Jak będę tego potrzebował, powiem, abys oddał garnitur do pralni.

- Wiesz, że to ukrywanie poszlak.

- Przed kim?

- Przed CIA, a także przed agencją zajmującą się „Rosemark” - SOD.

- Strategie Operational Deployment - powtórzył Jack. - Nieźle brzmi. Fajny sposób na określenie prania mózgu.

- Mimo wszystko to poszlaka. Jeśli Sorenson zabrał ten notes z archiwum SOD, będziemy mieć na głowie wszystkich ich agentów.

- Do cholery z nimi. Wiesz co? Dawniej, kiedy pracowałem dla agencji, ci faceci byli w porządku, można się było z nimi dogadać. Teraz zostali sami biurokraci bez jaj. Ćwierćinteligenci. Najlepsi na pewno odeszli z Kissingerem i Nixonem. Świat się wali, a agencje zajmują się doświadczeniami na szczurach.

- Może to i banda idiotów - powiedział Rizzo - ale z uprawnieniami. Dlaczego kłamiemy? Dlaczego nie oddamy im tego cholernego notesu?

- Skręć w dół.

Zbliżali się do autostrady do Harbor.

- Dokąd jedziemy? - zapytał Rizzo.

- Do Chico na śniadanie, a potem do Nolana.

Rizzo manewrował samochodem w niesłychanym tłoku.

- Nie powinieneś bić tego faceta.

- Racja. Boli mnie teraz ręka. Twardy policzek miał ten sukinsyn. Powinienem go aresztować za obrazę prawa.

- Napisze na ciebie raport o ujawnieniu tożsamości agenta.

- Dlatego mu przyłożyłem. - Jack włączył radio. Prezenter pogody zapowiadał, że po zmroku napłynie nad Santa Ana ciepłe powietrze.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Naprzeciw Sabitiniego i Gabrielli siedział Antonio Anjulo - specjalny urzędnik biura Procuratore della Repubblica. Był smukłym, o przyjemnym wyglądzie czterdziestolatkiem, ze szlachetnymi rysami twarzy i przenikliwymi czarnymi oczami. Anjulo unikał publicznych wystąpień, lecz sensacyjne śledztwo przyciągało dziennikarzy i, mimo wysiłków, nie udawało mu się zachować anonimowości.

Patrzyli jak przegląda dokumenty z poprzednimi zeznaniami Gabrielli na temat śmierci Pierra Claudona.

Kilka dni temu cały ranek odpowiadała na pytania funkcjonariuszy lokalnej Polizia Criminale. Z równowagi wyprowadzały ją komentarze prasy. Gazety opisywały szczegóły dotyczące morderstwa prostytutki, zabitej przez francuskiego zbrodnicę, który po ohydnej zbrodni skoczył nago z balkonu. W sprawę mieszano też młodą lingwistkę z Uniwersytetu Rzymskiego.

Gabriella paliła papierosa i, niecierpliwie kiwając nogą, czekała aż Anjulo skończy czytać. Ciszę panującą w gabinecie Sabitiniego mąciło tykanie zegara.

Wreszcie Anjulo zamknął akta i zwrócił się do Gabrielli:

- To dla mnie bardzo niemiłe zadanie, *signora*. Wiem, że zeznawała już pani przed lokalną policją, ale muszę zadać jeszcze kilka pytań.

- Możemy być ze sobą szczerzy?

- Oczywiście.

- Czy to spotkanie jest wynikiem nacisku prasy?

- Raczej nie - odparł chłodno Anjulo. - Biuro Procuratore nie ulega wpływom dziennikarzy, którzy szukają taniej sensacji. Śledztwo ma pewne międzynarodowe aspekty i jest oficjalnie kontrolowane przez władze państwowe.

- Ale nie podważa pan poprzednich zeznań panny Bercovici? - włączył się Sabitini.

- Powiedzmy, że nie jestem usatysfakcjonowany poziomem przeprowadzonego przesłuchania - zrzęcznie odpowiedział Anjulo.

- Co pan rozumie przez „międzynarodowe aspekty”? - zapytała Gabriella.

- Dostaliśmy oficjalną prośbę z Interpolu o zbadanie okoliczności śmierci Claudona. Prośbę skierował do nas Jack Raines - oficer policji z Los Angeles.

- Dlaczego amerykańska policja interesuje się Claudonem?

- Mam nadzieję, że pani odpowie mi na to pytanie, *signorina*.

- Pan zna moje zeznania. Straciłam cały ranek, żeby opowiedzieć pańskim kolegom wszystko, co wiem.

- Nie mam kolegów w lokalnej policji. - Anjulo wstał i obszedł biurko. - Prawdopodobnie nie zdajecie sobie państwo sprawy, że amerykańscy i europejscy policjanci uważają włoskie metody śledztwa za prymitywne. Od mojego raportu zależy honor narodowy.

- Rozumiem pańskie położenie - odpowiedziała tym samym tonem Gabriella - ale składałam już zeznania, a jestem bardzo zajęta. Muszę zebrać fundusze na ekspedycję do Megiddo. Właśnie powinnam przygotowywać się teraz do wyjazdu do Nowego Jorku.

- Wiem, że odkrywanie dawnych cywilizacji wymaga państwa ekspertyzy, ale - Anjulo uśmiechnął się - czekały już tysiące lat i kilka minut nie zrobi im różnicy. - Uśmiech zniknął z jego twarzy. - Z pani zeznań można wnioskować, że Claudon był emisariuszem Lorda Hamiltona.

- Tak.

- A więc zwykłym pośrednikiem.

- Mniej więcej. Poza tym był członkiem Pyramid International i przyjacielem doktora Gamasi.

- Można zatem nazwać Claudona ważnym emisariuszem.

- Tak.

- Zgodnie z pani zeznaniem, jadła pani z Claudonem kolację w restauracji bolońskiej na Piazza del Popolo, kiedy to wręczył pani książeczkę czekową oraz sto tysięcy dolarów.

Gabriella przytaknęła.

- Pieniądze przetransferowałam już do banku Hapoalim w Tel Awiwie.

- Na pokrycie kosztów wykopalisk w Megiddo?

- Tak - odpowiedziała niecierpliwie. - Generał Gamasi z Izraela organizuje ekspedycję.

- Czego Lord Hamilton oczekuje w zamian za wsparcie?

- Obecności przy odkryciu pewnej tablicy. I oczywiście praw do wystawiania.

- Profesorze - tym razem Anjulo zwrócił się do Sabitiniego - tak z ciekawości, jakie korzyści przynosi uniwersytetowi działalność pani Bercovici?

- Ma pan na myśli wykopaliska w Megiddo?

- Tak.

- Takie same, jak pańska praca - to sprawa honoru narodowego. Jeśli wykopaliska powiodą się, Uniwersytet Rzymski zyska w świecie wysoką pozycję. Kłopot w tym, że uniwersytet nie może sfinansować ekspedycji i zmuszeni jesteśmy pertraktować z prywatnymi sponsorami. Archeologia to nie przeszłość i historia. Często jesteśmy zmuszeni spotykać się z podejrzanymi kolekcjonerami, dealerami, złodziejami, paserami i tak dalej...

- Wygląda na to, że Claudon był jednym z nich - powiedział Anjulo. - Francuska Sûreté podejrzewa go o handel kradzionymi przedmiotami rękodzieła artystycznego. - Spojrzał w akta i przez moment czytał fragment zeznania Gabrielli. - Widzę, że pytała pani Claudona, dlaczego Lord Hamilton nie przybył osobiście.

- Tak... faktycznie. Żałowałam, że nie ma Hamiltona.

- A co odpowiedział Claudon?

- Że Hamilton się boi.

- Kogo?

- Syryjczyków.

- Dlaczego?

- Claudon mówił, że niektóre tabliczki z Ebla trafiły jakimś sposobem do zachodnich muzeów i to spowodowało głęboki niepokój w syryjskich kręgach rządowych.

- Domyślam się, że po państwa wyjeździe z Ebla tabliczki zostały pod kontrolą służb syryjskich?

- Tak, to prawda.

- Można przypuszczać, że któryś z syryjskich notabli sprzedawał je za pośrednictwem Claudona?

- Owszem, to niewykluczone.

- A kogo z Syryjczyków, według państwa, można podejrzewać?

- Jedynym człowiekiem, który ma do nich dostęp, jest doktor Gamasi.

- Kontaktowała się pani z nim ostatnio?

- Nie.

- A pan, panie profesorze?

- Od czasu do czasu rozmawiamy ze sobą.

- Czy doktor Gamasi wspominał kiedyś o kradzieżach?

- Nie.

Anjulo usiadł na brzegu biurka i strzepnął z klapy niewidzialny pyłek.

- Czy mogłaby pani opowiedzieć, jak zachowywał się Claudon przy kolacji?

- Był miły, wesoły. W interesach - konkretny.

- Składał pani jakieś dwuznaczne propozycje?
- Próbował flirtować, ale nie był natarczywy.
- A więc skończyliście kolację, odwiozła go pani do hotelu, a potem piętnaście po drugiej obudziła panią policja, bo znaleziono w jego notatniku pani nazwisko. Powiedziano pani o jego śmierci i morderstwie prostytutki.

- Zgadza się.
- Przestraszyła się pani, gdy usłyszała o szczegółach morderstwa?
- Byłam wstrząśnięta.
- Nie przyszło pani na myśl, że spędziła pani wieczór w towarzystwie zbrojcy i tylko cudem uniknęła tego, co spotkało biedną prostytutkę?

- Nie.
- To znaczy, że nie przyjmuje pani do wiadomości, że Claudon mógł być zabójcą?
Dobrze wnioskuję?

- Chyba tak.
- Poprzednio zeznała pani, że kontaktowała się w sprawach finansowych z Amerykaninem, niejakim Sorensonem.

- To członek Pyramid International, do którego pierwszego zadzwoniłam.
- I odmówił?
- Tak.
- Z jakiego powodu?
- Dotknęła go tragedia osobista.
- Jakiego rodzaju?
- Została zamordowana jego żona.
- W Los Angeles?
- Tak.
- Dlaczego poprzednio nie powiedziała pani o tym?
- Nikt mnie nie pytał.
- A z własnej woli?
- Nie wiedziałam, że to może być ważne. Co tragedia Sorensona może mieć wspólnego z Claudonem?

- Czyżby? Dwa okrutne morderstwa dotyczą dwóch członków Pyramid International na dwóch krańcach świata.

- Nie skojarzyłam tych faktów.
- Najwyraźniej skojarzył je ten amerykański detektyw Raines. I ja się z nim zgadzam.

- Dlaczego? - zapytał Sabitini.

- We francuskich aktach Claudona nie ma ani słowa o zboczeniach na tle seksualnym. A jeśli założymy, że utrzymywał tę stronę życia w sekrecie, to po co przyjeżdżał szukać ofiary aż w Rzymie? Mimo wszystko Paryż jest bardziej znany z prostytutek niż Rzym. Proszę, aby zapomniała pani o tej kolacji, co jedliście, o czym rozmawialiście i skoncentrowała się na otoczeniu.

- Nie rozumiem.

- Przecież potrafi pani spojrzeć na kamień i odczytać z niego starożytną historię. Z pewnością zdoła pani odtworzyć tamten wieczór. Mam na myśli ludzi, samochody, pogodę, wszystko co zwróciło pani uwagę.

- Zaparkowałam koło kościoła. - Wstała i zaczęła nerwowo spacerować po pokoju. - Kłóciłam się o miejsce z dwoma facetami. Potem przeszłam przez plac do restauracji. Claudon spóźnił się. Zamówiłam wino. Przy sąsiednim stoliku siedział Federico Fellini. Był z piękną kobietą. Na placu był tłum ludzi.

- Właśnie - przerwał Anjulo. - Proszę skoncentrować się na placu.

- Normalnie... trochę turystów. - Przestała spacerować. - Po przeciwnej stronie są oświetlone ściany Villa Borghese i... - Nagle zamilkła. Usiłowała sobie coś przypomnieć. - Obelisk... na środku placu.

- Co z nim?

- Wtedy nie byłam pewna, ze względu na odległość, ale stało tam dwóch mężczyzn, którzy nam się przyglądali.

- Jak wyglądali?

- Typowi Rzymianie - dobrze ubrani. Gdy wyszliśmy z restauracji, widziałam, jak jeden dzwonił z budki obok mojego samochodu.

- To znaczy przy kościele?

- Tak. Przy Santa Maria di Monte.

Zadowolony Anjulo uśmiechnął się i spojrzał na Sabitiniego.

- Widzi pan, panie profesorze. Ci sami świadkowie, te same zdarzenia, a informacje nowe.

- Wszystko zależy od postawionych pytań.

- Racja. Ale czy to nie dziwne, że osoba, która zajmuje się starożytną historią, zapomniała wspomnieć o egipskim obelisku?

- Obelisk stoi w Rzymie od wieków - odparła Gabriella.

- Tak. Dla pani to coś powszedniego, ale turyści przyjeżdżają specjalnie, żeby go

obejrzeć. - Wziął aktówkę i schował dokumenty. - Zna pani historię obelisku?

- Pobieźnie. Zdaje się, że papież Sykstus sprowadził go pod koniec szesnastego wieku. Miał skłonności do wprowadzania zmian.

- Faktycznie - Anjulo zamknął aktówkę. - Planował zamienić Koloseum w wytwórnię wełny. Jednak konklawe przekonało go, że jego mury widziały w swoim czasie już dość zwierząt. Papież łaskawie zmienił zdanie.

- Pan studiował historię Rzymu?

- Trochę. Poza tym sam jestem jej wytworem. - Uśmiechnął się. - Bardzo dziękuję za miłe przyjęcie, *signorina*. Już nie będziemy pani nachodzić.

- Jaka jest pańska ostateczna opinia? - zapytał Sabitini.

- Wydaje mi się, że Pierre Claudon i prostytutka zostali zamordowani przez wynajętych morderców.

- Wynajętych przez kogo?

- To pytanie do pana Rainesa z Los Angeles. Moje zadanie skończone. Mogę złożyć w Interpolu raport z faktami i poszlakami, pozwalającymi zachować honor narodowy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Dodgersi mieli jeszcze szanse na wejście do finału, a wynik dzisiejszego meczu miał o wszystkim zdecydować. Metsi nie aspirowali do punktowanego miejsca, ale ich czołowy zawodnik - Jesse Orosco - i tak popisywał się wspaniałą grą.

Pedro Guerrero stanął przed szansą na zdobycie punktu. Trybuny zamilkły.

Jenny nerwowo zajadała trzecią torebkę orzeszków.

- Jak myślisz, tatusiu, uda im się?

- Nie wiem.

Orosco przygotował się do rzutu, namierzył, rozluźnił się i rzucił piłkę. Guerrero odbił z wysiłkiem.

Zawodnik stojący na bazie ruszył z miejsca. Kibice powstali. Piłka wyleciała za linię, a Guerrero w mgnieniu oka znalazł się na drugiej bazie.

- Jest wspaniały - zachwycą się Jenny.

- Ma niezłe uderzenie. Trzeba przyznać. Chcesz jeszcze hot-doga?

- Nie, orzeszki.

- Okay.

*

Stanął w kolejce do budki z żywnością. Patrzył na boisko, ale po głowie błądziły mu myśli związane ze śledztwem. Kupił orzeszki, napił się piwa i zapalił cygaretkę.

Niepokoił go brak wiadomości z Interpolu na temat Pierra Claudona. Zastanawiał się, co oznacza zniknięcie Sorensona i plamy krwi oraz łuska na pokładzie jego jachtu. Rozmyślał nad zawartością notesu z operacji „Rosemark”, a także tajemniczym trójkątem.

Kibice podnieśli wrzask. Jack westchnął ciężko i pomyślał: „Do diabła ze śledztwem. Piękna niedziela, ciekawy mecz i spotkanie z córką.”

Wrócił i podał Jenny orzeszki.

- Ten facet z kiosku pyta, ile jeszcze dzisiaj kupisz torebek.

Jenny uśmiechnęła się i rozgryzła orzeszka.

- Palileś.

- Jak możesz...

- Dobra, dobra, czuję. Obiecałeś rzucić.

- Oczywiście. Palę już tylko pięć dziennie.
- O pięć za dużo.
- No już dobrze, zajmijmy się meczem.
- Dasz się napić piwa?
- Dzieciom nie wolno.
- Tylko łyka.
- Dla takiej aktorki jak ty, można zrobić wyjątek.
- Dobrze wypadłam w przedstawieniu, co?

Zanim zdążył odpowiedzieć, Jenny, wraz z czterdziestoma tysiącami kibiców, podniosła się z miejsca. Dodgersi stanęli przed wizją straty punktu.

- Kiepsko to wygląda - powiedział Jack.
- Eee, dadzą sobie radę - odpowiedziała.
- Mam nadzieję, że ja też.
- O co ci chodzi?
- O nic, kochanie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Trzydzieści pięć mil od stadionu Dodgersów, bez trudu mknąc przez fale Pacyfiku, „Camilla Two” zmierzał do portu. Był to kuter głębinowy specjalizujący się w połowach i ćwiartowaniu rekinów trafiających potem do najdroższych restauracji Hollywoodu.

Owa niedziela okazała się dla „Camilla Two” szczęśliwa. Wyłowiono z morza, oczyszczono i podzielono na porcje tuzin rekinów. Po rufie spacerowali rybacy o ogorzałych twarzach, popijając wytrawne martini fundowane przez kapitana.

Jedynie Edmund Sperling uparcie siedział przy burcie i oczekiwał na połów. Podniósł wiadro pełne krewetek oraz rybiej krwi i wylał zawartość do wody. Łowienie ryb nie było dla sławnego scenarzysty jedynie rozrywką - raczej sprawą życia i śmierci. W niedzielę nie można kupić ryb na straganie, a jeśli wróci do domu z pustymi rękami, jego piąta żona zrobi mu awanturę, której finał z pewnością rozegra się w sądzie.

- Nic nie złapiesz, teraz już bierze tylko słońce.

Sperling spojrział na uśmiechniętego mężczyznę o rumianej twarzy.

- Skąd ta pewność, Charlie?

- Za późno. - Mężczyzna napił się martini. - Rekiny odpłynęły. Zwijaj to wszystko i chodź się napić.

- Chyba masz rację.

- Bierze! - rozległo się od strony mostka. - Bierze!

Sperling szarpnął i wędzisko wygięło się pod ciężarem łupu.

Ile się dało, nawinął linkę, a potem z całej siły pociągnął i wyłoniło się z wody gigantyczne niebieskie cielsko. Z hukiem runęło na pokład.

Były to opuchnięte i pokaleczone ludzkie zwłoki. Uderzył okropny odór. Puste oczodoły wypełnione były podłużnymi robakami. Ciało nie miało dłoni i stóp. Na tułowiu poprzyczepiane były mięczaki, kraby i morskie rozgwiazdy. Z głowy pozostała tylko czaszka z resztkami ciała. W słońcu pobłyskiwał wiszący na szyi złoty medalion.

Sperling i jego towarzysz podbiegli do burty i zaczęli wymiotować. Stopniowo dołączali do nich inni rybacy, aż po jakimś czasie łódź zaczęła przechylać się na jedną stronę.

Na mostku wstrząśnięty kapitan łączył się z posterunkiem Straży Przybrzeżnej.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Linda mruczała cicho przez sen. Jack patrzył na jej płaski brzuch, kształtne biodra, wystające kości policzkowe i rozrzucone na poduszce włosy. Westchnął ciężko, usiadł na łóżku, potem włożył szlafrok i poszedł do salonu.

Do szklanki z lodem nalał imbirowego piwa i wyszedł na balkon. Mrugały do niego miejskie światła, a twarz pieścił mu ciepły wiatr.

Koniec końców przyjemnie spędził dzień. Dodgersi utrzymali jednopunktową przewagę. Jack uśmiechnął się, przypominawszy sobie euforyczną radość Jenny, gdy ostatni rzut Metsów nie przyniósł im punktu.

W drodze powrotnej do domu Rizzów rozmawiali o baseballu i balecie. Jedynie tuż przed rozstaniem zapytała go o śledztwo. Powiedział, że wszystko będzie dobrze i żeby się nie martwiła. Umówili się na przyszły weekend i Jenny pocałowała go na pożegnanie w policzek.

Randka z Lindą przebiegała w miłej i serdecznej atmosferze. Śmiała się z jego mieszkania - mówiła, że powinien wynająć dekoratora wnętrz albo podpalaczy.

Po kolacji wrócili do niego. Puścił płytę z wiązanką przebojów Sinatry, a Linda nalała sobie courvoisiera i zapaliła przemyconego z Panamy skręta. Pod wpływem brandy i trawy uleciały jego koszmary. Kochali się długo i namiętnie, lecz on wyobrażał sobie, że jest z kobietą, która już nie żyje, a której nadal pragnął.

Zagrzechotał kostkami lodu w szklance i pomyślał, że w końcu będzie musiał pogodzić się z faktem, iż Laura należy już do świata zmarłych. Pozostały mu jedynie wspomnienia.

Dzwonek telefonu brutalnie wyrwał go z zadumy. Wrócił szybko do salonu i podniósł słuchawkę.

- Halo?

- Mówi Torres. Przepraszam, że cię budzę.

- Co jest, Gabby?

- Polecieś, żeby Straż Przybrzeżna dzwoniła do Taktycznej, gdy coś się będzie dziać.

- Tak.

- W biurze szeryfa Long Beach coś pokręcili i skontaktowali się z Fitzsimmonsem, a

on zadzwonił do mnie. Przy Point Vincente jakiś facet wyłowił z wody zwłoki.

Jackowi na czoło wystąpił zimny pot.

- Kiedy?

- Po południu.

- Są jakieś znaki identyfikacyjne?

- Medalik ze świętym Krzysztofem na szyi. A na medaliku inskrypcja: „Martinowi, kochająca Laura. VIII 83.”

- Boże... - szepnął Jack.

- Dzwonił Gomez z kostnicy. Dopiero co przywieźli zwłoki. W kiepskim stanie. Nie ma rąk ani nóg. Sam tułów i roztrzaskana czaszka. Za lewym uchem widać dziurę po kuli. Pracuję nad tym.

- Kiedy będą wyniki?

- Gdzieś około jedenastej... No, powiedzmy wpół do dwunastej. Jack...

- Tak?

- Nie masz się co gryźć. Chciałeś dać Sorensonowi ochronę.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Jack i Rizzo szli jasno oświetlonym korytarzem, mijali ubranych na biało pracowników kostnicy, detektywów w płaszczach, umundurowanych policjantów i szlochające rodziny, których powinowaci znajdowali się w piwnicznych lodówkach.

Jedynymi meblami w gabinecie koronera były trzy krzesła, biurko i szafa z aktami. Okna wychodziły na Spring Street, ale zakurzone żaluzje nie przepuszczały słońca. Jedną ze ścian zdobił plakat filmowy przedstawiający Raquel Welch w „Kansas City Bomber”.

Za biurkiem siedział Gabriel Torres. Miał podkrążone oczy. Przeglądał raporty z napisami: „Patologia”, „Toksykologia”, „Ocena stomatologa” i „Przebieg zgonu”. Każdy raport ocechowany był numerem sprawy Sorensona.

Torres napił się kawy i głośno beknął.

- Smacznego - powiedział Rizzo.

- Przepraszam, chłopcy, ale całą noc piję tę kawę. - Przerwał, a po chwili dodał: - A wy sobie śpicie.

Wyjął dokumenty.

- Zacznę od nóg. Prawa: brak stopy, ujęta przy stawie kolanowym. Lewa: brak stopy, ujęta poniżej stawu biodrowego. Ręka lewa: ujęta w łokciu, dłoni brak. Ręka prawa: ujęta w nadgarstku, dłoni brak.

Spojrzał znad papierów:

- Pamiętajcie, że „ujęta” znaczy „odcięta” albo „odgryziona”. A w konkretnym przypadku dość zagadkowo, ponieważ końce są tak czyste, jakby ciało leżało w morskiej wodzie ze sto godzin.

- Na rany boskie, do rzeczy - powiedział zniecierpliwiony Jack.

- Problem w tym, że nie ma żadnej rzeczy. Same hipotezy. Kończyny mogły być równie dobrze odgryzione przez rekina, lwa morskiego albo innego drapieżnika, jak ucięte przez człowieka.

- Po co ktoś miałby zabijać Sorensona, a potem jeszcze zawracać sobie głowę ćwiartowaniem?

- Żeby nie dało się zidentyfikować odcisków palców - powiedział Rizzo.

- Odpada - odparł Jack. - Zostawili na szyi ten cholerny medalik.

- Spokojnie, chłopcy - powstrzymał ich koroner. - Nie zapędzajcie się. To sprawka drapieżnika. Tamta wersja to tylko hipoteza. Mogę dalej?

- No.

- Znaleźliśmy szramy po przywiązanych obciążnikach.

- A co z obciążnikami? - zapytał Rizzo.

- W morskiej wodzie ciało się kurczy. Po jakichś pięćdziesięciu, sześćdziesięciu godzinach obciążniki zsuwają się. Niewiele zostało z tego Sorensona. Uszy, sutki, pozostałości policzków, genitalia i tułów. - Spojrzał na dwóch detektywów. - Wszystko okaleczone, w tym wypadku z pewnością przez ryby. Grupa krwi AB zgadza się z tą, jaką znaleźliśmy na pokładzie jachtu. Wiek denata określono na około sześćdziesiąt lat. Po wymiarach klatki piersiowej, łydki i ramion można w przybliżeniu podać wzrost - około metra siedemdziesięciu. Tu są wymiary kości szczękowej i policzkowej. Oczywiście w strasznym stanie, ale udało się ustalić kolor - niebieski.

Jackowi robiło się niedobrze, gdy słuchał klinicznego opisu zwłok człowieka, który zawsze imponował mu elegancją i dobrym smakiem.

- Kula miała kaliber dziewięć milimetrów - ciągnął Torres. - Badania balistyczne wykazują, że została wystrzelona z rosyjskiego Makarowa SL. Wlot przy lewym uchu. Pocisk przeszedł przez mózg, uszkodził siedem dolnych zębów, naruszył tchawicę i krtań. Strzał padł z mniej więcej pół metra.

- Zabił go? - zapytał Jack.

- Wątpię. W płucach było pełno krwi. Ale co ciekawsze, zauważyliśmy brak infiltracji leukocytowej.

- Gabby, mów po ludzku.

- Przepraszam. Na ranie postrzałowej nie było białych ciałek.

- To znaczy, że denat najpierw utonął, a potem dopiero padł strzał?

- Nie jest to pewne, ale w sądzie można wysnuć takie przypuszczenie.

Torres wstał i włączył podświetlaną tablicę do przeglądu zdjęć rentgenowskich. Zobaczyli uśmiech okrutnej czaszki z odsłoniętymi zębami.

- To prześwietlenie jamy ustnej ofiary - wyjaśnił koroner i wskazał na drugie zdjęcie. - A to dostaliśmy od dentysty Sorensona, doktora Vogela. Jak widać, w lewej górnej czwórce jest złoty wlew, a w prawej dolnej piątce porcelanowy podkład pod metalową koronkę. Na górze pomiędzy lewą piątką a prawą czwórką mamy mostek. Co dziwne, w jego wieku wszystkie zęby mądrości na wierzchu i w dobrym stanie. Dolna szczęka, jak już mówiłem, pozostała uszkodzona, ale inne zęby wystarczają, aby porównanie wypadło pozytywnie.

Wrócił do biurka, otworzył górną szufladę i podał Jackowi medalik ze świętym Krzysztofem.

Jack obrócił go i przeczytał inskrypcję: „Martinowi, Kochająca Laura. VIII 83”.

Torresowi odbiło się donośnie i poklepał się po brzuchu.

- Przepraszam. Przez to cholerne śledztwo. Od dwóch dni nic porządnego nie jadłem.

- To wszystko?

- *Si, señor, todo.*

- Dziękujemy, Gabby.

- Zanim pójdziecie, chciałbym wam jeszcze na coś zwrócić uwagę. To nic takiego, ale jak na tak długi pobyt w wodzie tkanki są dobrze zachowane.

- Jakie to ma znaczenie?

- Nie wiem - Torres wzruszył ramionami. - Trochę to dziwne, ale z drugiej strony temperatura wody mogła zrobić swoje.

- Do czego zmierzasz, Gabby?

- Do niczego. Wiem, że to dla ciebie sprawa osobista i nie chciałbym niczego pominąć.

- Nie możesz po prostu podać mi swoich hipotez? - Jack zniecierpliwił się.

- Sorenson został utopiony, potem zastrzelony, może poćwiartowany i wrzucony do wody.

- A porównania dentystyczne zgadzają się?

- Z całą pewnością.

- Dobrze zachowane tkanki nie mają wpływu na ostateczne podsumowanie?

- Nie, *senor*.

- No to idź do domu i prześpij się.

*

Wyszli z mrocznego budynku na słoneczną ulicę. Jack usiadł za kierownicą samochodu i wyjął policyjną przepustkę. Rizzo pomachał ręką panience pobierającej opłaty za parkowanie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Stali naprzeciw oficera łączności i z niecierpliwością wpatrywali się w teleks. Czekali, aż zaczną pracować czcionki i nadejdzie wiadomość. Tymczasem panowała cisza.

- Jakież problemy? - zapytał Rizzo.

- Niewykluczone. Wysłałem „gotów do odbioru” i nie ma żadnego odzewu.

- Proszę wysłać jeszcze raz - powiedział Jack.

Łącznościowiec wystukał wiadomość, a odpis został uwieczniony na arkuszu żółtego papieru.

DEPARTAMENT POLICJI LOS ANGELES - SEKCJA TAKTYCZNA - TELEKS
167432 DO PARYSKIEGO INTERPOLU - 333878. CZEKAMY NA WIADOMOŚĆ O
WASZEJ GOTOWOŚCI I POTWIERDZAMY SWOJĄ.

Nagle czcionki zaczęły pracować.

INTERPOL - PARYŻ DO 167432 - JESTEŚMY GOTOWI.

Oficer łączności wysłał:

LA 167432 GOTÓW DO ODBIORU.

Czcionki monotonnie wystukiwały wyrazy układające się w treść:

WASZA PROŚBA O WIADOMOŚCI NA TEMAT OBYWATELA
FRANCUSKIEGO PIERRA CLAUDONA ZBIEGŁA SIĘ Z RAPORTEM WŁOSKICH
WŁADZ. NOCĄ, Z ÓSMEGO NA DZIEWIĄTEGO, CLAUDON ZGINĄŁ W RZYMIE.
POCZĄTKOWO POLICJA KRYMINALNA DONOSIŁA O SAMOBÓJSTWIE. PO
UPRZEDNIM ZMASAKROWANIU I ZAMORDOWANIU PROSTYTUTKI CLAUDON
MIAŁ SKOCZYĆ Z ÓSMEGO PIĘTRA HOTELU ROMANA. JEDNAK PO BARDZIEJ
SZCZEGÓŁOWYM ŚLEDZTWIE I PO PONOWNYM PRZESŁUCHANIU ŚWIADKA
(OBYWATELKI WŁOSKIEJ GABRIELLI BERCOVICI) COMMENDATORE ANTONIO
ANJULO NASUNĄŁ SIĘ WNIOSEK, ŻE CLAUDON PADŁ OFIARĄ MORDERSTWA.
ZABÓJSTWO I ZMASAKROWANIE PROSTYTUTKI MIAŁO STWARZAĆ FAŁSZYWE
MOTYWACJE SAMOBÓJSTWA. WKRÓTCE NADEJDZIE PEŁNY RAPORT ANJULO.
PROSZĘ O ODBIÓR.

Łącznościowiec spojrzał na Jacka.

- Coś jeszcze, poruczniku?

- Chwileczkę.

Wiadomość o morderstwie Claudona spadła jak grom z jasnego nieba. Jack chodził nerwowo po pokoju. Połączenie z Paryżem zmuszało go do wytężenia myśli i podjęcia szybkiej decyzji.

- Proszę zapytać o dane Gabrielli Bercovici.

Oficer wystukał pytanie. Po kilku sekundach nadeszła odpowiedź:

GABRIELLA BERCOVICI - ASYSTENTKA NA WYDZIALE JĘZYKÓW BLISKOWSCHODNICH NA UNIWERSYTECIE RZYMSKIM.

- Proszę jeszcze zapytać, czy miała coś wspólnego ze śmiercią Claudona.

Za chwilę Jack czytał odpowiedź z Paryża:

TEGO WIECZORU, KIEDY ZGINĄŁ CLAUDON, G. BERCOVICI JADŁA Z NIM KOLACJĘ. RAPORT ANJULO WYKLUCZA JEJ UDZIAŁ I STAWIA JĄ POZA PODEJRZENIAMI.

- Niech pan zapyta, co wiedzą o Claudonie.

WEDŁUG NASZEGO DEUXIEME BUREAU CLAUDON BYŁ PODEJRZANY O HANDEL KRADZIONYM RĘKODZIEŁEM ARTYSTYCZNYM. NIE NOTOWANY WCZEŚNIEJ W SPRAWACH KRYMINALNYCH. ODBIÓR.

- To wszystko - powiedział Jack. - Proszę im podziękować.

Oficer łączności wystukał podziękowania dla oddalonych o pięć tysięcy kilometrów kolegów po fachu.

*

Po powrocie do biura Jack postawił krzyżyk przy nazwisku Pierre Claudon i przyjrzał się diagramowi śledztwa.

- No i został nam ostatni Mohikanin - powiedział Rizzo. - Lord Hamilton, jedyny żyjący członek Pyramid International.

- Przestań, chodźmy do Nolana.

*

John Nolan siedział w dmuchanym fotelu i palił długie cygaro. Jak zwykle miał cerę szarą od dymu. Kobieta w średnim wieku podała gościom szklanki ze szkocką whisky, a Nolanowi butelkę mleka.

- Dziękuję, Elizabeth - powiedział Nolan i napił się. - Przez te cholerne hemoroidy i wrzód chyba nigdy porządnie nie wypocznę.

- Wykończysz się, John. - Jack się uśmiechnął. - Chyba nie chcesz nas opuścić.

- Kto wie, kto wie - westchnął Nolan. - Zaczyna się robić wesoło. Dzwonił do mnie

komisarz Harris. Pytał, co robimy w sprawie morderstw Sorensonów i Emory i czy mamy cokolwiek dla prasy. Dostał też oficjalny raport z CIA na temat twojego zatargu z tym... Jak się nazywa ten agent?

- Piersall.

- Właśnie. To może być powód do przejęcia przez niego śledztwa.

- Po moim trupie - odparł Jack. - Sam mówiłeś, żeby trzymać się od nich z daleka.

- Fakt. Ale ci frajerzy z agencji nie popuszczą - dwóch naukowców pracujących nad tajnym projektem zamordowanych w tym samym tygodniu. A jak się będą cieszyć, gdy się dowiedzą, że Sorenson zginął z radzieckiego pistoletu.

- To raz, a dwa, że miał łączność z radzieckim kutrem - powiedział Jack. - Muszą sprawdzić, czy nie sprzedawał Rosjanom informacji.

- A może był agentem? - zauważył Rizzo.

- Wątpię - zaprzeczył Jack. - Martwy agent nie ma żadnej wartości. Lepiej byłoby go śledzić i rozpracować.

- Nie mówił ci Piersall, że zapewniali mu ochronę? - zapytał Nolan.

- Mówił.

- A powiedział dlaczego?

- Nie musiał. Operacja kodowana na czarno dostaje automatyczny nadzór.

- Chwileczkę! - zawołał nagle Rizzo. - Przypuśćmy, że Emory wiedział o konszachtach Sorensona z Rosjanami.

- Nieźle... - bąknął Nolan. - Aby użyć truciznę, trzeba było mieć wiedzę medyczną.

- E tam - przerwał Jack. - Gdyby Emory miał jakieś podejrzenia, mógłby zameldować oficerowi zajmującemu się operacją „Rosemark”.

- A może chciał Sorensona szantażować? - zapytał Nolan.

- Po co? Był multimilionerem.

- Nie musiało chodzić o pieniądze. Może chciał wyciągnąć od niego trójkąt.

- Wszystko to szyte grubymi nićmi, Vince.

- Czekał, Jack - powiedział z rosnącym zainteresowaniem Nolan. - W tej hipotezie coś jest.

- Nic nie ma.

- Dlaczego?

- Bo przypuszczenia potwierdzamy przypuszczeniami. Przede wszystkim nie wiemy, co ma znaczyć ten cholerny trójkąt.

- Może to jakieś hasło.

- A może przekleństwo. Poza tym, żeby przyjąć wersję o szantażu, musielibyśmy założyć, że Sorenson był sowieckim agentem, a ja się na to nie dam nabrać. Całe jego życie świadczyło czemuś przeciwnemu. Pamiętajcie, że podczas drugiej wojny światowej służył w OSS. Przez trzy lata działał na linii wroga. Został odznaczony za bohaterstwo. Aby przyjąć tę teorię, musielibyśmy zapomnieć o jego patriotyzmie i uwierzyć, że na stare lata został agentem. I to w dodatku kiepskim.

- Dlaczego kiepskim?

- Gdyby był profesjonalistą, taki amator jak Emory nie mógłby go nakryć. Wiele można powiedzieć o Sorensonie, ale nie to, że był głupi. Jeśli nawet odstawimy logikę w kącie, to musimy dojść do wniosku, że Emory ryzykował życiem dla jakiegoś trójkąta. To się nie trzyma kupy.

- A co z telefonem? - zapytał Nolan.

- Jakim telefonem?

- Tej nocy, gdy zabito Emory, Sorenson dzwonił do Rzymu.

- Sprawdziłem to. Dzwonił do Rzymu kilka minut po dziesiątej, ale to nam niewiele daje. Pani Emory nie mówiła dokładnie, o której mąż zszedł na spotkanie. Powiedziała tylko, że około północy.

- To nie wyklucza, że Sorenson był tej nocy w Bel Air - powiedział Rizzo.

- Boże, tak do niczego nie dojdziemy - westchnął Nolan. - A tu jeszcze w Rzymie wykorkował ten cholerny Francuz i ni stąd, ni zowąd miesza się do sprawy ta Bercovici.

- Ona już była wmieszana - powiedział Jack. - Odegrała kluczową rolę w wykopaliskach w Ebla.

- Ciekawe po co Claudon się z nią spotkał? - zapytał Rizzo.

- Pewnie Anjulo napisze o tym w swym raporcie - odparł Jack. - Sądzę, że prosiła Claudona o finansowe wsparcie wykopalisk w Megiddo. Z tego samego powodu dzwoniła do Sorensona.

- Czego ona, u diabła, szuka? - zapytał Nolan.

- Jakiejś biblijnej tablicy.

- Pieprzone legendy... - burknął Nolan i wstał. - Ciekawe, gdzie nas to wszystko zaprowadzi.

- Skontaktuję się z prawnikiem Sorensona - powiedział Jack. - Może w testamencie jest coś interesującego.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Jack wjechał na autostradę. W pewnej odległości za nim spokojnie sunął czarny ford. Zajął swoją pozycję niemal w tym samym momencie, gdy Raines wyjechał z garażu Sekcji Taktycznej.

Jack włączył lewy migacz i znalazł się na środkowym paśmie. Potem wcisnął sprzęgło, wrzucił piątkę i przekroczył żółtą linię pasma szybkiego ruchu. Tłok na autostradzie zaczął się przerzedzać. Ze wschodu, w kierunku ostatnich promieni szkarłatnego słońca, wiał dość silny wiatr.

Spojrzał w boczne lusterko - czarny ford jechał dokładnie pięć długości samochodu za nim.

Jack wziął głęboki oddech, dodał gazu i, ryzykując wypadek, przejechał przez trzy pasma. Czarny ford z idealną precyzją podążył za nim.

Namierzył ich krążący nad autostradą śmigłowiec. Pilot zameldował o nieprawidłowej zmianie pasma dwóch pojazdów.

Jack włączył prawy migacz, skręcił kierownicę i znalazł się znów na pasie szybkiego ruchu. Czarny ford zrobił to samo.

Jack otarł z czoła krople zimnego potu. Postanowił ryzykować. Mogło się nie udać, ale musi pokrzyżować plany tamtemu kierowcy.

Dłonie pocily się na kierownicy. Rzucił okiem we wsteczne lusterko. Podążający za nim pojazd zbliżył się na odległość trzech długości samochodu. Spojrzał w prawą stronę, dodał gazu i skręcił, wciskając się między dwa niezbyt od siebie oddalone samochody. Nie zważając na klaksony, przeciął zewnętrzne pasmo i znalazł się na zjeździe do Crenshaw.

Kierowcy forda, zaskoczonymu nagłym manewrem, nie pozostawało nic innego, jak jechać dalej autostradą.

Jack trafił właśnie na moment, gdy światło zmieniało się z zielonego na żółte. Zawrócił i jadąc pod prąd, z powrotem wjechał na autostradę. Czarny ford mknął jakies osiem długości samochodu przed nim. Teraz Jack siedział mu na ogonie.

Gdy doganiając forda mijał kolumnę samochodów, usłyszał syreny policyjne. Przyspieszający ford wypuścił z rury wydechowej obłok czarnego dymu.

Jack wcisnął gaz do dechy.

Pojazdy, pędząc jak szalone, zrównały się. Jack niemal miażdżył dłońmi kierownicę, po karku spływały mu strużki zimnego potu. Syreny policyjne słycać było coraz bliżej.

Ford zjechał trzy pasma na prawo i kierował się w stronę zjazdu do Robertson.

Jack trzymał się za nim.

Tylne czerwone światła błysnęły, gdy ford przyhamował przed kolumną samochodów. Jack zrównał się z nim, skręcił kierownicę i uderzył zderzakiem w jego bok.

Ford wpadł w poślizg, a potem zatrzymał się na trawiastym poboczu.

Jack wyskoczył z wozu i wyciągnął rewolwer. Z forda wysiadł wysoki młodzieniec.

- Nie ruszać się! - krzyknął Jack.

Mężczyzna miał sterczące blond włosy. W ciemnych okularach słonecznych odbijały się reflektory samochodu Jacka. Podniósł ręce do góry.

Raines wolno zbliżył się do niego.

- Podejdz do mojego samochodu i połóż ręce na dachu.

Chłopak ruszył powoli, lecz nagle wykonał szybki obrót. Jack za późno dostrzegł uniesioną stopę.

Ostry ból przeszył mu krocze. Upuścił rewolwer i upadł na kolana. Przyjął na siebie całą siłę doskonale wykonanego ciosu karate.

Mężczyzna rzucił się na niego. Nie napotykając na żadną przeszkodę, stoczyli się z pobocza.

Jack ścisnął przeciwnika za szyję.

- Kto cię nasłał? - krzyknął. - Syryjczycy? CIA? KGB? Mów, skurwielu!

Słoneczne okulary zsunęły się z nosa chłopaka.

- Wariat! - wykrztusił.

Nagle usłyszeli nad sobą donośny głos.

- Wstawać! Ręce do góry!

Na poboczu stały dwa czarno-białe samochody policji drogowej. W każdym z nich jeden z policjantów obsługiwał nadajnik radiowy, a drugi mierzył z dwudziestostrzałowego pistoletu w Jacka i kierowcę forda.

Policjant ruchem pistoletu nakazał im stanąć przy samochodzie.

- Odwrócić się i rozstawić nogi.

- Posłuchajcie, koledzy, jestem porucznikiem...

- Zamknij się i ani słowa więcej.

Jack poczuł na nadgarstku ucisk metalowych kajdanek.

- Odwrócić się!

Policjant wyciągnął z podartej kurtki dokumenty Jacka. Potem podszedł do blondyna.

Nad nimi krążył helikopter. Wokół migotały światła pędzących samochodów i motocykli. Wpatrzeni w rozgrywającą się scenę kierowcy tamowali ruch na autostradzie.

Policjant spojrział zdziwiony na złotą odznakę Jacka.

- Popatrz - powiedział do kolegi.

- Ty jesteś Raines? - spytał oficer.

- Tak. Pracuję w Sekcji Taktycznej. Ten facet mnie śledził. - Jack ruszył w stronę policjantów.

- Poczekaj, aż sprawdzimy rejestrację.

- Tylko szybko. - Jack miał zraniony policzek, podartą kurtkę, a ostry ból krocza czuł aż w brzuchu.

Blondyn spokojnie obserwował czynności policjantów.

- Centrala potwierdza, że GTO jest rejestrowany w Doheny Palms na Jacka Rainesa, porucznika policji - powiedział oficer. - Zdjąć kajdanki.

Policjant oddał Jackowi rewolwer.

- Co tu się, do diabła, dzieje, poruczniku?

- Śledził mnie.

- Gówno prawda - burknął chłopak. - Ten facet to wariat.

W tym momencie usłyszeli głos oficera sprawdzającego tożsamość blondyna.

- Nazywa się Arnold Ferris. Jest notowany w każdym komisariacie wzdłuż autostrady.

To złodziej samochodów.

- Złodziej samochodów? - powtórzył z niedowierzaniem Jack.

- Według kartoteki jeden z najlepszych.

Jack przyjrzał się zakutemu w kajdanki młodemu człowiekowi.

- Po kiego diabła mnie śledziłeś?

- To klasyczny GTO z siedemdziesiątego pierwszego roku. Parę tygodni takiego szukałem. W Bridgeport mam na niego klienta za osiem kawałków. Miałem pecha, natknąłem się na glinę.

- Chce pan teraz złożyć oskarżenie, poruczniku? - zapytał policjant.

- Później przyślę wam raport.

Jack wolno podszedł do samochodu i zauważył rozbity zderzak.

Policjanci otoczyli chłopaka i wsadzili go do radiowozu.

- Ten facet ma świra. Gadał coś o Syryjczykach, KGB, CIA. Zdrowo walnięty - mówił, z niedowierzaniem kręcąc głową.

- Chłopak ma trochę racji - powiedział policjant, patrząc za odjeżdżającym GTO. - Ci z Sekcji Taktycznej naprawdę mają nie po kolei w głowie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Gabriella trzy razy składała i rozkładała wełniany płaszcz, zanim zdecydowała się go zabrać. Zwykle nie potrzebowała dwóch płaszczy, ale późna jesień w Nowym Jorku może być chłodna, a w Londynie na pewno będzie padać.

Zapięła zamek i naciągnęła paski walizki. Czuła lekkie podenerwowanie przed podróżą. Wykopaliska w Megiddo zostały na razie wstrzymane, a Gabriella jechała z nadzieją na uzyskanie dotacji od British Museum i Metropolitan Museum. Przez moment stała w delikatnych promieniach wpadającego przez okno słońca.

Mieszkała w Villa Balestra na wzgórzu Monte Parioli i z okna miała wspaniały widok na Stare Miasto. Mieszkanie odziedziczyła po matce, eleganckiej, pełnej wdzięku kobiecie - florenckiej piękności, która nawet w obliczu choroby potrafiła zachować odwagę.

W owym czasie Gabriella bardzo zbliżyła się do ojca. Często jeździła do Mediolanu, aby być na jego występach w La Scali. Był doskonałym wiolonczelistą i Gabriella uważała, że tak naprawdę nigdy nie wykorzystano jego talentu. Zachęcała go do występów solowych, ale starszy pan tylko się uśmiechał i mówił: „Ty, córko, zostałeś obdarzona odwagą, której mnie zupełnie brakuje. Ciebie nic nie powstrzyma. Możesz osiągnąć wszystko, co zechcesz. A ja, nawet gdybym był w twoim wieku, miałbym opory. Jestem teraz jak stary koń wyścigowy, który chce dumnie dobiec do mety.”

Wiedziała, że cieszy się jej osiągnięciami. Gdy zyskała światowe uznanie za rozszyfrowanie pisma klinowego na tabliczkach z Ebla, przysłał jej telegram z jednym tylko słowem: „*Brava!*”

Czasami, drocząc się z nią, mówił, że jej flirt z przeszłością pozbawił go wnuków.

Uśmiechała się wtedy i mówiła:

- Jeszcze się nie poddawaj, tato.

*

Przed lustrem w łazience poprawiła fryzurę. Nigdy nie poświęcała jej zbyt dużej uwagi. Po matce miała włosy długie, proste i matowe, „w kolorze szampana” jak mówił ojciec.

Wyłączyła w łazience światło i przeszła do salonu. Pomyślała, czy nie zadzwonić do Barzaniego, ale doszła do wniosku, że rozsądniej będzie, jeśli skontaktuje się z nim dopiero

po rozmowie z doktorem Ettingerem z Nowego Jorku.

Zespół Barzaniego zszedł już na głębokość dwudziestu pięciu stóp pod poziomem z okresu panowania króla Salomona. Był to niewątpliwy powód do radości. Na znalezionych wrotach z brązu odkryto wizerunek kanaanejskiego bożka wojny Reshefa. Najwyraźniej zbliżali się do czasów zajęcia Kanaanu przez Izraelczyków - czasów Itamara. Gabriella chciałaby tam być, ale bez dodatkowych funduszy wykopaliska w Megiddo mogły się nagle zakończyć.

Dzwonek telefonu wyrwał ją z zamyślenia. Podniosła słuchawkę.

- *Pronto?*

- To ty, Gabriello? - usłyszała wysoki męski głos należący najprawdopodobniej do sędziwego Brytyjczyka.

- Tak, kto mówi?

- Anthony Hamilton. Mam nadzieję, że mnie nie zapomniałaś.

- Ani trochę. Próbowałam dzwonić zaraz po śmierci Claudona, ale masz zastrzeżony numer. Chciałam ci podziękować za pomoc.

Usłyszała jakiś hałas.

- Chwileczkę - powiedział Hamilton.

Lord Anthony Hamilton siedział na fotelu przypominającym tron. Nad nim wisiała półka z artefaktami. Na ciemnych ścianach komnaty, pamiętającej jeszcze średniowiecze, umieszczone były głowy lwów i słoni - pamiątki z krwawych polowań w Afryce.

Wszedł lokaj z kieliszkiem sherry na srebrnej tacy. Łysina Hamiltona błyszczała w padającym spod sklepienia świetle. Biorąc z tacy kieliszek zmrużył ptasie oczy i powiedział:

- Dziękuję, Henry.

Rozsiadł się wygodnie w fotelu, upił hiszpańskiej sherry i podniósł słuchawkę.

- Przepraszam, Gabriello. Sabitini mówił mi, że lecisz do Nowego Jorku, a potem do Londynu.

- Zgadza się.- Z pewnością masz jakieś wieści z Megiddo.

- Owszem, wykopaliska posuwają się naprzód. Barzani jest już blisko poziomu, który nas interesuje.

- To naprawdę dobra wiadomość. Potrzeba nam trochę otuchy, zwłaszcza po okrutnym losie, jaki spotkał Claudona.

- Byłam bardzo wstrząśnięta.

- Tak, ale było to do przewidzenia. Bardzo go lubiłem, jednak zajmował się sprzedażą dzieł sztuki, które, hm, mówiąc ogólnie, nie on powinien sprzedawać.

- Nie wiążesz tego morderstwa z Ebla albo Syryjczykami?

- Nie. Pierre padł ofiarą swej własnej chciwości. Z pewnością wszedł w zatarg z jakimś handlarzem albo kolekcjonerem. Tyle razy go ostrzegałem.

- Wiesz, że w Los Angeles zamordowano żonę Martina Sorensona?

- Czytałem coś w *International Tribune*. Straszna tragedia. Ale nie kojarzyłbym jej z kolegami z Syrii.

- Sabitini uważa, że wszyscy jesteśmy w niebezpieczeństwie.

- Nie wierzę - powiedział Hamilton. - W każdym razie bardziej niż kiedykolwiek chciałbym, aby udało się znaleźć tablicę Mojżesza. Żałuję, że nie mogę pokryć wszystkich kosztów.

- Zdajesz sobie sprawę, że bez tych trójkątów może to długo potrwać?

- Oczywiście, ale niepowodzenia są elementem procesu odkrywania. Raz się wygrywa, a raz nie. Tym niemniej wierzę w twoje doświadczenie.

- Dziękuję za zaufanie i zapewniam, że zrobię wszystko, co w mojej mocy.

Wielki brzuch Hamiltona opadł bezwiednie, gdy lord wstał, aby wyrzeć przez okno na zalesione wzgórza swej posiadłości.

- Musisz zapomnieć o Ebla, Syryjczykach i o Claudonie. Skoncentruj wysiłki na Megiddo. Działamy dla wspaniałej sprawy. Z jakichś powodów nam przypadło odnalezienie ostatnich słów Boga. A ty, moja droga, jesteś w takiej samej sytuacji, jak Itamar trzydzieści dwa wieki temu. Dzięki szczęściu i umiejętnościom jesteś współczesną posłanniczką Mojżesza.

Uśmiechnęła się, słysząc pompatyczny ton Hamiltona.

- Wielki prorok Izraela wykazał się niezłym gustem wybierając Włoszkę.

- Liczę na ciebie, Gabriello. Wierzę, że twoja wyprawa będzie owocna.

- Dziękuję, Anthony.

Gabriella odłożyła słuchawkę i nerwowo zacisnęła pięści. Wyczuwała instynktownie, że w tonie Hamiltona coś się kryje. Przypomniała sobie, jak przyjechał do Ebla latem 1981 roku. Wydobyli właśnie wspaniałą kobrę ze złota. Hamilton chwycił ją i Gabriella dojrzała w jego małych oczkach żądę posiadania.

Nagle przy drzwiach zadzwonił domofon. Podeszła do aparatu i nacisnęła klawisz.

- Kto tam?

- Ben Gazzara - powiedział Sabitini. - Przyjechałem, żeby zawieźć cię na lotnisko.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Jack zaparkował na poziomie D parkingu drapacza chmur Century City. Po odcięciu paliwa samochód pracował jeszcze kilka sekund.

Odwrócił boczne lusterko i popatrzył na prawy policzek - pamiątkę po wieczornym zajściu na autostradzie.

Szedł pustymi korytarzami, uśmiechając się mimowolnie na myśl o minie Lindy, gdy zobaczy go w podartej kurtce, z krwią na koszuli i raną na policzku. Zanim zdążyła wykrztusić z siebie słowo, podniósł ręce i powiedział:

- Nie pytaj. I tak nie uwierzysz. Zrób mi drinka i przygotuj kąpiel.

Spędzili razem wieczór, a po pewnym czasie zwierzyła mu się, że ma na niego wielką ochotę.

Przytulił ją i powiedział, że wiele dla niego znaczy. Zawsze chętnie się nią zaopiekuje, ale nie może zaproponować jej nic więcej ponad przyjaźń. Po prostu nie chce okazać się nieodpowiedzialnym. Całkowicie musi poświęcić się córce.

- W porządku, Jack - Linda pocałowała go. - Ja jestem już duża. Raz przylatuję, raz odlatuję... Jakoś to będzie.

*

Wjechał windą na dwudzieste drugie piętro i szedł korytarzem wyłożonym dywanem. Zatrzymał się przed brązowymi drzwiami ze złotą wizytówką: ARNOLD, MESNICK, GARDNER I SPÓŁKA. Tuż pod nazwą firmy widniał dopisek: KORPORACJA.

Harry Arnold stał przy oknie i patrzył na przypominających owady ludzi uwijających się dwadzieścia dwa piętra niżej. Z biura rozciągał się rozległy widok na Los Angeles Country Club, Liceum Beverly Hills, studia Twentieth Century-Fox, a dalej na stalowoszary Pacyfik ciągnący się aż w nieskończoność.

Popijając kawę Jack przeglądał ostatnią stronę testamentu Sorensona. Po chwili zamknął teczkę i odłożył ją na biurko.

- To wszystko?

Przystojny notariusz pokiwał głową.

- Dokument jasny i prosty. Poza kilkoma darowiznami wszystko przypada Laurze. Dzwoniłem do Martina po jej śmierci i pytałem, czy chce zmienić testament, ale już się nie

spotkaliśmy. - Arnold usiadł i wyjął złotą piłeczkę golfową. - Zapis dla Prezbiteriańskiego Centrum Medycznego w Kolumbii, Kliniki Onkologicznej im. Johna Wayne'a w Los Angeles, Kliniki i Centrum Rozwoju w La Jolla, dożywotnie utrzymanie pańskiej córki. Jak widać nie ma tu nic szczególnego - żadnych dziwnych spadkobierców, żadnych dzieci z nieprawego łoża, żadnych tajemnic.

- Z wyjątkiem działalności Sorensona na rzecz rządu.

- O tym nic nie wiem.

- Nigdy nie wspominał o „Rosemark”?

- Nigdy. Z tym, że nie widywaliśmy się zbyt często. Ostatni raz przed Wielkanocą.

- Czy to nie dziwne? Prowadził pan jego interesy, a nie widział go pan od pół roku.

- Często i regularnie rozmawialiśmy o interesach, ale widywaliśmy się rzadko. Nic w tym zaskakującego.

- Co pan wie o wykupieniu udziałów doktora Emory?

- A co mam wiedzieć?

- Martin opowiadał, że prowadzili dosyć ostre negocjacje.

- Chyba tak, ale wszystko dobrze się skończyło. Emory oszedł z sześcioma i pół milionem. - Arnold zawahał się. - Boże, wierzyć mi się nie chce, że obydwaj już umarli.

- Zostali zamordowani.

- Wiem, ale to słowo nie chciało mi przejść przez gardło.

- Czy Sorenson wspominał coś o trójkącie?

- To znaczy o figurze geometrycznej?

- Tak, ale być może w zupełnie innym kontekście.

- Mnie nic o żadnym trójkącie nie mówił. - Arnold rozsiadł się na krześle i podrzucił złotą piłkę golfową. - Co się panu stało w policzek?

- Zaciąłem się przy goleniu. Zajmował się pan wszystkimi interesami Sorensona?

- Tak.

- Wypłacaniem czeków też?

- I naliczaniem podatku.

- Chciałbym przejrzeć jego czeki, weksle, rachunki i tym podobne dokumenty.

- Prywatne czy służbowe?

- Prywatne.

- Z jakiego okresu?

- Powiedzmy, z ostatnich sześciu miesięcy.

- Co pan spodziewa się znaleźć?

Jack wzruszył ramionami.

- Zwykle wydatki, może jakiś jednorazowy przelew dla kogoś nieznanego. Nie wiem -
zarzucam sieci.

Arnold nacisnął guzik na zielonym blacie.

- Betty?

- Tak.

- Mogę cię prosić?

Do gabinetu weszła wysoka brunetka o dużych oczach i przyjemnym wyrazie twarzy.

- Dzwonił pan?

- Tak, Betty, dzwoniłem - odpowiedział Arnold z nutką rozbawienia. - Zabierz
porucznika Rainesa do archiwum i pokaż dyskietkę z kontem osobistym Sorensona.

- Tylko wydatki domowe?

- Wszystkie rachunki nie związane z prowadzeniem firmy za ostatnie sześć miesięcy.

Coś jeszcze, Jack?

- Nie.

Arnold wstał i uściśnieli sobie dłonie.

- Powinien pan sprawić sobie nową żyłkę.

- Pomyślę o tym. A tak przy okazji, co znaczy ten napis na drzwiach:

KORPORACJA?

- To dla pewności.

- Klientów?

- Nie, pewności siebie.

*

Sekretarka Arnolda siedziała obok Jacka, oboje spoglądali na ekran komputera.

Miesiące mijały, a wydatki pozostawały takie same: usługi ogrodnicze, sprzątanie,
Supersam Marconda, Kalifornijski Szpital dla Zwierząt, American Express, sklep Jurgensena,
Bullocka, Union Oil...

- Można dalej? - zapytała sekretarka.

- Proszę.

Rachunki nie zmieniały się. Dziewczyna nacisnęła klawisz i pojawiła się nowa
kolumna. Betty spojrzała z zainteresowaniem na zraniony policzek Jacka. Jak na policjanta
ma zbyt łagodne oczy, pomyślała. Zaraz jednak uświadomiła sobie, że niewiele może na ten
temat powiedzieć, ponieważ tylko raz miała do czynienia z policją, gdy przypadkowo dostała
mandat.

Jack nie zwrócił uwagi na jej ciekawe spojrzenia, ponieważ dostrzegł coś na dole kolumny.

- Można tę linię umieścić w środku ekranu?

- Jasne.

Wykonała odpowiednią operację.

- Tę. Między Neiman-Marcus a warsztatem samochodowym Beverly Hills.

- Rockwell Contractors?

- Tak.

- I co dalej?

- Trzydzieści siedem tysięcy pięćset dwadzieścia osiem dolarów...

- I dwadzieścia trzy centy - dodała.

- Przecież to fura pieniędzy.

- Też tak myślę. Prawdę mówiąc kontaktowałam się z Laurą przed zrealizowaniem tego czeku.

- Pamiętasz, co powiedziała?

- Że chodzi o jakieś prace wykopkowe koło domu.

- Da się odszukać oryginalny rachunek?

- Czy mogę spytać po co?

- Co tydzień ich odwiedzałem i nie zauważyłem, żeby prowadzono tego rodzaju prace.

- Zaraz wracam.

Zastanowił się, czy to możliwe, aby Laura robiła potajemne transakcje i zatrudniała jakieś fikcyjne przedsiębiorstwa. Zaraz jednak odrzucił takie podejrzenie. Lecz jak mógł nie zauważyć prac wykopkowych za trzydzieści siedem tysięcy. Przecież za taką sumę można dokopać się do samego piekła.

Weszła sekretarka niosąc przed sobą plik rachunków i położyła je na biurku.

Rockwell Contractors mieściła się przy bulwarze Pico w zachodnim Los Angeles. Usługi dzieliły się na trzy zasadnicze kategorie: kopanie, przenoszenie ziemi oraz wznoszenie konstrukcji. Drobniejsze sumy szły na materiały budowlane, elektryfikację i wykonanie usługi. Umowa została spisana na dziesięć tygodni. Oszacowania dokonał Robert O'Neil.

- To już wszystko, poruczniku.

- Dziękuję.

- Czym mogę jeszcze służyć?

- Możesz zadzwonić do mojego biura i zostawić wiadomość sierżantowi Vince Rizzo, że znajdzie mnie w posiadłości Sorensona w Bel Air.

- To wszystko?
- Prawie. - Uśmiechnął się. - Jak się stąd dodzwonić do miasta?
- Trzeba wykręcić dziewiątkę.
- Dziękuję. Bardzo mi pomogłaś.

*

Wykręcił numer i poprosił Roberta O'Neila. Po chwili usłyszał w słuchawce niski głos.

- Tu O'Neil.
- Robert O'Neil?
- Tak. Kto mówi?
- Porucznik Jack Raines z Sekcji Taktycznej Policji.
- Czym mogę służyć? - spytał po chwili.
- Prowadzę śledztwo w sprawie morderstwa Laury Sorenson i jej męża, doktora Martina Sorensona.

- Czytałem o tym. Mało ich znałem, ale to straszne, co im się przytrafiło.
- W marcu wykonał pan jakieś prace w ich posiadłości w Bel Air.
- Zgadza się.
- Za trzydzieści siedem tysięcy dolarów.
- Mniej więcej. Tak, na wiosnę. I co z tego?
- Bywałem u nich co niedziela i nie widziałem żadnych prac, więc rachunek wydał mi się dziwny.

- Prowadziliśmy prace pod domkiem dla gości.
- Na czym one polegały?
- Chwileczkę, a skąd mogę wiedzieć, że jest pan policjantem?
- Ma pan długopis, panie O'Neil?
- Mam.
- Oto mój numer służbowy: zero-sześć-sześć-cztery-trzy-jeden. A teraz proszę zadzwonić do Sekcji Taktycznej 555-6600. Mój przełożony nazywa się Charles Fitzsimmons. Za pięć minut zadzwonię ponownie.

- Ja mam mnóstwo pracy, co, do diabła, ma znaczyć „pięć minut”?
- Posłuchaj pan, panie O'Neil - powiedział Jack, starając się zachować spokój. - Dzwon pan w tej chwili, bo jak nie, to wezwę pana na przesłuchanie do biura szeryfa, a wtedy na parę dni koniec z kopaniem tych pieprzonych dziur.
- Dobrze, dobrze, poruczniku, nie trzeba zaraz używać wulgarnych słów.

Nastąpiła chwila ciszy, a po niej głębokie westchnienie.

- Może pan powtórzyć nazwisko?
- Raines. R-A-I-N-E-S.
- Okay, wierzę panu na słowo. Co mogę dla pana zrobić?
- Chcę wiedzieć, co budowaliście w domku dla gości.
- Chwileczkę, sprawdzę w kartotece.

Jack czekał i zastanawiał się, czy zapalić cygaretkę. Nałóg wziął górę na rozsądkiem. Zapalił brązowego Shermana, zaciągnął się i obiecał sobie, że po zakończeniu śledztwa rzuci palenie.

- Halo? Panie Raines?
- Tak, słucham.
- Mam kartotekę. Budowaliśmy piwnicę.
- Pod ziemią?
- Piwnice zwykle buduje się pod ziemią.

Jack zignorował sarkazm.

- Jakie miało być jej przeznaczenie?
- Prywatny gabinet.
- Ma pan do niego klucze?
- Tak...
- Chciałbym, żebyśmy się tam spotkali.
- Kiedy?
- Hm, teraz jest piętnaście po jedenastej, no powiedzmy, że o wpół do pierwszej.
- Dobrze. Domyślałem się, że powinienem zabrać ze sobą szyfr.
- Jaki szyfr?
- Do ściennego sejfu.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Kanciasta głowa O'Neila miała w stosunku do wąskich ramion zbyt duże wymiary. Przydługie, chude ręce sprawiały, że był podobny do goryla na diecie odchudzającej.

Jack szedł przez trawnik obok budowlańca z rumianą twarzą i mimo uszu puszczał jego narzekania.

- Jezu, teraz, jak tu jestem, wszystko mi się przypomina. Co za cholerna robota. Wykopaliśmy dwie tony ziemi bez sprawdzania wody i gazu. - Wskazał palcem na rząd zacieniających domek drzewek fikusa. - Pani Sorenson nie pozwoliła ich ruszyć, musieliśmy pod nimi zrobić filar.

- Naprawdę?

- Tak. Traktowano nas brutalnie. Nawet jak byliśmy urobieni po łokcie, doktor kazał pracować bez wytchnienia.

- Specjalista od mózgu musi być precyzyjny - zażartował Jack i uciął narzekania O'Neila.

Parterowy domek dla gości miał ściany w kolorze ochry i czerwoną, hiszpańską dachówkę. O'Neil wyjął wielki pęk kluczy, wybrał jeden, włożył do zamka i otworzył drzwi.

Pomieszczenie było umeblowane prosto: biurko, sofa, dwa nowoczesne szwedzkie fotele, zasłony na oknach i metalowa kartoteka. Kilka fotografii na ścianach przedstawiało doktora Sorensona podczas różnych wypraw archeologicznych. Wyjątek stanowiło czarno-białe zdjęcie ośmiu mężczyzn i jednej kobiety przed budynkiem na Fifth Avenue, pod którym znajdowała się adnotacja: „Piąta Międzynarodowa Konferencja na Temat Przyszłości Badań nad Mózgiem - Nowojorska Akademia Medyczna, czerwiec 1974.”

O'Neil odczekał, aż Jack dokładnie zlustruje pokój i zapytał:

- Już można?

Jack skinął.

Robotnik odsunął nogą dywan, nachylił się, pociągnął za metalowe kółko i podniósł prawie półtorametrową klapę. W głąb prowadziły schody. O'Neil włączył światło.

- Proszę za mną, poruczniku. I uwaga na stopnie.

Piwnica przypominała raczej galerię sztuki. Łagodne światło padało na obrazy Cezanne'a, Maneta, Sisleya i Pissarro. Na podłodze leżał biały dywan, a ściany pokrywał

beżowy aksamit. Z podświetlonego sufitu padało światło na antyczne meble.

- Piękniutko, co? - powiedział O'Neil.

- Piękniutko.

Mężczyzna nacisnął przycisk na tablicy rozdzielczej i pokój wypełniły odtwarzane z doskonałą jakością dźwięki preludium Bacha.

- Słyszał pan kiedyś czystsze dźwięki?

- Często tu schodziła pani Sorenson? - Jack zignorował pytanie.

- Na początku doglądała, żebyśmy jej nie uszkodzili tych fikusów, a potem już się więcej nie pokazała. Przynajmniej nie jak ja tu byłem.

- A doktor?

- Czasami siedział tu bez przerwy, a czasami nie widzieliśmy go całymi tygodniami. Zapytałem go kiedyś, dlaczego nie trzyma tych obrazów na górze, tutaj przecież nikt ich nie widzi. Popatrzył na mnie wesoło i powiedział: „Ja je widzę, panie O'Neil”.

- Tacy już są ci kolekcjonerzy.

- Taaa... Kiedyś budowałem pomieszczenie dla milionera, takiego od odszkodowań.

Wie pan, co miał w pokoju?

- Nie, nie wiem.

- Akwaria z rybkami. Na całych ścianach. Siadał i godzinami się wpatrywał w te rybki. Ludziom chyba odbija od dużych pieniędzy.

Jack rozejrzał się i pomyślał, że prócz cennych obrazów, eleganckich mebli i pięknej muzyki, faktycznie jest tu dużo szaleństwa. Spojrzał na zegarek i zaniepokoił się o Rizzo. Chciał, żeby Vince był przy otwieraniu sejfu, ale nie mógł przemóc ciekawości.

- No dobrze, obejrzymy sobie ten sejf.

O'Neil zdjął ze ściany zimowy pejzaż Sisleya i nacisnął mały guziczek. Za kwadratowymi drzwiczkami ukazał się ciemnoszary, potężny sejf na szyfr.

O'Neil podał Jackowi kartkę papieru.

- Proszę czytać, ja będę kręcił.

- Kto jeszcze zna szyfr?

- Z tego co wiem, tylko doktor i my.

- To znaczy pana firma?

- Tak. Przy takich robotach jak ta, zachowujemy szyfr w ścisłej tajemnicy.

- Czy ktoś z „Rockwell” ma jeszcze do nich dostęp?

- Nie, tylko ja i mój syn. Pan Rockwell jest już na rencie. - Zmarszczył brwi. - My, poruczniku, jesteśmy solidną firmą. Kod zdradzamy tylko na prośbę właściciela albo, tak jak

teraz, w specjalnych wypadkach. Zbudowałem tu w Beverly Hills jakieś pięćdziesiąt, sześćdziesiąt sejfów. Zwłaszcza u Chińczyków i Irańczyków, co przyjeżdżają tu z żywą gotówką. To mój zawód. Czy pan nie myśli, że mógłbym mieć jakieś nieczne zamiary?

- Zadaję tylko rutynowe pytania, panie O'Neil. A teraz proszę otwierać.

- Gotów. - O'Neil położył palce na gałce.

- Dwa pełne obroty od zera w stronę dwunastki.

Jack czekał, aż budowlaniec skończy manipulację.

- W lewo przez zero do trzydziestu trzech.

- W porządku. - O'Neil kręcił ostrożnie.

- Dwa pełne obroty w prawo przez zero do szesnastu.

O'Neil wykonał polecenie.

- A teraz uwaga - oznajmił Jack. - Ostatni ruch. W lewo do czternastki.

Rozległy się dwa stuknięcia. O'Neil nacisnął gałkę. Kłapa sejfu ustąpiła.

- Proszę podać z biurka lampę - powiedział Jack, podchodząc bliżej.

O'Neil przyniósł lampę i podłączył do kontaktu nad podłogą. Skierowali strumień światła prosto na półki we wnętrzu sejfu. W głębi dostrzegli ciemny przedmiot.

Jack wyprostował się i spojrzał na O'Neila.

- Będzie pan świadkiem.

- Czego?

- Wyjmowania tego.

- Jak pan sobie życzy, poruczniku.

Jack sięgnął do środka. Natrafił palcami na metalowy przedmiot zawinięty w aksamit.

Wyjął i ostrożnie odwinał materiał.

Zobaczył złoty trójkąt pokryty pismem klinowym.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Doktor Lawrence Ettinger zajmował stanowisko dyrektora oddziału zbiorów bliskowschodnich w Metropolitan Museum of Art w Nowym Jorku. Był wysoki, potężnie zbudowany, miał regularne rysy twarzy, zaawansowaną łysinę i nieforemne uszy. Na studiach zdobył mistrzostwo w boksie, a po ich ukończeniu występował nawet zawodowo w małym nowojorskim klubie.

Poza walorami fizycznymi Ettinger został obdarzony także wysoką inteligencją i miał wszechstronne zainteresowania i zdolności. Tytuł magistra historii sztuki zdobył na Uniwersytecie Kolumbijskim, a doktoryzował się z archeologii w Oksfordzie. Był znanym ekspertem od tłumaczeń sumeryjskich i akkadyjskich pism, znał biegle hebrajski i arabski. Napisał szczegółową biografię wielkiego angielskiego orientalisty i lingwisty Sir Henry Creswicke Rawlinsona.

Ettinger był swego rodzaju ekscentrykiem. Mimo sześćdziesiątki codziennie przebiegał w Central Parku sześć mil z nadzieją, że ktoś go napadnie, a on będzie mógł wykorzystać swoje umiejętności bokserskie.

Podobała mu się Gabriella i szanował ją za rezerwę w stosunku do elitarnych kręgów profesjonalistów. Niecierpliwie czekał na jej przyjazd. Jego myśli zdominowało prawdopodobieństwo istnienia tablicy Mojżesza.

Siedzieli obok projektora w ciemnej pracowni i wpatrywali się w ekran. Dobiegał ich dźwięk młota pneumatycznego odbijający się echem po labiryncie korytarzy, sieci podziemnych biur, odrestaurowanych pomieszczeń i magazynów.

Ettinger pykał w zamyśleniu fajeczkę i przyglądał się pierwszej części testamentu Itamara.

W dzień śmierci wielkiego proroka na ziemi Moaba przed górą Nebo głos Jahwe przykazał mi: „Itamarze, synu Aarona, wejdź do jaskini wieczności. Znajdziesz tam sługę mojego Mojżesza”. I udałem się pod górę Nebo, do tamtego miejsca, a wielki prorok powiedział mi: „W Meriba Kadesz nie powtórzyłem ludowi ostatnich słów Boga. Obawiałem się, że mogliby skierować je w złą stronę. Ten postępek uczynił mnie w oczach Jahwe niegodnym wkroczenia do Ziemi Obiecanej”. Tak Mojżesz przemówił do mnie, Itamara.

Doktor usiadł wygodniej i odezwał się do Gabrielli:

- Zgadzam się z Sabitinim. Zastosowanie zwrotu „kierować w złą stronę” jest dyskusyjne. Mojżesz użył go jeszcze raz w Księdze Powtórzonego Prawa - rozdział szesnasty, wers dziewiętnasty - zwracając się do sędziów: *Podarek zaślepią oczy mędrców i w złą stronę kieruje słowa sprawiedliwych.*

Gabriella szczerzej owinęła się zakietem. Było jej chłodno, czuła się niewyspana i zmęczona podróżą. Poprawiła włosy i przełknęła ślinę.

- Kamień Itamara musiał być mocnym argumentem, skoro Mojżesz nie zgodził się na sprowadzenie go do Ziemi Obiecanej.

Ettinger pokiwał głową.

- Jeśli Mojżesz zdobył się na coś takiego, to musiał przypuszczać, że słowo Boga może wywołać co najmniej jakiś kataklizm.

- Jest jeszcze jedna rzecz, która może zwiększyć wiarygodność słów Itamara - powiedziała Gabriella. - Według Starego Testamentu Mojżesz zawiódł zaufanie Jahwe, ale po wnikliwym przeczytaniu Księgi Powtórzonego Prawa dochodzi się do wniosku, że zrobił dokładnie to, co Bóg mu przykazał - uderzył laską w skałę dla sprowadzenia wody.

- Istnieją niezliczone teorie dotyczące kwestii tak surowego ukarania Mojżesza - odpowiedział Ettinger. - Od wieków ciekawi ona teologów. Z tych, o których ja słyszałem, wszystkie są dość mętne, ale te słowa wiele mogłyby wyjaśnić.

Gabriella nacisnęła przycisk projektora i ukazała się druga część testamentu Itamara.

Wielki prorok przykazał mi: „Weź tę tablicę, Itamarze. Na niej wryta jest droga do ostatnich słów Jahwe. Twym sekretnym zadaniem będzie umieścić tę tablicę w mieście kanaanejskim Megiddo, gdzie zalegnie na wieki.” I zaniósłem tablicę do Megiddo. I, jak przykazał Mojżesz, opuściłem Megiddo, a resztę dni spędziłem w starożytnym królestwie Ebla. I żaden człowiek nie podniósł na mnie ręki. A na tym kamieniu spisałem swój testament. Ktokolwiek nań natrafi, musi odczytać złote trójkąty i dowie się, w której komnacie w Megiddo leży tablica Mojżesza.

*Itamar, syn Aarona,
kapłan pokolenia Lewiego*

Ettinger podszedł do ekranu i popatrzył z bliska na ślad po trójkącie.

- Każdy bok tego trójkąta ma trzy cale?

- Tak.

- Sabitini uważa, że były trzy trójkąty?

Skinęła głową.

- Opiera się na pozostawionych śladach i informacjach, że trójka była niezwykle ważną liczbą dla Izraelitów.

- Diabelnie ciężko będzie wam bez tych trójkątów. Megiddo było silną kanaanejską warownią. Nie poddała się Izraelitom aż do wkroczenia Jozuego. Należy przetrząsnąć tony ziemi, przeszukać każdą kryptę, każdy zaułek. To może potrwać ze trzydzieści lat.

- Cóż... - Uśmiechnęła się. - Odszukanie grobowca króla Tutenchamona zajęło trzy tysiące lat. Dla archeologii trzydzieści lat to mgnienie oka.

- To prawda, ale ja muszę przekonać radę, żeby ci przyznano sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Nie mogę im powiedzieć, że to przedsięwzięcie na trzydzieści lat.

- To nie jest astronomiczna suma, a odkrycie jest na pewno o wiele więcej warte. - Gabriella wstała i wyjęła slajdy. - Tablica z zapisanym ostatnim słowem Boga jest bezcenna.

- Czy Sabitini wysunął jakieś przypuszczenie co do treści tych słów?

- Tylko takie, że jest to raczej przestroga lub przepowiednia niż przykazanie.

- Byłbym skłonny się zgodzić, ale to tylko spekulacje. A przy okazji, widziałas już to?

Podał jej kserokopię artykułu zamieszczonego w *New York Times* pod tytułem „Odkrycie ołtarza Mojżesza”, w którym informowano o odnalezieniu na zachodnim brzegu Jordanu wysokiego na dwadzieścia siedem stóp kamienia z napisem w biblijnym hebrajskim. Tekst składał się z trzech liter - MSM, określających biblijny skrót słowa Mojżesz. Izraelscy archeolodzy twierdzą, że ołtarz ten wybudowano na górze Ebal trzy tysiące dwieście lat temu.

- W porównaniu z odkryciem tekstu Itamara to dość śmieszne osiągnięcie - zauważył Ettinger.

Gabriella pokiwała głową i mimowolnie zadrżała.

- Co ci jest?

- To z zimna.

- Chodź, pójdziemy na herbatę.

*

Zjechali windą na dół, gdzie wznosiły się kamienne łuki i greckie kolumny. Szli marmurowym korytarzem mijając statuy asyryjskich królów, aż dotarli do jaskrawo oświetlonej kafejki.

Bez trudu znaleźli wolny stolik.

- Chcesz jakieś ciastko? - zapytał Ettinger.

- Nie, dziękuję. Tylko herbatę.

Gabriella przyglądała się usatysfakcjonowanym twarzom gości - doskonale ich rozumiała i podzielała ich entuzjazm. Uważała Metropolitan za najlepsze muzeum świata. Miała swoje ulubione ekspozycje, jak Pergamum we wschodnim Berlinie ze wspinałym ołtarzem Zeusa i kolekcję egipską w British Museum, ale nic nie przewyższało różnorodności i wielkości Metropolitan.

Wrócił Ettinger i postawił na stoliku tacę. Myślamy był przy kamieniu Itamara. Oddałby roczną pensję za możliwość udziału w wyprawie do Megiddo.

- Wyglądasz na strapionego - powiedziała Gabriella.

- Nie, tylko pograżam się w marzeniach. Żałuję, że już dawno nie byłem w terenie. Jak wspinały musiał być moment odkrycia królewskiej biblioteki w Ebla.

- Na szczęście udało mi się sfotografować setki tabliczek, zanim Syryjczycy zapieczętowali wykopaliska.

- Próbowaliśmy wyrzucić na nich presję, żeby ujawnili pozostałe. - Ettinger pokiwał głową.

- Nic się nie da zrobić. Gamasi dostosowuje interpretację do obecnej polityki Syrii.

- No, w gruncie rzeczy te tabliczki to silny argument na obecność Izraelitów w Ebla.

- Sabitini twierdzi, że tablica Mojżesza może to potwierdzić.

- Niewykluczone. Ale gdy będę się zwracał do rady o pieniądze, lepiej to przemilczę. Muzeum ma kontakty z całym światem. Nie chcę się mieszać w politykę.

- Jak myślisz, jakie są szanse na przyznanie dotacji? - zapytała.

- Kamień Itamara mówi sam za siebie, a możliwość istnienia zaginionego edyktu lub przykazania jest całkiem prawdopodobna. W 1835 roku Rawlinson odkrył w południowym Iraku sto trzydzieści przykazań zapisanych na skalnym urwisku. Zawierały legendarny dekalog, bardzo zbliżony w swej treści do tego, który znamy. Spisali je sumeryjscy kapłani w 3800 roku przed Chrystusem, a więc na ponad dwa tysiące lat zanim Mojżesz przyniósł je z góry Synaj. - Dolał sobie herbaty i mówił dalej. - To najnowsze odkrycie też nam trochę pomoże.

- W jaki sposób?

- Sprawia, że istnienie tablicy zapisanej przez Mojżesza staje się bardziej wiarygodne. To rzeczywiście byłby unikat, członkowie rady mogą się zainteresować. Jestem nastawiony dość optymistycznie. - Zawahał się. - Tym niemniej prośba o sto pięćdziesiąt tysięcy będzie wymagała sporo dyplomacji i siły perswazji.

- Rozumiem. - Uśmiechnęła się i ścisnęła mu dłoń. - Uda się albo nie. W każdym razie dziękuję za pomoc.

- Na razie nie dziękuj. Bądź dobrej myśli, bo bez tego trójkąta możesz się zestarzeć przy przekopywaniu krypt i izb Megiddo.

Ettingera wezwano przez głośnik.

- Przepraszam - powiedział i szybkim krokiem podszedł do wiszącego na ścianie telefonu.

Gabriella poczuła się nagle przygnębiona i zaczęła się zastanawiać, czy to wszystko ma sens. Pomijając skomplikowość zadania, istniało jeszcze fizyczne niebezpieczeństwo. Przypomniała sobie, jak Sabitini ostrzegał ją na lotnisku w Rzymie: „Inspektor Anjulo jest pewien, że śmierć Claudona ma bezpośredni związek z Pyramid International i Ebla. Może grozić ci niebezpieczeństwo”. Odparła, że Hamilton jest przeciwnego zdania, ale Sabitini upierał się przy swoim i przy pożegnalnym pocałunku szepnął: „Uważaj na siebie. Przy najmniejszym podejrzeniu, że ktoś cię śledzi, natychmiast dzwoń na policję.”

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

John Nolan wypił kilka łyków mleka, poklepał się po brzuchu i powiedział:

- Chcesz, żebym zgodził się na podróż do Nowego Jorku i Londynu z powodu jakiegoś cholernego eksponatu muzealnego?

- To nie jest taki zwykły eksponat - odparł Jack. - Ten trójkąt może przyczynić się do odnalezienia tablicy Mojżesza. Kolekcjonerzy zabijali się o mniej wartościowe rzeczy.

- Myślisz, że za tym stoi jakiś prywatny kolekcjoner?

- Możliwe. Ale równie dobrze mogło być w to zamieszane CIA i KGB, nie mówiąc już o Syryjczykach.

- Mogę podać ci zupełnie inną hipotezę. - Nolan odgryzł koniuszek cygara.

- No, proszę.

- Dobra. Laura trafiła na meneli, zwykłych ulicznych złodziejasków. Sorenson i Emory zamieszani byli w tajne projekty rządowe, sprzątnęła ich CIA albo KGB. A Claudon zmaltretował prostytutkę i zabił się sam.

- Za tym kryje się coś więcej, John.

- Być może, ale w hipotezie z Syryjczykami też są pewne nieścisłości - powiedział Nolan. - Jeśli eliminują wszystkich z Pyramid, dlaczego żyje jeszcze Bercovici?

- Z pewnością też jest na liście, ale przypuszczam, że zaczęli od członków.

- Nie mieli do tego powodów. Ci ludzie bezpośrednio finansowali wykopaliska. Na pewno byli w Syrii mile widziani.

- Rozumujesz jak Amerykanin, a logika Zachodu zupełnie nie przystaje do mentalności Syryjczyków. Wierz mi, John, zabiją każdego, kto podważa ich islamskie pochodzenie.

- No cóż... - Nolan zapalił cygaro i mówił zza chmury dymu. - Ty pracujesz dla agencji z tej części świata. Muszę ci to przypomnieć. Wiesz coś o tej Bercovici?

- Według raportu Anjulo jest zapalonym naukowcem. Aż do przesady. W swej dziedzinie jest uznanym autorytetem. Pracuje na Uniwersytecie Rzymskim, od dziesięciu lat zajmuje się językami bliskowschodnimi.

- A życie osobiste?

- Stan wolny. Mieszka sama. Matka nie żyje. Ojciec jest wiolonczelistą w La Scali.

- I teraz przebywa w Nowym Jorku?

Jack skinął głową.

- John, to się świetnie składa. Mogę ją przesłuchać, a potem jechać do Londynu. Ze wszystkich członków Pyramid żyje tylko Hamilton. Może być zarówno podejrzanym, jak i ofiarą.

- Dlaczego podejrzanym?

- Mógł prowadzić z Syryjczykami interesy.

- Jakie interesy?

- On zabiera tablicę Mojżesza i obiecuje Syryjczykom zachować w tajemnicy wszystko, co może świadczyć o ich izraelickim pochodzeniu.

- Po co Syryjczykom do tego potrzebny Hamilton?

- On ma wstęp do Izraela, do Megiddo. Oni nie.

- Dobrze zabezpieczyłeś ten trójkąt?

- Wysłałem fotografię Ettingerowi do Nowego Jorku. Dwie odbitki schowałem w sejfie. Jedną ma sekretarka, jedną profesor Setlowe, jedną Rizzo i ja dwie. Oryginał mam w teczce.

Nolan otworzył szufladę i podał Jackowi pismo.

- Co to jest?

- Dane o Hamiltonie. Od inspektora Iana Hillera ze Scotland Yardu.

Jack popatrzył na zszarzałą kopię.

Lord Anthony Hamilton: urodzony dziewiętnastego października 1912 roku. Syn Williama Georga Hamiltona, potomka Hrabiego Spencera. Ukończył historię sztuki na Uniwersytecie Oksfordzkim. Jako oficer wywiadu służył w Ósmej Armii w Afryce. Odznaczony za odwagę Krzyżem Zwycięstwa i Orderem Za Ofiarną Służbę. Mieszka w rodzinnej posiadłości w Melton Mowbray w Leicestershire. W 1960 roku zwyciężył w wyborach do parlamentu i działał w nim przez piętnaście lat. W 1962 roku Królowa Elżbieta II mianowała go wicehrabią. W 1975 roku opuścił parlament. Żyje samotnie w swej posiadłości, ale podejmuje działania mające na celu organizację wypraw archeologicznych. Jest dyrektorem honorowym British Museum.

- Robi wrażenie - skomentował Jack.

- Inspektor Hiller zaproponował mu ochronę, ale odmówił.

- Dlaczego?

- Będziesz miał okazję zapytać osobiście - jeśli dożyje. - Nolan westchnął, podejmując ważną decyzję. - Zrób wykaz kosztów dla Fitzsimmonsa, a śledztwo przekaz Rizzo.

- Dzięki, John.

- Daruj sobie - odpowiedział Nolan i wstał. - Będę z tobą szczerzy. To samodzielna decyzja. Mogę powiedzieć Harissowi, że to afera międzynarodowa i wtedy mamy niewielkie szanse na dalsze prowadzenie śledztwa. Mogę też podrzucić mu trochę informacji, żeby mógł przeprowadzić konferencję prasową. - Nolan starał się uśmiechnąć. - KGB, CIA, Syryjczycy i tablica Mojżesza powinny się, do diabła, nadawać do gazet. Niezła gratka dla dziennikarzy. Potrzyjmy wszystkich w napięciu jeszcze kilka tygodni.

- Wiesz co, John, na wykładach ze sztuki biurokracji zarobiłbyś kupę forsy.

- Gadaj zdrów. Zawsze robię co mogę, żeby zgrać naszą sekcję. Teraz też wierzę, że nie strugas z mnie durnia. Nie bierz ze sobą broni. W Nowym Jorku nie masz pozwolenia. Musisz działać zgodnie z prawem.

- Przecież mnie znasz, John.

Nolan przeszedł na drugą stronę biurka i wycelował cygarem w Jacka.

- Jak cholera. Masz trzymać swój temperamencik na wodzy. Żadnych burd na autostradzie. Żadnych napaści jak z Pancho Villa. Tu masz mieszankę wybuchową: CIA, może KGB, Syryjczycy i banda zwariowanych kolekcjonerów. Dostaniesz w łeb i nie będziesz nawet wiedział, z której strony.

Zadzwoił telefon i Nolan podniósł słuchawkę.

- Tak? - Skinął na Jacka. - Harry Arnold do ciebie.

- Notariusz Sorensona - wyjaśnił Jack i podszedł do biurka.

- Cześć, Harry. - Słuchał chwilę, a potem zapytał: - Jesteś pewien tej pozycji? Dobra, bardzo ci dziękuję.

Odłożył słuchawkę i zwrócił się do Nolana:

- Arnold znalazł coś na koncie firmowym Sorensona. Doktor zapłacił Pierrowi Claudonowi ćwierć miliona dolarów za złoty trójkąt. Pieniądze przeszły na paryskie konto Claudona trzy miesiące temu.

- Co z tego wynika?

- Trzy rzeczy: raz - Sorenson miał trójkąt przed śmiercią Laury, dwa - Claudon wiedział, że Sorenson go ma, i trzy - obydwaj nie żyją.

Nolan pokiwał w zamyśleniu głową.

- Pieprzone tajemnice - bąknął. - A tak przy okazji, miałem wieści od tego Piersalla - tego kolesia z CIA. Agencja uważa, że masz coś, co do nich należy.

- Co mianowicie?
- Notes z zapiskami z „Rosemark”. Piersall mówi, że zawartość stanowi tajemnicę państwową.
- Nie wiem, o czym mowa.
- To samo mu powiedziałem. Że Jack Raines to człowiek honorowy. Prawdziwy patriota.
- Szczera prawda. Jestem oddany każdemu państwu, które chroni swoje wieloryby.
- Nie przeciągnij struny, Jack. Ci faceci ostro grają.
- Wiem. Kiedyś grałem razem z nimi.
- To co ty wyczyniasz?
- Póki myślą, że mam notes, nic mi nie zrobią.
- Taka polisa ubezpieczeniowa?
- Daj spokój.
- Dobrze... tylko pamiętaj, że jak ci się coś stanie, Jenny zostanie sama. - Uścisnęli sobie ręce, a Nolan dodał: - Jak się w coś wpakujesz, zaraz do mnie dzwoń. Aha, i jak wrócisz bez żadnych konkretów, zamykam śledztwo.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

- Dwie kulki orzechowych - powiedziała Jenny.

- A dla pana?

- Czekoladowe - odpowiedział Jack.

- W waflu czy w kubku? - zapytał chłopak za ladą.

- W waflu.

Jack był na kolacji u państwa Rizzo, a potem zaproponował Jenny lody. Córki Rizzo chciały iść z nimi, ale Vince wygonił je do ich pokoju. Wiedział, że Jack chce spędzić z Jenny trochę czasu sam na sam.

Wyszli z budki z lodami i spacerowali pod neonami reklamującymi pizzerie, bary, sklepy z kasetami pornograficznymi i wynajmowane na godziny motele.

- Fajna ulica - zauważyła Jenny.

- Daleko jej do Bel Air.

- Tak naprawdę tu wcale nie jest jak w Kalifornii. Bardziej przypomina mi ze zdjęcia Oklahomę.

- Jak byłem mały, cała ta okolica była jednym wielkim gajem pomarańczowym. Zapach kwiatów czuć było już od wjazdu z kanionu Coldwater.

- Musiało być cudownie - powiedziała - aż trudno to sobie wyobrazić.

- Tu było jak w Rajskim Ogrodzie. No, ale zanim nastały bary szybkiej obsługi, szybka muzyka i szybki seks.

- U nas w klasie chłopcy mają zdjęcia z gołymi paniami.

- Oglądałaś?

Spojrzała na niego, przyłożyła palec do ust i uśmiechnęła się tajemniczo.

- Chyba nie muszę odpowiadać.

- To tylko niewinne pytanie.

- Tato, mam już czternaście lat.

- No to należysz już prawie do seniorów.

- Dlaczego dziewczyny pozują do takich zdjęć?

- Dla pieniędzy.

- A może to lubią.

- A może zmienimy temat? - Uśmiechnął się.
- Przyjdzie dzień, że będziemy musieli o tym porozmawiać.
- O czym?
- O seksie.
- Jasne. Może się czegoś nauczę.
- Oj tato, nie żartuj.
- No dobrze.
- Obiecujesz?
- Słowo harcerza.

Wzięła go za rękę i przypomniał sobie, że jak była mała, brała go za jeden palec i szli na ciastka z czekoladą do kawiarenki „Pupi”. Teraz wydawało mu się, jakby miał już inne życie.

Doszli do rogu i skręcili w stronę oświetlonego parku. Kilku nastolatków biegło za piłką, starsi panowie grali w szachy.

Jenny zaciągnęła go na huśtawkę. Usiedli na krzeselkach i, lekko się kołysząc, zjadali lody.

- Tato...
 - Słucham.
 - Pójdziemy w niedzielę na mecz hokeja w Santa Monica?
- Westchnął i skończył loda.
- Pójdziemy? - nalegała.
 - Chyba nie.
 - Dlaczego?
 - Chodź, przejdziemy się.
- Spacerowali parkową aleją.
- Muszę na jakiś czas wyjechać - powiedział.
 - Na długo? - Popatrzyła na niego.
 - Na kilka tygodni.
 - Ile to jest kilka?
 - Jakieś trzy, cztery.
 - To cały miesiąc.
 - Może trochę krócej.
 - Po co jedziesz?
 - Ten wyjazd jest związany ze śledztwem.

- W sprawie śmierci mamy?
 - Tak.
 - Ale po co? - Zatrzymała się i odwróciła do niego. - Nie rozumiem.
 - Bo ktokolwiek mamę zamordował, musi zostać złapany i ukarany.
 - Mamie to i tak nic nie pomoże.
 - Wiem. - Objął ją ramieniem. - I wiem, że trudno ci to pojąć, ale nic na to nie poradzę, Jenny. Ja po prostu muszę, nie dla mamy, a dla siebie.
 - Dokąd wyjeżdżasz?
 - Najpierw do Nowego Jorku, a później do Europy.
- Na chodnik wleciała piłka, Jenny wyrwała się i kopnęła ją do chłopców.
- Niezły refleks.
 - Muszę mieć nowe trampki.
 - Dobra. Powiem Angeli.
 - Ona jest dla mnie bardzo, bardzo miła. Ale chyba nigdy w życiu nie jadłam tyle spaghetti.
 - Dobrze ci to zrobi.
 - Kiedy wyjeżdżasz?
 - Jutro.
 - Nie jedź, tato.
- Położył jej dłonie na ramionach.
- Będę dzwonił, kiedy tylko się da. A ty będziesz wiedziała, gdzie jestem, co robię i kiedy wracam. Okay?
- Pokiwała głową i w milczeniu ruszyli w stronę wyjścia, potem skierowali się do domu Rizzo.
- Wiesz co? - powiedział.
 - Co?
 - Jak wrócę, zaczniemy rozglądać się za domem.
 - Dla nas dwojga?
 - A kogo nam jeszcze trzeba?
 - No, możesz sobie kogoś znaleźć.
 - Chyba tak, ale dom będzie nasz.
 - Będę mogła pomagać w urządzaniu?
 - To zależy, czy wykażesz się dobrym gustem.
 - Za niewielkie pieniądze można kupić naprawdę ładne rzeczy. Angela zabrała nas po

nowe dzinsy do sklepu Roebucka i oglądałyśmy stoisko z meblami i były... - Nagle jej głos zaczął się łamać i wybuchnęła płaczem. - Nie jedź, tato... Nie jedź - szlochała.

Przytulił ją do siebie.

- Bądź grzeczna - szepnął jej do ucha. - Wróć zanim się zorientujesz. - Pocałował ją w policzek. - Właściwie to już możesz zacząć wybierać meble.

- Tato, proszę...

- Muszę, serduszko, muszę...

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Pogańskie bożki stały niczym milczący strażnicy, pilnujący pracowni Ettingera. Gabriella całą uwagę skupiła na inskrypcji pokrywającej złoty trójkąt. Długie włosy opadały jej na ramiona, a zapach perfum łagodził wilgotne powietrze.

Jack przyglądał się, jak podekscytowana przekłada pismo klinowe na biblijny hebrajski, a potem słowa hebrajskie na angielskie zdania. Od czasu do czasu, z taką samą zręcznością jak niewidomi czytający Braillem, przebiegała palcami po powierzchni trójkąta.

Ettinger poznał ich ze sobą rano podczas przechadzki po muzeum. Jack, chcąc się otrzeźwić po podróży, poszedł po śniadaniu na długi spacer do Central Parku, a powróciwszy do pracowni powiedział Gabrielli, żeby na niego nie zwracała uwagi. Podziękowała mu za zrozumienie i natychmiast skupiła się na trójkącie.

Działała na niego niemal kojąco - cudowna figura i blond włosy jakby z innej epoki. Czuł się wciągany w jej świat upadłych cywilizacji i legendarnych skarbów. Myślał, że umiejętność rozszyfrowywania eblańskiego pisma zakrawa na cud. Zastanawiał się też, co ona musi teraz przeżywać.

Gabrielli zdawało się, że od trójkąta bije jakaś tajemnicza siła. Że po błyszczącej powierzchni błąka się duch Itamara. Gdy słowa zaczynały układać się w logiczną całość, z trudem tłumila podekscytowanie. Początkowy tekst skierowany do bogini Isztar przyprawił ją o dreszczyk emocji. Nie tylko zawęził pole poszukiwań, ale niemal wskazywał miejsce.

- Prawie gotowe. - Uśmiechnęła się i wykreśliła kilka hebrajskich liter, a później porównała je z pismem klinowym. Zawahała się. Skoncentrowała. Skreśliła. Przepisała. Poprawiła.

Przez następne dwadzieścia minut wykonywała te same czynności, aż wreszcie wyłączyła lampkę i pokręciła głową dla rozluźnienia karku.

- Nie masz pojęcia jaka to różnica pracować z oryginałem.

- Oryginał czy nie - Jack się uśmiechnął - trudno uwierzyć, że za tymi bazgrołami kryją się jakieś zdania.

- To tylko z pozoru wydaje się skomplikowane. Jak się zna klucz, pozostaje tylko sprawa czasu i cierpliwości.

Otworzyły się drzwi i do pracowni wszedł doktor Ettinger.

- No proszę - powiedział z radością - widzę, że wy jeszcze rozmawiacie.

- W sumie nie mieliśmy na to za wiele czasu - powiedział Jack.

- Był bardzo cierpliwy - pochwaliła go Gabriella. - Właściwie skończyłam już parę godzin temu, ale musiałam jeszcze sprawdzić. Wszystko jest dosyć jasne.

Wróciła do biurka, usiadła i zaczęła porządkować notatki. W pracowni panowała cisza zakłócana jedynie szelestem papieru.

Po chwili odchrząknęła i spokojnym głosem zaczęła czytać tłumaczenie:

Isztar, pani wojny. Królowo radości. Strach siejąca kobro. Bogini stróżująca świątynię. Podążam za twoimi oczami. Sześć łokci pod ołtarzem. Przy wschodniej ścianie jest wejście do grobowca Reszeffa i to jest droga... Tu się urywa - dodała. - A na drugim trójkącie jest zapewne ciąg dalszy. Gdybyśmy go mieli...

- Wszystko w rękach losu. Musimy mieć nadzieję - powiedział Ettinger. - Powołanie się na Isztar wskazuje dość dokładnie czas.

- To dziwne - myślała głośno Gabriella. - Jasnowidz w Jerozolimie mówił, że Isztar nadal przebywa w Megiddo i ciągle posiada ogromną siłę.

- Przepraszam, ale kto to jest Isztar? - zapytał Jack.

- Bogini Kanaanejczyków - wyjaśniła. - Kobieta-wąż. Siostra niezbyt miłego bożka zła zwanego Pazuzu.

- Widziałem jego statuetki. U Sorensona i Emory. Laura mówiła, że odkąd mają Pazuzu, wielu ich przyjaciółom przytrafiły się nieszczęścia. Nad nimi też już wisiała tragedia.

- Nad kim?

- Nad Sorensonami.

- No dobrze, nie ma co zajmować się legendami i mitami - odezwał się Ettinger. - Faktem jest, że mamy trójkąt Itamara. I dług wobec pana, poruczniku.

- Każdy kij ma dwa końce, doktorze. Mam w tym wszystkim osobisty interes.

- W takim razie - Ettinger uśmiechnął się - będę wdzięczny, jeśli pożyczysz mi pan trójkąt na dziś wieczór. Jego fizyczna obecność podziała na ewentualnych sponsorów bardziej przekonująco niż jakiegokolwiek słowa.

- Proszę bardzo - odparł Jack. - A przy okazji, jaka może być jego wartość?

- U kolekcjonerów?

- Tak.

- To zależy, czy kupujący doceni znaczenie napisu.

- I jak się wtedy kształtuje?

- Jeśli przyjmując, że to tylko eksponat z mniej więcej 1260 roku przed Chrystusem,

przypuszczam, że ze sto tysięcy dolarów. Ale dla kogoś, kto wie, że ten przedmiot może wskazać drogę do tablicy Mojżesza, nie ma ceny. - Ettinger rozłożył ręce. - Czemu pan pyta?

- Bo Sorenson zapłacił ćwierć miliona.

- Jeśli zdawał sobie sprawę z realnej wartości, zrobił dobry interes. Ale jeśli go nabył jako zwykły eksponat - przepłacił. W każdym razie, nieźle pan by się wzbogacił na sprzedaży.

- Jest tylko jeden szkopuł. Trójkąt należy do spadkobierców Sorensona.

- No tak - rzekł Ettinger i spojrzał na Gabriellę. - O której jutro lecisz do Londynu?

- Zarezerwowaliśmy miejsca na piętnastą.

- Jacy my?

- Leci ze mną porucznik Raines.

- Chcę się spotkać z Lordem Hamiltonem - wyjaśnił Jack.

- Rozumiem - Ettinger skinął głową. - Ja muszę się zbierać i pędzę na spotkanie w sprawie pieniędzy na wyprawę. Może poszlibyście razem na kolację? Na koszt muzeum.

- A nie lepiej, żeby Gabriella poszła z panem?

- Już się widziała z członkami komisji. Urządziłem w domu przyjęcie na jej cześć.

Były wszystkie ważne osobistości. Przyszła w dżinsach i bluzeczce, usiadła przy pianinie i zagrała ostrego bluesa.

- Wcale nie, nie kłam.

Ettinger pocałował ją w policzek.

- Za dużo w tobie włoskiego temperamentu, jak na takie spotkanie. A teraz idźcie, odpocznijcie, może się czegoś napijecie. Jak tylko będę znał odpowiedź, zadzwonię do hotelu.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Spacerowali wzdłuż popękanego muru odgradzającego zadrzewioną część Fifth Avenue. Był koniec października, ale na wschodnim wybrzeżu królowało babie lato, a wieczór okazał się ciepły i parny. Z parkowych drzew jesienny wiatr strącał ostatnie liście. Ustawione wzdłuż alejek lampy przypominały długi naszyjnik z bursztynów.

Na Fifth Avenue warczały autobusy, wyły klaksony, odległe syreny mieszały się z dobiegającą z biednej dzielnicy muzyką rockową.

Jack i Gabriella gawędzili na obojętne tematy, ale każde z nich zachowywało pewien dystans. Stwierdził, że teraz wygląda młodziej niż w muzeum. Ciepły wieczór, tłum, ruch uliczny i dobiegający z parku ostry zapach afrykańskich zwierząt zdawały się dodawać jej uroku. Promieniała radością. Miała odpięty płaszcz, rozwiane wieczornym wiatrem włosy i pełne ekscytacji niebieskie oczy.

- Znam fajną włoską restaurację. Na Lexington, niedaleko - powiedział Jack.

- Musi być włoska? - Uśmiechnęła się. - Mam już po uszy spaghetti.

- Jak sobie życzysz. Wymień tylko nazwę.

- „Zielony Smok”. Byłam tam z Ettingerem i jego żoną. Jedzenie całkiem niezłe. Chyba, że nie lubisz chińskiej kuchni.

- Co? Ja nie lubię chińskiej kuchni? - Położył jej dłoń na ramieniu. - Kiedyś leżałem w stanie krytycznym w szpitalu i przyszedł do mnie ksiądz z ostatnią posługą. A ja mówię: „Jaka tam spowiedź, ojcze, dajcie mi wieprzowiny mushu.” - Roześmiała się, a on zapytał: - Gdzie ten „Zielony Smok”?

- Na Third Avenue.

Przeszli na drugą stronę ulicy i ruszyli w tamtym kierunku.

- Zdaje się, że mamy wspólnego znajomego, generała Barzani - powiedziała Gabriella.

- Faktycznie, jak na to wpadliście?

- Dzisiaj rano z nim rozmawiałam i wspomniałam twoje nazwisko.

- Kiedyś byliśmy bliskimi przyjaciółmi.

- Barzani bierze udział w ekspedycji w Megiddo.

- Wcale mnie to nie dziwi. Ma u siebie w domu więcej eksponatów niż muzeum w Jerozolimie.

- Kiedy ostatnio rozmawialiście?

- Wiele lat temu.

- Teraz bardzo się zmienił. - Wahala się przez moment. - Jego... To znaczy Barzaniego żona i dwoje dzieci zginęły w terrorystycznym zamachu na autobus.

Jack stanął jak wryty, niemal wpadając pod taksówkę. Kierowca zaklął siarczyście.

- Boże drogi... Nie miałem pojęcia. Mało pamiętam dzieci, ale znałem jego żonę. Narda to straszna baba. Poznali się w wojsku. - Ruszyli dalej. - Miała blond włosy i niebieskie oczy, tak jak ty. Była ostra, niczego się nie bała, ale miała też poczucie humoru. Jaka szkoda.

- Nie wyobrażam sobie, jak można przeżyć taką tragedię - powiedziała smutno.

- Mogę go w pewnym stopniu zrozumieć. Laura Sorenson była kiedyś moja żoną.

*

W „Zielonym Smoku” ściany dużej sali w kształcie litery L zdobiły chińskie zimowe pejzaże. Na każdym stoliku płonęły świece, a pod kolorowym sufitem wisiał zielony smok.

Siedzieli w ciemnym rogu niedaleko hebanowego baru. Gabriella badawczo przyglądała się twarzy Jacka, jak gdyby był jednym z eksponatów. Zauważyła, że zmęczone brązowe oczy, wykrzywiony nos i ładnie wykrojone wargi tworzą ze sobą przyjemną całość.

Gdy podano drinki, wzniesli toast.

- Na zdrowie.

- Na zdrowie.

Zapaliła papierosa i usiadła wygodniej.

- Opowiedz, jak znalazłeś trójkąt.

- To długa historia.

- Mamy czas.

- Ale pod jednym warunkiem. Ty też mi wszystko opowiesz, zaczynając od Ebla.

- Zgoda.

*

Niebo zrobiło się czarne, zapadła noc. Po Third Avenue kręciło się wielu uprawiających biegi, zakochanych, spacerowiczów z psami i miłośników wystaw sklepowych. Nikt nie zwracał uwagi na błękitnego linkolna zaparkowanego w niedozwolonym miejscu naprzeciw „Zielonego Smoka”.

Chudy kierowca o bladej twarzy nerwowo palił jednego papierosa za drugim. Miał palce żółte od nikotyny. Siedzący obok rumiany grubas podniósł mikrofon radia CB.

- Linkoln wzywa Havanę. Odbiór.

Po chwili z głośnika dobiegł głos z obcym akcentem.

- Tu Havana. Odbiór.

- Mamy ich. Są w „Zielonym Smoku”. Odbiór.

Kubańczyk siedział w samochodzie zaparkowanym przy Fifth Avenue.

- Jestem na stanowisku. Odbiór.

- Zostań tam. Wrócimy po ciebie, jak wyjdą. Odbiór.

- Havana przyjęła. Bez odbioru.

Kubański morderca zapalił papierosa i wyjął ze schowka zdjęcie Jacka Rainesa.

W innej części miasta kierowca linkolna napił się brandy i zwrócił do współnika:

- Rozumiem, że ty kierujesz tą operacją, Charlie, ale nie wierzę temu cholernemu Kubańczykowi.

- Nie martw się - powiedział uspokajająco Charlie. - Mendoza ma świetne referencje.

*

Z chińskiego menu zniknęły ostre potrawy, a także większa część zawartości dwu butelek wina.

Jack opowiadał o pamiętnej niedzieli u Laury, o śmierci Sorensona i Emory, o możliwym udziale KGB i CIA, o powiązaniach obu doktorów z supertajną agencją SOD. Nie pomijał niczego, wyjawiał szczegóły badań „Rosemark”, wspominał o zaszczepianiu zmian w mózgu nie narodzonych szczurów.

Szczególnie ten temat zainteresował Gabriellę. Zastanawiała się, czy niewłaściwe posługiwanie się nauką doprowadzi człowieka do upadku.

Zapaliła papierosa i przełknęła ślinę, a potem bez emocji zrelacjonowała wydarzenia dotyczące wykopalisk w Ebla. Wspomniała o przypuszczeniach Sabitiniego - że tablica Mojżesza może potwierdzić izraelskie pochodzenie Syryjczyków i prawdopodobnie przynależność obecnych terenów Syrii do historycznego Izraela. Zakończyła szczegółową relacją z rozmowy z Hamiltonem.

Jack dolał wina do kieliszków.

- Jaki jest Hamilton? - zapytał.

- Zawsze miły, uprzejmy, ale... - wzruszyła ramionami.

- Ale co?

- Kiedy trzyma w ręku dzieło sztuki, dzieje się z nim coś dziwnego. Dosłownie zmienia mu się twarz. Jakby budziły się w nim jakieś złe siły.

- Czy to nie nazywa się czasem szaleńcza żądza posiadania? Dotyka wszystkich kolekcjonerów.

- Chyba tak... W pewnym stopniu.

- Zdaje się, że zauważyłem coś takiego u Ettingera, gdy dawałem mu trójkąt.

- No, ten trójkąt robi wrażenie.

- Pomógł wam?

- Tak. Zawęził poszukiwania w Megiddo. Teraz możemy skupić wysiłki na świątyni Isztar. Oczywiście wszystko wyjaśniłyby dwa brakujące trójkąty.

- A jak się nigdy nie znajdują?

- Zrobimy co się da. Będziemy szukać, kopać, drążyć. To może potrwać dziesiątki lat.

Kelnerka podała rachunek i zniknęła.

- A co możesz powiedzieć o doktorze Gamasi? - zapytał Jack.

Wzruszyła ramionami i zgasiła papierosa na dnie szklanej popielniczki.

- Kiedyś żyliśmy w przyjaźni, ale gdy wyszły na jaw związki Syrii ze starożytnym Izraelem, Gamasi stał się oschły i oficjalny. Nieźle się musiał złościć, gdy tabliczki z Ebla trafiły na Zachód.

- A jak wydostały się z Syrii?

- Sprzedał je jakiś syryjski ważniak.

- Gamasi?

- Możliwe. Ale nie wygląda na faceta, który okradłby swój rząd z eksponatów muzealnych.

- Ile ktoś taki jak on może zarabiać?

- Jak na warunki zachodnie, niewiele.

- Syryjskie prawo jest bardzo surowe jeśli chodzi o wyprzedaż skarbu narodowego - powiedział ze znanstwem Jack. - Za kradzież dóbr kultury można żądać publicznego powieszenia na rynku Martyrs w Damaszku.

- Skąd znasz syryjski kodeks kamy?

- Gdy byłem w CIA, stacjonowałem w Tel Awiwie. Dyskutowaliśmy z izraelskim wywiadem na temat Syrii. Wtedy poznałem Zvi Barzani.

*

Po wyjściu z restauracji poczuli na twarzach powiew ciepłego październikowego wiatru. Po drugiej stronie ulicy mężczyzna w linkolnie trzymał wycelowany w wejście do „Zielonego Smoka” precyzyjny karabin z tłumikiem.

- Też czujesz wino w głowie? - zapytała Gabriella.

- Chyba tak. - Jack się uśmiechnął. - Może przejdziemy się pieszo do hotelu?

- Świetna myśl. To mi dobrze zrobi. Czuję się, jakby mi przybyły ze trzy kilogramy.

*

Siedzący w linkolnie rumiany mężczyzna mówił do mikrofonu CB radia.

- Tu Linkoln. Wzywam Havanę.
- Tu Havana, słyszę cię.
- Idą w stronę Plaza. Tam się spotkamy. Odbiór.
- Zrozumiałem. Bez odbioru.

*

Minęli wystawę ozdobioną wydrążoną dynią z wyciętymi dziurami i ubraną na czarno wiedźmą lecącą na miotle w stronę księżycy. Dekoracje na święto Halloween nie harmonizowały z ciepłym babim latem. Jack przypomniał sobie zabawy z Jenny sprzed paru laty.

- Jack? - odezwała się cicho Gabriella.
- Tak?
- Co zrobisz, gdy okaże się, że za te morderstwa odpowiadają Syryjczycy?
- O co ci chodzi?
- Nie możesz się zemścić na całym narodzie.

- Hm, mam nadzieję, że znajdę konkretną osobę, która rozkazała zabić Laurę. A jeśli okaże się, że to Syryjczycy, i jeśli ty odkryjesz tablicę Mojżesza, i jeśli na niej będzie dowód ich izraelskiego pochodzenia, to z pełną premedytacją podam tę nowinę do publicznej wiadomości. Potraktuję to jako mały rewanż. W krajach arabskich liczy się przede wszystkim honor. - Zawahał się, ale zaraz mówił dalej pewnym, twardym głosem. - Nie przywrócę Laurze życia, ale sprawię, że Syryjczycy ją popamiętają.

Przeszli przez Madison i mijając małe, drogie butiki kierowali się na południe.

- Kiedy się rozwiedliście?
- Sześć lat temu.
- Dawno.
- Tak, faktycznie.
- A jednak czujesz się odpowiedzialny za jej śmierć.
- W ogóle czuję dużo rzeczy.

W jego brązowych oczach pojawił się niebezpieczny błysk; zrozumiała, że pod spokojnym obliczem kryje się demon. Jack był ogarnięty żądzą zemsty.

*

Na jednym z rogów mężczyzna w sportowym dresie ustawiał przy wystawie sklepowej motorower i patrzył na północ. Widział, jak z czarnego samochodu wysiada

Kubańczyk i wsiada do zaparkowanego obok linkolna. Wiedział, że linkoln stanowi obstawę, a Kubańczyk ma dokonać morderstwa.

*

Linkoln stanął dokładnie za fontanną. Gdy Jack i Gabriella przechodzili przez skrzyżowanie, chudy mężczyzna miał ich na muszce.

Gabriella zatrzymała się, aby przyjrzeć się stojącym na Plaża dorożkom zaprzężonym w konie. Popatrzyła na woźnicę w smokingu i cylindrze.

- Idealny wieczór na przejażdżkę, proszę pani - odezwał się woźnica.

Odwróciła się do Jacka.

- Widziałam te dorożki na filmach i zawsze chciałam przejechać się po parku.

- No to w drogę.

- Teraz?

- A czemu nie? - Uśmiechnął się. - Ile kosztuje najładniejszy kurs? - zwrócił się do woźnicy.

- Objazdowy, panoramiczny - trzydzieści pięć dolarów.

- Dobrze.

Weszli do środka i rozsiedli się na skórzanym siedzeniu. Woźnica cmoknął na deresza i ruszyli, kierując się na zachód w stronę wjazdu do parku od Sixth Avenue.

*

- Tam dalej jest rozwidlenie. - Grubas z linkolna zwrócił się do Kubańczyka. - Będą wjeżdżać na wzgórze. Staniesz w tym ciemnym miejscu za zakrętem. Cały czas będziemy w kontakcie. Jak strzelisz, zjeżdż, a my będziemy czekać.

Kierowca zapalił silnik i minęli dorożkę. Zawodowi mordercy nie zauważyli za sobą małego światła motoroweru.

*

Gabrielli kręciło się od wina w głowie, a łagodne światła latami i rytmiczny stukot kopyt nastrojały ją romantycznie.

Usłyszeli dobiegające z pasażu dźwięki koncertu jazzowego. Niesione na wietrze solo trąbki brzmiało zachwycająco. Na dorożkę zjeżdżającą do La Guardia spadały z drzew ostatnie liście.

- Cudownie - szepnęła Gabriella.

- Jak w filmie. - Jack uśmiechnął się.

*

Linkoln zaparkował przy wjeździe do parku. Kierowca wysiadł, podniósł maskę i

zajrzał do środka, jakby coś reperując. Jego współnik wyszedł na chodnik, odwrócił się tyłem do ulicy i mówił do krótkofalówki:

- Tu Linkoln. Havana zgłoś się.
- Tu Havana, słyszę cię. Odbiór.
- Zaraz powinni tu być.
- Jestem gotów.
- Pamiętaj, że chodzi o dziewczynę. Raines tylko na dokładkę.
- Spokojnie, *amigo*.

Kubańczyk schował krótkofalówkę i położył się w wysokich krzakach. Sprawdził karabin M-16 - odbezpieczony, baterie noktowizora - na miejscu, odległość - dwieście metrów. Wycelował w rozwidlenie, gdzie za kilka sekund miała pojawić się dorożka. Włączył noktowizor i ujrzał drogę skąpaną w zielonym świetle.

Odłożył karabin i rozmasował palce prawej dłoni. Zrobił kilka głębokich oddechów i popatrzył na okalające park drapacze chmur.

Ich światła przypominały mu tysiące bezmyślnych oczu wpatrzonych w park.

Otarł pot z czoła i podniósł M-16. Jeszcze raz wszystko sprawdził i wycelował w rozwidlenie. W celowniku pojawiło się kilka skręcających samochodów.

Gdy Kubańczyk dostrzegł zbliżającą się latarenkę dorożki, serce zaczęło mu szybciej pracować.

Miał broń gotową do strzału.

W celowniku pojawiło się oko dziewczyny.

Położył palec na spuście. Pociągając delikatnie, odmierzał nacisk z wystudiowaną perfekcją wyborowego Strzelca, który dokładnie wie, od którego momentu nie ma już powrotu.

*

Mężczyzna w sportowym dresie wbił bagnet prosto w szyję Kubańczyka i wcisnął mu kolano w plecy, mocno pociągnął do siebie ostrze. Usłyszał charkot i odcięta głowa potoczyła się o kilka stóp od ciała. Usta jeszcze się ruszały, a w wybałuszonych oczach tliła się skra świadomości. Mężczyzna wytarł bagnet o plecy Kubańczyka i szybko wyszedł z krzaków, kierując się do swojego motoroweru. Spod siodelka wyjął dziewięciostrzałową Berettę kalibru 0.25 i wsunął ją pod bluzę. Pojechał w stronę wyjścia z parku.

*

Kierowca linkolna zaglądał pod maskę, a jego współnik nerwowo mówił do mikrofalówki:

- No, Havana. Odbiór.

Odczekał chwilę i powtórzył wezwanie. W odpowiedzi słyszał jedynie szum.

- Pieprzona dorożka już chyba minęła tego cholernego Kubańczyka - kierowca zaczynał się denerwować.

Uwagę grubasa zwróciło zbliżające się z przeciwka pojedyncze światelko.

- A to co, do diabła?

- Jakiś motorower - odpowiedział kierowca.

Motocyklista zatrzymał się przed maską linkolna.

- Mogę w czymś pomóc? - zapytał.

- Nie - kierowca pokręcił głową. - Tylko się przegrzał.

Rozległ się strzał.

Twarz grubasa wyrażała przerażenie, a z ust buchnęła ciemna krew i pobrudziła silnik. Ciężkie ciało osunęło się na błotnik.

Padły dwa następne strzały.

Oszołomiony kierowca złapał się za przedziurawiony brzuch i, upadając do tyłu, uderzył głową o asfalt. Linkoln osłaniał jego ciało od ulicy.

*

Mężczyzna w sportowym dresie wsunął broń pod bluzę i popchnął motorower w ciemne krzaki.

Jack widział z dorożki podniesioną maskę linkolna i przechyloną przez błotnik grubego mężczyznę, który najwyraźniej naprawiał samochód.

*

Poczekawszy, aż dorożka przejedzie, mężczyzna w dresie wyszedł z cienia, wsiadł na motorower, zapalił silnik i bez pośpiechu odjechał.

*

Niebieska lampa biurowa oświetlała podkrążone oczy Bensingera. Agent CIA siedział przy biurku w gabinecie znajdującym się na jednym z wyższych pięter Chrysler Building. W oknach wisiały grube zasłony. Zbliżała się północ. Bensinger był jednym kłębkim nerwów. Akcja wymknęła mu się z rąk.

*

Właśnie wrócił z posterunku policji miejskiej. Dwa podziurawione kulami ciała to już źle, a dodatkowo Latynos z odciętą głową spowodował, że Bensingerowi trzęsły się ręce, gdy sięgał po papierosa. Na twarzy martwej głowy pozostał uśmiech, jak gdyby przed samym ścięciem umysł zarejestrował coś wesołego.

Bensinger zaciągnął się, wpuszczając dym głęboko do płuc. Wysunął dolną szufladę, wyjął burbona i napił się prosto z butelki. Odpiął kołnierzyk koszuli i rozluźnił krawat. Otworzył lewą szufladę, sięgnął po aparat telefoniczny i podniósł słuchawkę.

- Mówi Bensinger.

- Tu Piersall - usłyszał głos. - Słucham.

- Zgubiliśmy Rainesa i dziewczynę.

- W jaki sposób?

- Niespodziewanie urządzili sobie przejażdżkę dorożką po parku. Agent, który ich śledził od restauracji, miał kłopoty z krótkofalówką. Nawiązał wreszcie kontakt z jednym z naszych wozów, ale było za późno. Kiedy dotarliśmy do parku, na miejscu była już policja. Przy bramie znaleziono ciała dwóch mężczyzn. Zastrzeleni z dwudziestki piątki obok linkolna z otwartą maską. W aucie zamontowane było radio CB. Kilkaset metrów dalej, po drugiej stronie zakrętu, znaleziono Latynosa z odciętą głową. Obok leżał karabin M-16 z noktowizorem i krótkofalówka. Żadna z ofiar nie ma dokumentów.

- Czy policja zidentyfikowała broń, z jakiej zginął Latynos?

- Bagnet z wyposażenia Wehrmachtu z czasów drugiej wojny światowej.

- Chryste... - mruknął Piersall.

- Inspektor Konicki z jednostki wywiadowczej na Manhattanie poprosił Interpol o identyfikację odcisków palców.

- Dlaczego Interpol?

- Bo w samochodzie znaleziono zapalniczki z Hotelu Dorchester, pięć funtów brytyjskich, londyński *Times*. A Latynos miał przy sobie paczkę kubańskich papierosów.

- Zabójstwa mają coś wspólnego z Rainesem?

- Tak. Dorożka z Rainesem i dziewczyną przejeżdżała obok stanowiska Kubańczyka. Według mnie to grupa morderców wynajęta do zlikwidowania Rainesa. Sami wpadli w sidła.

- Bensinger westchnął. - Chyba nie jesteśmy jedyną agencją odpowiedzialną za ochronę „Rosemark”.

- Nikt inny nie zajmuje się „Rosemark” - odpowiedział krótko Piersall.

- Wolałbym, żebyś zadzwonił do Ducca. Zdarzały się już takie dublowania.

- Dobra, sprawdzę to. Ciekawe dlaczego Latynos został zabity bagnetem, a tamci z pistoletu?

- Policja twierdzi, że to zwykłe morderstwo. Nie wiem, Frank. Na miłość boską, upewnij się, że nikt więcej nie jest w to zaangażowany. Po co mamy zabijać się nawzajem.

- Porozmawiam z Ducca.

- Kiedy?

- Zaraz. Dacie radę zlokalizować Rainesa i tę dziewczynę?

- Założyliśmy podsłuch w ich pokojach. Na jutro zarezerwowali miejsca do Londynu na trzecią po południu.

- Leć z nimi.

- Okay. - Bensinger zawahał się. - Wiesz co, Frank? A może oni chcieli sprzątnąć tę dziewczynę?

- Zadzwoń za pięć minut.

Bensinger odłożył słuchawkę i rozsiadł się na krześle. Próbował skupić się na szczegółach potrójnego morderstwa, ale nie potrafił znaleźć rozwiązania zagadki. Zadzwoił telefon. Był to jeden z agentów rozstawionych w Hotelu Plaza.

- Tu Coleman.

- No co tam, Lew?

- Raines i dziewczyna poszli na górę.

- Kto trzyma podsłuch?

- Blank i Minardos.

- Dobrze. O trzeciej zróbcie zmianę.

Bensinger odłożył słuchawkę i zapalił kolejnego papierosa. Wstał i podszedł do okna, odsłonił je i przyglądał się światłom Manhattanu.

Znów zadzwonił telefon.

Szybko podszedł do biurka.

- Bensinger, słucham?

- Tu Piersall. Właśnie rozmawiałem z Ducca. Zapewnił mnie, że nad „Rosemark” nie pracuje żadna agencja.

- No to kto załatwił tych gości?

- Pewnie jakiś grasujący w parku lunatyk. - Piersall przerwał na chwilę. - Miej na oku Rainesa. Musimy go utrzymać przy życiu, aż będzie gotowy do pertraktacji.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Jack obudził się z wilczym apetytem i zaraz zamówił obfite śniadanie dla dwóch osób. Wstał, przeciągnął się i siłą woli zmusił do zrobienia dwudziestu pięciu pompek, a potem kilku przysiadów. Usiadł na fotelu i dysząc, oglądał telewizję.

Komentująca wiadomości blondynka donosiła, że w odpowiedzi na rozmieszczenie pocisków Cruise przez NATO, Rosjanie zainstalowali znaczną liczbę pocisków SS-22. Choć dziennikarka mówiła ożywionym głosem, wyczuwało się, że temat wyraźnie ją nudził. Jack zastanawiał się, ile dostaje pieniędzy za zwleczenie się rano z łóżka, zamówienie taksówki, wypicie kawy, zrobienie makijażu i zachowanie atrakcyjności przy opisywaniu radzieckich pocisków.

Ubrał się, wyciągnął na łóżku i wykręcił numer do pokoju Gabrielli. Telefon dzwonił bardzo długo, aż Jack pomyślał, że zapomniała o umówionym śniadaniu. W końcu usłyszał zdyszane „Halo”.

- Obudziłem cię?
- Nie, brałam prysznic.
- Chcesz kawy?
- Nie. Jestem głodna.
- Śniadanie w drodze. Włóż coś na siebie i chodź.
- Przyniosę szampana.
- Jest wpół do ósmej.
- Wczorajem dzwonił Ettinger. Komisja przyznała pieniądze na wykopaliska. Musimy to uczcić.

- Wspaniała wiadomość. Moje gratulacje.
- Rozmawiałam już z generałem Barzanim. Odkryli marmurową kolumnę z wizerunkami Baala i Isztar.

Rozległo się głośnie pukanie do drzwi.

- Opowiesz, jak przyjdiesz - odpowiedział Jack. - Właśnie przybyło śniadanie.

*

Gabriella mówiła pośpiesznie z ustami pełnymi jedzenia. Wyjaśniała warunki dotacji i cieszyła się ze specjalnych praw przyznanych Uniwersytetowi Rzymskiemu. W oczach miała

iskierki radości, a policzki płonęły jej z podekscytowania. Włosy błyszcząły w promieniach słońca, a gdy poruszała głową, zmieniały odcień. Jack jedząc, wtrącał co pewien czas jakąś uwagę, śledząc równocześnie program telewizyjny.

- Poczekaj.

- Na co?

- Posłuchaj.

Wiadomości lokalne donosiły o okolicznościach potrójnego morderstwa, które miało miejsce zeszłej nocy w Central Parku. Reporter przeprowadzał wywiad z inspektorem, który trzymał krótkofalówkę i M-16 z noktowizorem. Detektyw mówił, że obydwie przedmioty zostały znalezione przy mężczyźnie z uciętą głową, którego zwłoki leżały teraz przykryte folią. Potem poinformował o znalezieniu ciał dwóch innych osób, zastrzelonych niedaleko miejsca, w którym zamordowano pierwszą ofiarę. Przypuszczalny czas wszystkich zabójstw ustalono między dwudziestą drugą trzydzieści a północą.

Na pytania dziennikarzy dotyczące szczegółów zabójstw detektyw grzecznie oświadczył, że na razie nic więcej powiedzieć nie może.

Jack wyłączył telewizor i złapał się za głowę.

- Przejeżdżaliśmy tamtędy na chwilę przed zabójstwami. Pamiętasz linkolna z otwartą maską?

- Tak. Mężczyzna grzebał w silniku.

- No właśnie. To znaczy, że wtedy minęliśmy już snajpera. Być może byliśmy nawet na muszce noktowizora.

- Z tego wynika, że nie czekał tam na nas.

- Mam nadzieję.

Jack nalał sobie kawy, zapalił cygaretkę i puścił kilka obłoczków dymu.

- Niekoniecznie - powiedział. - Może nie miał szansy wystrzelenia przed śmiercią.

- Ale dlaczego wiążesz to akurat z nami? Z tego co czytałam, morderstwa w Central Parku nie są czymś niecodziennym.

- Tak, ale typowy zbir nie zostawiłby M-16 i krótkofalówki. To drogi sprzęt.

- I tak nie mamy z tym nic wspólnego.

- Skąd wiesz?

- Nikt nie wiedział, że pojedziemy do parku. Nawet my. To była nagła decyzja.

Wstała i przysunęła wiaderko z lodem i szampanem. Wyjęła butelkę i zaczęła odwijać złotko.

Jej niebieskie oczy śmiały się do niego. Była jak kameleon. Zmieniała się z osoby

poważnej w dziecianną, tajemniczą, innym razem w kokietkę.

Męczyła się z korkiem.

- Daj - powiedział i wziął od niej butelkę. - Chyba masz rację. Zaczynam wszędzie widzieć morderców: na ulicy, w parku, nawet w łóżku.

- W łóżku?

- Kilka dni temu obudziłem się i omal nie zastrzeliłem pewnej młodej damy. Podaj kieliszki.

Przytrzymał korek i potrząsnął butelką. Rozległ się głośny strzał. Połała się piana i Jack rozlał szampan do kieliszków.

Zadzwoił telefon. Podniósł słuchawkę.

- Jack Raines, słucham. - A po chwili: - Tak, proszę połączyć. - Zakrył mikrofon i powiedział do Gabrielli: - To Londyn. Inspektor Hiller ze Scotland Yardu.

Słuchał chwilę w milczeniu, a Gabriella widziała malujące się w jego oczach niezadowolenie.

- Rozumiem... - powiedział. - Jeśli nie ma drogi prawnej, musimy zrezygnować. - Przerwał i zaraz dodał: - Nie, nie. Wiem, w jakiej jest pan sytuacji.

- Co się stało? - zapytała.

- Chwileczkę, inspektorze. - Zakrył mikrofon. - Lord Hamilton odmawia spotkania ze mną.

- Daj mi tego inspektora.

- Po co?

- No daj, Jack.

- Jest ze mną pani Bercovici - powiedział do mikrofonu. - Jest wtajemniczona w śledztwo. Chce z panem mówić.

Gabriella wzięła słuchawkę.

- Inspektorze, proszę przekazać wiadomość Lordowi Hamiltonowi, dobrze? Proszę mu powiedzieć, że pan Raines przyjedzie ze mną. I że przywieziemy z sobą trójkąt, złoty trójkąt.

- Wysłuchała, jak inspektor powtarza wiadomość.

- Zgadza się... złoty trójkąt. Nie, nie potrzeba oddzwaniać. Dziękuję.

Trzymający podsłuch agenci CIA zdjęli słuchawki. Ich długie oczekiwanie nie zostało wynagrodzone. Ani Raines, ani Bercovici nie wymienili słowa mogącego mieć jakikolwiek związek z „Rosemark”.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Na dworcu Nottingham wzięli taksówkę i jechali teraz jednopasmową asfaltową szosą wśród wspaniałych krajobrazów Melton Mowbray. Jaskrawe promienie zachodzącego słońca przedzierały się przez skłębione chmury i tworzyły na zielonych łąkach mozaiki ze światła i cienia. Na łąkach pasły się stada owiec.

- Patrz - powiedziała Gabriella, wskazując na szybujący wysoko klucz dzikich ptaków. Jack obserwował je, aż zniknęły za odległym wzgórzem.

- Wspaniale, prawda? - szepnęła.

- Jak na obrazku.

Lecz myślał o czymś innym. Choć to czysta spekulacja, jednak przypuszczał, że zabójstwa w Central Parku miały bezpośredni związek z ich przejażdżką. M-16, krótkofalówka i idealnie dobrane miejsce strzału świadczyły o zawodowstwie zabójców. Jeśli się nie mylił, zagadką było tylko jedno - tożsamość człowieka, który wysłał całą trójkę na tamten świat.

Jedyna logiczna odpowiedź, jaka mu się nasuwała to ta, że to CIA chroni go aż do momentu, kiedy będzie mógł z nimi pertraktować. Poczł pewną satysfakcję na myśl, że taki mały notesik z chemicznymi formułkami może zapewnić mu bezpieczeństwo.

*

Za tablicą HAMILTON HALL taksówka zwolniła i zjechała z głównej szosy. Prywatna droga ciągnęła się przez sosnowy las, a potem schodziła do szerokiej doliny. Jechali jeszcze około pięciu mil, zanim dostrzegli piękny pałac.

Lord Hamilton przyjął ich w przestronnym osiemnastowiecznym salonie. Ściany pokrywały średniowieczne malowidła i myśliwskie trofea. Antyczne meble stały na wschodnim dywanie. Wysokie okna wychodziły na nieskazitelnie utrzymany ogród.

Hamilton pocałował Gabriellę w policzek, a Jackowi uściśnął rękę.

- Mam nadzieję, że mieliście dobrą podróż - powiedział z szerokim uśmiechem. - Siadajcie, siadajcie. - Wskazał na obitą jedwabiem sofę. - Czego się napijecie?

- Ja, szkocką z lodem.

- A ty, moja droga?

- Poproszę sherry.

Duży brzuch Hamiltona sterczał spod aksamitnego smokingu, lecz mimo to lord poruszał się z zaskakującą gracją i niemal wojskową sprężystością.

Przygotował drinki i powiedział wysokim, lekko trzęsącym się głosem, który zdradzał jego podeszły wiek:

- Wiecie, że król Edward VII polował w tej posiadłości na ptactwo. Tak, tak, te ziemie widziały niejedne królewskie łowy. Teraz pseudokonserwatyści występują przeciwko temu sportowi, ale tradycja oczywiście przetrwa. To mimo wszystko historia Anglii, a o niej nie wolno zapominać.

Podał im drinki.

- Chyba najlepiej określił to Ogilvie - mówił dalej. - „Tej tradycji nic nie zmoże, ten duch czasu paść nie może.”

Wzniósł kieliszek.

- Za wykopaliska w Megiddo. - Napił się sherry i usiadł naprzeciw Jacka. - Mam nadzieję, że nie ma mi pan za złe, że nie chciałem się z panem spotkać, panie Raines - powiedział przepaszajaco. - Proszę zrozumieć, że nie mogę dopuścić, aby zajmowano mnie sprawami, na które nie mam żadnego wpływu.

- Rozumiem - odpowiedział Jack. - Ale jest pan jedynym żywym członkiem Pyramid International i miałem nadzieję, że będzie mógł pan wyjaśnić pewne rzeczy.

- Obawiam się, że nie.

- To źle - Jack zawahał się. - Przebieg śledztwa wskazuje na to, że jest pan w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

- Nie kwestionuję pana zawodowego doświadczenia, panie Raines, lecz pańskie zdanie opiera się na przypuszczeniach i domysłach.

- Być może, ale na pańskim miejscu skorzystałbym z ochrony inspektora Hillera.

- Może ma pan rację, ale w moim wieku można bać się już tylko uwiądu starczego. Nie, żebym lekceważył niebezpieczeństwo. Wprost przeciwnie. - Napił się sherry. - Za młodu nieraz stawałem twarzą w twarz z niebezpieczeństwem i, proszę mi wierzyć, panie Raines, poznałem co to strach. Ale teraz już za późno na dręczenie się obawami przed mordercami.

- Tym niemniej ma pan wiele wspólnego ze sprawami, które dotyczą bezpośrednio bezpieczeństwa pani Bercovici i którymi ja się zajmuję.

- Istotnie - zgodził się Hamilton. - Rozumiem pańską sytuację i odpowiem na pytania.

- Dziękuję.

Jack wstał, zrobił kilka kroków i zapytał:

- Czy pana zdaniem Emory i Sorenson zostali zabici przez morderców wynajętych

przez Syryjczyków?

- Absolutnie nie. Nie do pomyślenia, żeby syryjskie władze wysyłały morderców do Los Angeles.

- A do Rzymu?

- A, ma pan na myśli mego przyjaciela Pierra Claudona. Mówiłem już Gabrielli, że Claudon igrał z ludźmi. Niebezpiecznymi ludźmi. Nielegalnie kupował i sprzedawał rękodzieła artystyczne. Według mnie jego straszna śmierć nie ma nic wspólnego z morderstwami w Kalifornii.

- Czy to możliwe, żeby Claudon sprzedawał tabliczki z Ebla w imieniu Gamasięgo?

- Wszystko jest możliwe, panie Raines. Ale znając oddanie doktora Gamasi dla swego kraju sądzę, że to mało prawdopodobne. - Hamilton przerwał i zwrócił się do Gabrielli. - A przy okazji, moja droga, gratulacje z okazji udanych rozmów w Nowym Jorku.

- Właściwie wszystko zawdzięczamy panu Rainesowi - powiedziała. - Dostaliśmy dotację, gdy Ettinger pokazał komisji trójkąt.

- I z tego co mówiłaś, na dogodnych warunkach, takich jakie przysługują mnie - dodał Hamilton.

- Jeśli znajdziemy tablicę - stwierdziła spokojnie.

- Ale mamy najważniejszy klucz - trójkąt.

- Tylko jeden z trzech.

- Tak, jeden z trzech - westchnął.

W wysokim salonie odbił się echem trzepot ptasich skrzydeł i odległa syrena z barki. Hamilton nagle zmrużył oczy, jego twarz splonęła rumieńcem.

- Mogę zobaczyć ten trójkąt?

Jack skinął głową i rozwinął aksamitny pakunek.

- Proszę.

- Bardzo miło z pana strony, panie Raines.

Gdy brał trójkąt, zadrżała mu ręka. Oglądał dzieło sztuki ze wszystkich stron, jak jubiler sprawdzający czystość diamentu.

Potem podszedł do biurka, wyjął lupę i uważnie badał centymetr po centymetrze.

- Można wiedzieć, jak pan na to trafił? - zapytał Jacka.

- Znalazłem w posiadłości doktora Martina Sorensona.

- A jak Sorenson go zdobył?

- Kupił od Claudona za ćwierć miliona dolarów.

Hamilton był zaskoczony.

- Ćwierć miliona... - szeptał. - Jest pan pewien?
- Absolutnie.
- Skąd Claudon miał trójkąt?
- Miałem nadzieję, że pan mi to powie.
- Ja? - Hamilton zdziwił się. - Obawiam się, że nie. Chociaż mam pewną sugestię.
- Słucham.
- Wiemy, że trójkąt pochodzi z kamienia Itamara z krypty w Ebla. Można więc sądzić, że przywłaszczył go sobie ktoś z władz syryjskich.
- Czy posuwając się dalej, można wskazać na Gamasię?
- Nie, nie, nie. Bynajmniej - szybko odpowiedział Hamilton. - Wszyscy, tylko nie Gamasi. Jak już mówiłem, to zbyt honorowy człowiek, żeby dopuszczać się kradzieży.
- Ćwierć miliona to nie taka zwykła kradzież.
- Też prawda - przyznał Hamilton. - Są tacy, co sprzedaliby za tyle cały Damaszek.
- Gamasi też?
- Musi go pan o to spytać.
- Jak?
- Proponuję porozmawiać z doktorem Sabitini. Przyjaźnił się z Gamasim.
- Jeszcze się przyjaźni - wtrąciła Gabriella.
- A więc wygląda na to, że powinien pan odwiedzić Rzym, panie Raines.
- Chyba tak. Wie pan, gnębi mnie jeszcze jedna sprawa. Z tego co wiem, dał pan na wykopaliska w Megiddo sto tysięcy dolarów. Dlaczego? Znalezienie tablicy Mojżesza wcale nie jest takie pewne.
- Ryzyko jest częścią poszukiwań. Zawsze byłem po trosze hazardzistą - jeśli chodziło o dużą stawkę.
- Nawet jeśli znajdzie się tablica, to ma pan tylko prawa do wystaw.
- Drogi panie, jeśli ta piękna dama odniesie sukces, ja będę, choćby krótką chwilę, trzymał w ręku ostatnie słowa Boga. Pan nie może zrozumieć, ile to dla mnie znaczy.
- No, pewne pojęcie mam. - Jack się uśmiechnął. - Też jestem swego rodzaju poszukiwaczem.
- Hm, czy coś jeszcze, panie Raines?
- Tylko kilka rutynowych pytań.
- Tak?
- Kiedy ostatni raz rozmawiał pan z Sorensonem?
- Kilka miesięcy temu. Rozważaliśmy możliwość rozpoczęcia wykopalisk w Peru.

Sorenson nie był zainteresowany. Wydawało się, że coś go gnębi, że ma jakieś kłopoty. Nic z tego nie wyszło.

- A z doktorem Emory?

- Nie widziałem się z nim, ani nie rozmawiałem od zakończenia wykopalisk w Ebla.

- Z doktorem Gamasi?

- Pod koniec lata 1980 roku.

- Dziękuję. - Jack skinął głową. - Za czas i gościnę.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Macie czym wrócić na dworzec?

- Tak, czeka na nas taksówka.

- Nie mogę posłać z wami szofera. Mój bentley jest w naprawie. Kiedyś miałem kilka samochodów, ale teraz starcza mi bentley. Rzadko wyjeżdżam z domu.

Odprowadził ich do wyłożonego marmurami holu i pocałował Gabriellę w policzek.

- Pamiętaj o wszystkim informować staruszka.

- O każdym odkryciu - przyrzekła Gabriella.

- Dołączę do was w odpowiednim momencie.

- Nic mnie bardziej nie ucieszy. - Uśmiechnęła się.

Hamilton uściskał dłoń Jacka.

- Miło mi było pana poznać. Mam nadzieję, że szczęśliwie doprowadzi pan śledztwo do końca.

- Dziękuję. - Jack zawahał się. - Proszę oddać mi trójkąt.

Hamilton roześmiał się szczerze.

- Jakże mógłbym zapomnieć? Proszę mi wybaczyć. To podniecenie. - Sięgnął do kieszeni. - Oto on.

- Wie pan co? - Jack uśmiechnął się. - Nie chciałbym grać z panem w pokera. Może w szachy, ale w pokera nigdy.

Hamilton roześmiał się i pomachał im na pożegnanie.

Odczekał, aż taksówka zniknie, zamknął drzwi, szybko poszedł do gabinetu, podniósł słuchawkę telefonu i wykręcił numer do doktora Amina Gamasi z Ministerstwa Kultury w Damaszku.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Ściany restauracji zrobione były z cegły i przystrojone żywym bluszczem. Stereofoniczne dźwięki jazzowego trio zagłuszały głośne rozmowy i szcęk naczyń. W niewielkiej sali tłoczno było od dobrze ubranych, rozbawionych londyńczyków.

Jack i Gabriella siedzieli przy stoliku blisko otwartych drzwi do kuchni. Pili już drugą butelkę Sancerre, ale jedzenie jakoś im nie szło. Polenta była przypalona, a małże niesmaczne.

Gabriella miała na sobie jedwabną, kolorową bluzkę od Saint Laurenta i dobrze dobraną kloszową spódnicę. Na biodrach zapięła szeroki pas.

Jack żuł małżę z niechęcią, aż w końcu dał za wygraną i wypluł ją w serwetkę.

- Smakują jak stara guma do żucia.

- A nie mówiłam? Anglicy mają problemy z pozbyciem się owczych bobków. Nie wiem dlaczego chciałeś iść do włoskiej restauracji, przecież jutro rano będziemy w Rzymie.

Jack napił się wina i wzruszył ramionami.

- Miałem straszny apetyt na polentę.

- Uleganie apetytom może być niebezpieczne - powiedziała i zorientowała się, że jej słowa mogą mieć głębsze znaczenie.

- Wiesz co? - uśmiechnął się.

- No?

- Powinnaś częściej się tak ładnie ubierać.

- Mało mam eleganckich strojów. To nie w moim stylu. Poza tym nie mam kiedy ich wkładać. - Zawahała się. - Ani dla kogo.

Kelner rozlał do kieliszków resztę wina.

- Jeszcze coś podać?

- Napijesz się Sambuca? - zapytał Jack.

Skinęła głową.

- I podwójną kawę.

- Dwie podwójne kawy i dwa razy Sambuca.

- Podać kartę deserów?

- Nie, dziękuję. Tylko kawę, Sambuca i rachunek.

Kelner odszedł, a Jack zapalił cygaretkę.

- Naprawdę poszłaś na przyjęcie w dzinsach?

- Na jakie przyjęcie?

- To, które Ettinger wydał na twoją cześć.

Poprawiła włosy i uśmiechnęła się.

- To niezupełnie tak. Ettinger przesadzał. Miałam eleganckie dzinsy, drogą bluzkę od Armaniego i skórzane buciki.

- I grałaś bluesa?

- Niezupełnie. Najpierw romantyczny nokturn Chopina, a potem standard „Piney Brown”.

Kelner podał kawę i Sambuca.

Jack napił się likieru i pokręcił głową.

- Jesteś bardziej tajemnicza niż te twoje poszukiwania.

- Wcale nie. Mam różnorodne zainteresowania.

- Skąd znasz się na amerykańskim jazzie?

- Zawsze mnie fascynował. Po Cambridge pojechałam do Nowego Jorku studiować antropologię. Chodziliśmy z przyjaciółmi do jazzowych klubów. Zbierałam płyty i czytałam o historii jazzu wszystko, co mi wpadło w ręce.

- To z ciebie chyba niezły ekspert.

- Niezupełnie. Raczej studentka jazzu. Kiedyś udało mi się spotkać w małym klubie Oskara Petersona - powiedziała z przejęciem i rozejrzała się po sali. Jej oczy wyglądały tak, jakby widziały zupełnie inne miejsce w zupełnie innym czasie. - Peterson to był ktoś - szepnęła i odwróciła się do Jacka. - Miał tego wieczoru solowy występ. Nigdy nie zapomnę, jak chodził między stolikami i jego długich czarnych rąk. Usiadł przy fortepianie i zagrał coś Debussy'ego. Ale w jazzowym stylu. Niesamowicie. Masa pomysłów i doskonała technika. Chciałam z nim porozmawiać, ale nie odważyłam się.

Jej oczy wyrażały smutek po nie spełnionym marzeniu.

- Kim ty, do diabła, jesteś? - Dotknął jej łokcia i uśmiechnął się.

- Wszystko o mnie wiesz.

- No dobrze, więc kim byłaś?

- Taką samą dziewczynką jak inne. Miałam wszystkie dziecięce marzenia. Chciałam być aktorką, malować, rzeźbić, zostać primabaleriną i bez pamięci zakochać się w rosyjskim poecie.

- Zupełnie jak moja córka. Odrzucić tylko rosyjskiego poetę, a dodać baseball.

- Jak się nazywa?
- Jenny.
- Ile ma lat?
- Czternaście.
- Musisz być ostrożny. Wkracza w trudny wiek.
- Zauważyłem już symptomy.

Kelner zabrał rachunek z Jacka kartą American Express.

Gabriella wyjęła papierosa i zapaliła od świeczki. Zaciągnęła się, usiadła wygodniej i popatrzyła na Jacka.

- O co chodzi? - zapytał. - Robię coś nie tak?
- Oj, przepraszam. - Uśmiechnęła się. - Nie, zamyśliłam się tylko.
- O czym?
- Nieważne. - Pokręciła głową. - To sprawa osobista.
- Powiedz, obiecuję, że nikomu nie powtórzę.
- Zastanawiałam się nad motywami, dla których prowadzisz śledztwo. Nie bawię się we Freuda, ale wydaje mi się, że szukając zemsty w gruncie rzeczy odświeżasz wspomnienie o kobiecie, którą dawno temu straciłeś?

- Nie. Ani trochę. Mówisz, jakbym był jakimś mafioso. Mam wiele motywów, ale ego nie jest jednym z nich.

- Zadałam bardzo włoskie pytanie. Włosi nigdy nie mogą pogodzić się ze stratą kobiety, którą kiedyś kochali. Ani po rozwodzie, ani po śmierci. Przepraszam, nie powinnam była pytać. To zupełnie nie moja rzecz.

- Nie ma sprawy. Próbowałem już wyjaśniać to swojej córce, ale nie zrozumiała, z tobą byłoby chyba tak samo. Nie wiem czy odziedziczyłem to w genach, czy skądinąd, ale odkąd pamiętam, jeśli ktoś okazał mi miłość albo dobroć, a potem został skrzywdzony, musiałem się zemścić. To ważne i dla ofiary, i dla mnie, ale nie ma nic do ego.

- Jednak to specyficzna sprawa. Biorąc pod uwagę, że zostałeś sam z córką, ryzyko jest chyba niepotrzebne.

- Masz trochę racji, ale ryzykuję nawet wychodząc na ulicę.

Kelner przyniósł rachunek i kartę kredytową.

- Smakowało państwu? - zapytał.
- Tej polenty nigdy nie zapomnimy - odpowiedział Jack. - Proszę pogratulować szefowi.
- Dziękuję.

- Ach ta grzeczność, dzięki niej nigdy nic się tu nie zmieni. Gabriella uśmiechnęła się, poprawiła włosy i położyła papierosa na brzegu popielniczki.

- Co sądzisz o Hamiltonie?

- Tylko raz się zmieszał, gdy powiedziałem, jak Sorenson kupił trójkąt.

- Wtedy, gdy dowiedział się, że w sprzedaży pośredniczył Claudon?

- Nie, raczej gdy podałem mu cenę. Zdębiał, jak usłyszał o ćwierć miliona.

Przypuszczam, że Claudon proponował mu trójkąt za inną cenę.

- Może oferował mu drugi trójkąt.

- Możliwe. Ale cena na pewno była inna.

- A ma to jakieś znaczenie?

- Nie wiem - powiedział i dopił Sambuca. - Możemy iść?

- Jeśli chodzi o mnie, mogliśmy już po pierwszym daniu.

- To moja wina. Powinniśmy zjeść kanapki w hotelu.

- Nie, chciałam wyjść. Ale przynajmniej wino było dobre.

- A towarzystwo?

- No, no, no - uśmiechnęła się. - Gruboskóry detektyw domaga się komplementu.

- To moja anglosaska próżność.

*

Niebo było pełne gwiazd i wiał orzeźwiający wiatr. Zanim weszli do Berkeley, spacerowali wąskimi uliczkami z kocimi łbami. W sławnym parku drzewa były prawie zupełnie nagie, a opadłe liście kotłowały się pod ich stopami. Alejki oświetlały lampy sprzed stu lat, na ławkach siedziały zakochane pary wpatrzone w gwiazdy.

- Uwielbiam to miasto - powiedziała Gabriella. - Tu spędziłam najlepsze lata życia.

- Zabrzmiało jak wspomnienie o namiętym romansie.

- Bardziej romantycznym niż namiętym. Byliśmy bardzo młodzi. On studiował medycynę, był Amerykaninem.

- I co się stało?

Podniosła kołnierz płaszcza.

- Wyjechał do domu. Jego brata powołali do wojska, do Wietnamu, i rodzice chcieli, żeby studiował dalej w Stanach. Już nigdy nie wrócił do Cambridge.

- Cóż, chyba powinnaś cieszyć się teraźniejszością.

- Jakbym słyszała Sabitiniego - powiedziała. - To jego filozofia. Cieszyć się chwilą.

Wiatr rozwiewał jej włosy, do Jacka docierała delikatna woń jej perfum. Przechodzili właśnie pod latarnią i światło padło na jej twarz. Oczy promieniały błękitem.

Położył dłoń na jej ramieniu i odwrócił ją do światła.

- O co chodzi?

- W świetle wspaniale współgrają ze sobą twoje oczy i policzki.

Popatrzyła na niego, a potem odruchowo go pocałowała.

- Bardzo miło słyszeć coś takiego.

*

Zabrali swoje klucze z kontuaru i wjechali windą na piąte piętro.

W holu minęli dwóch arabskich szejków w otoczeniu trzech ubranych na czarno Afrykanek.

- Wyglądają niesamowicie - zauważył Jack.

- Te kobiety?

Pokiwał głową.

- Nigdy nie widziałem takiego koloru skóry. I te blizny.

- Pochodzą z Sudanu. Te blizny mają prawie od urodzenia. Taki szczepowy zwyczaj.

- Skąd wiesz?

- Mówiłam ci, że oprócz grania jazzu studiowałam antropologię.

- Zapomniałem.

- Należało raczej powiedzieć, że jestem genialna. - Uśmiechnęła się.

- Nie chciałem cię wychwalać.

Gdy zatrzymali się przed drzwiami, powiedziała:

- Teraz chyba powinnam zaprosić cię na drinka.

- Jak na kiepskim amerykańskim filmie.

- No to co mam powiedzieć?

- W Los Angeles jest czwarta po południu. Chcę zadzwonić do Jenny, a o świcie musimy wstać.

Skinęła głową.

- O wpół do ósmej w holu.

- Dobrze.

Chwilę stali w milczeniu. Potem wziął w dłonie jej twarz i delikatnie pocałował w usta.

- Dobranoc, geniuszu - wyszeptał.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Przez otwarte okno w gabinecie Sabitiniego dobiegały głosy studentów. Jack przyglądał się, jak profesor uzbrojony w lupę bada trójkąt.

Po pewnym czasie Sabitini wstał.

- Wspaniały kawałek historii - powiedział.

- Na tyle, że można za niego zabić?

- Pech w tym, że to prawda. Są kolekcjonerzy, którzy popełniliby za niego morderstwo, zwłaszcza zdając sobie sprawę, do czego może zaprowadzić.

- Ettinger nazwał tablicę Mojżesza artefaktem o największym dziejowym znaczeniu.

- Bez wątplenia miał rację - przyznał Sabitini. - Chodźmy, coś panu pokażę.

Przeszli na drugą stronę gabinetu pełnego najrozmaitszych eksponatów.

- Widzi pan to złote berło? Trzy tysiące trzysta lat temu należało do Ramzesa Drugiego. Hieroglificzna inskrypcja informuje o istnieniu wielkiej świątyni w Karnaku. A tu - podniósł brązowego skarabeusza - na tym podobnym do żaby robaku jest napis dotyczący plantacji fig w Tebach.

Podszedł do gabloty z kawałkiem wosku przypominającym kostkę mydła.

- Kornalinowa pieczęć należąca do Kleopatry, najslawniejszej z królowych.

Delikatnie podniósł skórzaną „kartkę” pokrytą pismem klinowym.

- To pisał inżynier z czwartego tysiąclecia przed Chrystusem. Omawia system irygacyjny Sumerów. W południowym Iraku podobny system jest jeszcze w użyciu. Mógłbym sprowadzić pana na dół do naszej galerii i pokazać prawdziwe cuda zarówno techniki, jak i sztuki. Ale ani u nas, ani w żadnym innym uniwersytecie, muzeum czy prywatnej kolekcji nie znajdzie pan przedmiotu dorównującego tablicy z zapisanymi przez Mojżesza ostatnimi słowami Boga. Trudno podważyć jej wartość naukową, historyczną i teologiczną. Proszę pomyśleć. Co powiedział Bóg? Dlaczego Mojżesz obawiał się wyjawić to Izraelitom? Czy te słowa mogą podważyć najważniejsze filary wiary judeo-chrześcijańskiej? A jeśli to proroctwo, a nie przykazanie, to czy zawiera ostrzeżenie dla człowieka? Czy zmienią one nasze pojęcie o Bogu? A w końcu, czy potwierdzą izraelicki rodowód Syryjczyków? - Przerwał na chwilę. - Jeśli napis odpowie choć na jedno z tych pytań, to z pewnością jest to artefakt o największym znaczeniu historycznym.

- Jak by pan określił szanse na odnalezienie tej tablicy?
- To zależy od dwóch rzeczy: czy wskazówka na trójkącie jest prawdziwa, a jeśli tak, to czy znajdziemy pozostałe trójkąty.
- Przypuśćmy, że nie.
- Wszystko może się zdarzyć. Bez większej liczby wskazówek poszukiwania mogą potrwać dziesiątki lat. Ale oczywiście może nam się udać przez przypadek.
- Trudno na to liczyć.
- Nieprawda. Największe odkrycia archeologiczne czasów nowożytnych zostały dokonane przez przypadek. W 1799 roku kapral z armii Napoleona kochał się nad brzegiem Nilu z Egipcjanką. Jak zobaczył oficera, podciągnął portki i zaczął uciekać, aż kilka metrów dalej upadł na twarz. Wie pan na co się przewrócił?
- Nie mam pojęcia.
- Na kamień Rosetty. Ten legendarny bazaltowy głaz pomógł wielkiemu egiptologowi Champollionowi znaleźć klucz do odczytania tajemnic egipskich hieroglifów sprzed czterech tysięcy lat.
- Sabitini zapalił cygaro.
- Jak widać, w archeologii szczęście często bierze górę nad inteligencją.
- Jak w policji.
- Mniej więcej.
- Jack popatrzył chwilę na kornalinową pieczęć Kleopatry i zwrócił się do Sabitiniego:
- Z tego co wiem, ma pan kontakt z doktorem Gamasi.
- Tak. Staramy się podtrzymywać naszą znajomość.
- Dlaczego?
- Nas, archeologów, łączą bardzo silne profesjonalne więzy.
- Sabitini wzruszył ramionami.
- Może są nawet silniejsze niż różnice polityczne.
- Mógłby pan umówić mnie z Gamasim?
- Zdaje pan sobie sprawę, że Damaszek jest rajem dla najokrutniejszych organizacji terrorystycznych na świecie, a Amerykanie nie są w Syrii zbyt mile widziani.
- Może Gabriella ze mną pojedzie. Ona zna Gamasię, a poza tym mówi po arabsku.
- Gabriella jutro wyjeżdża do Megiddo. Na pewno chce pan tego spotkania?
- Na sto procent. Gamasi od samego początku przewijał się w śledztwie.
- A jeśli nie zechce się z panem spotkać?
- Będę musiał użyć siły perswazji.
- Stawia mnie pan w niezręcznej sytuacji.
- Trudno.

- To bardzo niebezpieczna podróż.

- Wiem o tym

- No dobrze. - Sabitini westchnął. - Porozmawiam z Gamasim, ale najpierw musi pan wystąpić o syryjską wizę.

Napisał coś na kartce i podał ją Jackowi.

- To adres do Ambasady Syryjskiej - Piazza Coelli jeden. Piętnaście minut taksówką. Niech pan poprosi wicekonsula Hamidi. Zadzwoń do niego. To mój przyjaciel. Może załatwi panu wizę.

*

- Wyznanie?

- Protestant.

Hamidi wpisał dane do formularza. Za konsulem na ścianie czerwono-biało-czarna flaga wisiała obok dwu zielonych syryjskich gwiazd i portretu Hafeza al-Assada - posępnie spoglądającego syryjskiego prezydenta.

- Zawód?

- Oficer policji.

Dyplomata o ciemnej, podłużnej twarzy spojrzał na Jacka.

- W jakim stopniu?

- Porucznika.

- Jaki oddział?

- Dywizja Taktyczna z Los Angeles.

- Cel wizyty?

- Służbowy.

- A dokładnie?

- Chcę się spotkać z doktorem Aminem Gamasim z waszego Ministerstwa Kultury.

- W jakiej sprawie, panie Raines?

- Mam powody przypuszczać, że doktor Gamasi może mi udzielić informacji dotyczących serii zabójstw na terenie Los Angeles.

- Czy to ma jakiś związek z wykopaliskami w Ebla?

- Tak. Ofiarami padły osoby zaangażowane finansowo w wykopaliska.

- Proszę o paszport.

Jack wręczył małą niebieską książeczkę.

Hamidi przejrzał ją strona po stronie. Oprócz pieczętek z Wielkiej Brytanii i Włoch był tylko stempel z wjazdu do zachodnich Niemiec w 1981 roku.

- Był pan już na palestyńskich terenach okupowanych przez syjonistów?

Jack poczuł klucie w dołku, ale zdobył się na uśmiech.

- To znaczy w Izraelu?

- Tak.

- Nie, nigdy nie byłem.

- Czy ma pan jakieś kontakty z syjonistycznymi władzami?

- Nie.

- A jakieś powiązania z syjonistami?

- Z Żydami?

- Nie, nie... - zaprzeczył rozbawiony Hamidi. - Chodziło mi o polityczny ruch zwany Syjonizmem.

- Z tego co wiem, nie znam żadnego syjonisty.

- Jaka jest pańska opinia na temat politycznego poparcia Ameryki dla syjonistycznej okupacji?

- Nie mam opinii. Z zawodu jestem policjantem, a nie politykiem.

- W takim razie jakie jest pańskie osobiste zdanie na temat politycznej sytuacji na Bliskim Wschodzie?

- Ależ ja jestem zwykłym obywatelem.

Hamidi pokiwał głową i wstał.

- No dobrze, panie Raines, rozpatrzmy pana wniosek o wizę.

- Ile to zajmie czasu?

- Nie więcej niż dwa tygodnie.

- Nie mam tyle czasu.

- Przykro mi, ale musimy trzymać się przepisów. Mamy bardzo ostre wytyczne dotyczące turystyki.

- Nie jadę do waszego kraju jako turysta, tylko w sprawie służbowej.

- Cóż, być może pomogłoby wstawiennictwo amerykańskiej ambasady. W takim wypadku mógłbym przyspieszyć sprawę. Ale bez takiego dokumentu pański wniosek będzie rozpatrywany w normalnym trybie.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

Taksówka jechała Via Veneto, mijając kafejki pełne gości popijających Campari i wygrzewających się w ciepłym październikowym słońcu. Kierowca ostro zakręcił przed rotundą Hotelu Excelsior. Jack zapłacił rachunek i wręczył napiwek odźwiernemu.

Przeszedł przez hol, minął grupkę japońskich biznesmenów i stanął przy kontuarze.

- Poproszę czterysta pięćdziesiąt trzy.

- Chwileczkę, panie Raines - powiedział, podając mu klucz, recepcjonista. Podeszedł do skrzynki z korespondencją i przyniósł dwie kartki. - Dla pana.

Wiadomość od Sabitiniego: „Gamasi zgodził się z panem spotkać, mam go zawiadomić, kiedy będzie pan tam leciał.”

Druga wiadomość była od Gabrielli - ustalała godzinę kolacji.

Jadąc windą na górę zastanawiał się, jakie są szanse na to, że amerykański ambasador pomoże mu w zdobyciu syryjskiej wizy. Po kilku latach pracy dla rządu wiedział, że w sprawach policyjnych ambasador nie podejmie żadnej decyzji bez porozumienia się z Waszyngtonem.

Podeszedł do drzwi w odległym końcu korytarza, przekręcił klucz i wszedł do środka.

Jego ubrania były porozrzucane po pokoju. Zawartość walizki leżała na podłodze. Marynarki i spodnie były powywracane na lewą stronę. Pierze z rozerwanych poduszek wyglądało jak śnieg.

Ostrożnie wszedł do łazienki, wziął głęboki oddech i z całej siły kopnął w zasłonę prysznicza.

Gdy wracał do sypialni, umysł pracował mu na pełnych obrotach. Szukali trójkąta? A może notatnika z „Rosemark”? Zdał sobie sprawę ze swej bezsilności i przypomniał sobie słowa Nolana: „Jak coś ci się stanie, Jenny zostanie sama.”

Nagle zadzwonił telefon.

- Tak, słucham.

- Jack Raines?

- Przy telefonie.

- Nazywam się Bensinger. Nasz wspólny przyjaciel, Frank Piersall, prosił mnie o skontaktowanie się z panem.

Jack poczuł ulgę. Ze strony CIA nic mu nie grozi.

- O co chodzi?

- Może pan zejść do baru?

- Kiedy?

- Jeśli to możliwe, teraz. Mam na sobie beżowy garnitur, niebieską koszulę i brązowy krawat.

- Może pan powtórzyć nazwisko?

- Bensinger.

Bar równie dobrze mógłby znajdować się w centrum Tokio. Większość stolików i stołków przy barze zajmowali japońscy biznesmeni. Nie licząc barmana, Bensinger był jedynym białym.

Jack stanął obok krępego agenta CIA i zamówił szkocką z lodem.

Bensinger napił się piwa i wskazał Japończyków.

- Jeszcze parę lat i cały świat skomputeryzują.

- Można ich powstrzymać - odpowiedział Jack.

- Jak?

- Rzucić na tych frajerów którejś chłodnej grudniowej niedzieli wodorową bombę i po zabawie.

- Chyba bym się pod tym podpisał - Bensinger uśmiechnął się i położył na barze białą kopertę. - Pięć tysięcy w banknotach studolarowych.

- Na co?

- Na nowe buty, walizkę i ubrania. Przepraszam za ten bałagan w pokoju.

- Wie pan co, panie Bensinger, moja cierpliwość już się wyczerpuje. Za dwa centy wcisnąłbym panu tę kopertę do gardła i wyrzucił przez to cholerne okno.

- Słyszałem o pana uprzejmości.

- Tak, jeszcze parę takich akcji i zatrudnię mnie w supersamie. Ale teraz lepiej przestańcie się ze mną zabawiać.

- Rozumiem pana złość, panie Raines, ale ja tu tylko pracuję. Nie jestem odpowiedzialny za to przeszukanie. Właściwie byłem temu przeciwny.

Jack wziął kopertę i zapalając cygaretkę, zwlekał z odpowiedzią.

- Przypuśćmy, że znaleźlibyście notes, czy wtedy zwrócilibyście mi pieniądze za poniesione straty?

- Raczej nie.

- Nigdy nie posuwacie się do ostateczności. Jesteście na to zbyt honorowi.

- Chwileczkę, jeśli pięć tysięcy to mało, proszę powiedzieć.

- Nie. Ubieram się u Ohrbacha. - Jack napił się whisky. - Dziwnie mi ulżyło, jak usłyszałem, że to wasza robota. Przez chwilę myślałem, że to ktoś groźniejszy.

- To miało być raczej ostrzeżenie niż przeszukanie - odparł Bensinger. - Zdajemy sobie sprawę, że nie trzyma pan notesu przy sobie.

- Ale gdybyście się pomylili i znaleźli go, wtedy bylibyście górą.

- Tak jakby.

Jack dopił whisky i westchnął.

- Rozumiem, że chcecie pertraktować.

- W granicach rozsądku.

- Załatwcie mi na jutro wizę do Damaszku, a notes trafi w Los Angeles do Piersalla.

- Trudna sprawa.

- Ale nie niemożliwa do załatwienia.

- Istotnie - Bensinger pokiwał głową. - Całkiem niedawno udało nam się zorganizować wizę do Damaszku w ciągu jednej nocy.

- Dla obywatela USA?

- Tak. Wydaje mi się, że znał pan tego dżentelmena. Mowa o doktorze Sorensonie.

- Kiedy to było?

- Ze trzy miesiące temu. Chyba w lipcu. Sorenson zgłosił się do oficera zajmującego się projektem „Rosemark” i poprosił o pomoc w zdobyciu wizy. Ludzie z SOD przyszli do nas i połączyliśmy się z Damaszkiem. Za udzieleniem wizy wstawił się sam dowódca syryjskiego wywiadu.

- Jak długo Sorenson był w Damaszku?

- Nie więcej niż dwa dni. Jeszcze w tym samym tygodniu wrócił do Waszyngtonu.

- Jest pan pewien, że było to w lipcu?

- Absolutnie. Lepiej zajmę się pańską wizą. Spotkamy się, powiedzmy, jutro o trzeciej.

- Niech będzie o trzeciej. - Jack zniżył głos. - Jeśli pan nie może, proszę nie odpowiadać, zrozumiem. Ale jestem ciekaw, dlaczego ten cholerny projekt jest tak strzeżony.

- Ja tylko robię swoje. - Bensinger westchnął i położył na barze dwadzieścia tysięcy lirów. - Do jutra.

- Jasne.

Bensinger już chciał odejść, ale zawahał się i powiedział:

- A tak przy okazji, to radzę zrezygnować z romantycznych przejażdżek dorożką. O

mało pana nie sprzątnęli w tym parku.

- Domyślam się, że wy mnie chroniliście.
- Niestety nie. Zgubiliśmy pana. To nie my załatwiliśmy tych gości.
- Więc kto?
- Jeśli pan się dowie, proszę dać nam znać.
- Może macie jakiś konkurentów?
- Waszyngton mówi, że żadna agencja nie bierze już udziału.
- Nie dałbym za to głowy.

Bensinger popatrzył na niego przez chwilę i uśmiechnął się.

- Proszę posłuchać, panie Raines, mógłby mi pan wyświadczyć pewną osobistą przysługę?

- No pewnie.
- Niech się pan postara pozostać przy życiu do trzeciej jutrzejszego dnia.

Jack zamówił jeszcze jednego drinka i wpatrywał się w bursztynowy płyn na białych kostkach lodu. Myśli kotłowały się w jego głowie jak nowy program włożony do komputera. Pojawiały się bez przerwy nowe pytania, a odpowiedzi wciąż brakowało. Sorenson otrzymał trójkąt już w czerwcu. Hamiltona zaskoczyła cena, jaką zapłacił Sorenson. Dlaczego? Sorenson wyjeżdżał w lipcu do Damaszku. Po co? Załatwiał sobie wizę przez wywiad, a nie normalną dyplomatyczną drogą. Dlaczego? I w końcu, kto zabił ludzi, którzy chcieli zabić jego? Napił się whisky i pomyślał, że jedynym człowiekiem, który może dać odpowiedź na większość, jeśli nie na wszystkie, z tych pytań, jest doktor Amin Gamasi.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

Sandrone sul Tevere znajdowała się na rogu niewielkiego placu w pobliżu Tybru. Nieciekawe położenie i fanatyczna niechęć właściciela do gości chroniły dwudziestoletnią restaurację przed turystami. Lokal prowadzili Rzymianie.

Wysokie żelazne lampy rzucały snopy światła podobne do tych, jakimi świetliki rozjaśniały czarną powierzchnię rzeki. W rogu zadaszzonego tarasu pianista grał „Don't Cry for Me Argentina”.

Gabriella ubrana była w prostą czarną sukienkę kontrastującą z jasnymi włosami i niebieskimi oczami. Na szyi miała pojedynczy sznur pereł.

Powoli zmieniał się wiatr i znad Tybru dolatywał słony zapach.

- Rzece przydałaby się oczyszczalnia ścieków - powiedział Jack.

- To nie zanieczyszczenia. - Uśmiechnęła się. - Tybr ma w sobie zapachy dwóch tysięcy lat rzymskiej korupcji.

- Czysty szowinizm. Ta rzeka śmierdzi, a polityczna korupcja nie ma tu nic do rzeczy.

- Ja tylko powtarzam legendę. Przecież Neron pływał tu nago.

- Ekshibicjonizm Nerona to za mało. Rzymianie przejęli korupcję w spadku po tych starożytnych cywilizacjach, którymi się zajmujesz. Sami nic nowego nie wymyślili.

Napiła się wina i pokręciła głową.

- Mylisz się. Prawie w każdej dziedzinie mieli jakieś naukowe osiągnięcia wykorzystywane potem do podbojów. Nie kończące się wojny wszystko zaprzepaściły. W końcu zginęli z przesyty, stali się ofiarami własnej technologii.

- Może dlatego Mojżesz nie ujawnił ostatnich słów Boga.

- Co masz na myśli? - Wyglądało na to, że nie zrozumiała jego uwagi.

- Te słowa mogły być ostrzeżeniem przed ostateczną zagładą.

- Wątpię. Takie ostrzeżenie nie byłoby niczym niezwykłym. W Starym Testamencie można znaleźć wiele przestroż i Mojżesz nie zawahałby się przed udzieleniem ich plemionom izraelskim. Nie, to musi być coś innego.

- To tylko teoria.

- Tak, możemy tylko teoretyzować. I bez trójkątów nic się chyba nie zmieni.

- Wierzę, że Gamasi wie, co się z nimi stało.

- Możliwe, ale nie lekceważ rad Sabitiniego. Damaszek to gniazdo organizacji terrorystycznych. Z pewnością wiedzą, że byłeś kiedyś w Izraelu.

- Niby skąd?

- Od Bensingera z CIA. On na pewno wie co nieco o twojej przeszłości.

- Ale czemu miałyby o tym donieść Syryjczykom? Zawarliśmy układ. Oni dadzą mi wizę do Damaszku, a Rizzo odda im notes z projektem „Rosemark”.

- Skąd wiesz, że Bensingier nie sprzeda cię Syryjczykom?

- A jakie miałyby motyw?

- A od kiedy potrzeba im motywów?

Jack uśmiechnął się.

- Jesteś pewna, że któryś z twych przodków nie nazywał się Machiavelli?

- Nie. To Sabitini jest spokrewniony z Machiavellim.

- No, prawie trafiłem.

Gabriella spojrzała na pianistę.

- Boże, co za smutna melodia - powiedziała. - Trzeba zakazać wykonywania „Don't Cry for Me Argentina”. Przypomina mi o chłopcach, co zginęli na Falklandach.

- Hm, walczyli o wysoką stawkę. Sześć tysięcy gęsi.

- Owiec.

- Słusznie. To jeszcze bardziej przygnębiające.

Poprosił kelnera i zamówił kawę.

- O której jutro wyjeżdżasz? - zapytał.

- O drugiej. Ale o dwunastej mam odprawę. Izraelczycy są niemożliwi. Sprawdzają wszystko. Nawet tubkę z pastą do zębów.

- Mają powody - dodał.

Usłyszeli romantyczną melodię „These Foolish Things”.

Pomiędzy stoliki weszła Cyganka sprzedająca róże. Jack kupił jedną i wręczył Gabrielli.

- Od DPLA.

- Co to jest?

- Departament Policji Los Angeles.

- Składam podziękowania tej szlachetnej organizacji.

- Niesłychane. Posądzano nas o wiele rzeczy, ale nigdy o szlachetność.

Uśmiechnęła się i powąchała różę.

- Najprawdopodobniej nie będziemy się widzieć przez jakiś czas.

- Będę w Damaszku najwyżej dwa dni.
- Masz taką nadzieję.
- Nie musisz jej rozwiewać. Chcesz mi popsuć kolację? - Może zapłacisz rachunek?
- Po co ten pośpiech? Gdzieś idziemy?
- W niezwykle miejsce. Z pięknym widokiem na Rzym i świetnym saloonowym pianistą.
- Rozumiem, że zrobiłaś rezerwację.
- Nie. Ale dobrze mnie tam znają.

*

Stali na małym balkonie w mieszkaniu Gabrielli, popijali wino i spoglądali na oświetlony Rzym. Słuchali „I Wanna Be Around” Sinatry. Chłód zapowiadał nadchodzącą zimę.

- Trudno uwierzyć, że Rzym był kiedyś stolicą świata - szepnęła.
 - Łatwiej niż, że Pittsburgh."
- Uśmiechnęła się.
- Kiedy budowali metro, co rusz musieli robić objazdy, bo znajdowano ślady po cesarstwie rzymskim.
 - Jak w Los Angeles będą budować metro, mogę zagwarantować, że nie będzie żadnych objazdów. No bo co mogliby znaleźć? Obrozę Rin Tin Tin?
 - Co za Rin Tin Tin?
 - Taki piesek - pekińczyk. Swego czasu wielka sława.
- Jack oparł się o barierkę balkonu.
- Sprytnie, mieliśmy iść do prywatnego klubu.
 - Nie mówiłam, że do klubu.
 - To mieszkanie jest straszne.
 - Po mojej matce.
 - Ja po powrocie też będę musiał coś znaleźć. Moja córka mieszka u przyjaciół.
- Potrzebny jej prawdziwy dom.
- Dzieci są dziwniejsze niż nam się wydaje. Gdy umarła moja matka, miałam mniej więcej tyle lat co Jenny.
- Skończyła się piosenka i na balkonie zapanowała nagła cisza.
- Włączę drugą stronę - powiedziała.
- Zajęła się sprzętem stereo, a Jack oglądał portret pięknej kobiety.
- To twoja matka? - zapytał.

Gabriella skinęła głową.

- Prawdziwa florencka piękność.

Dopił resztkę wina.

- Boże, jakie mocne.

- Wystarczy zostawić winogrona na dość długo w kadzi i już.

- W Stanach mówimy na to „zabójcze”.

- Chcesz jeszcze?

- Chyba nie. Jestem prawie pijany.

- Komu to przeszkadza?

- Jutro mam mnóstwo do zrobienia, a ty jedziesz do Izraela.

Powoli podeszła do niego i powiedziała:

- Mamy jeszcze dziesięć godzin.

Dotknął palcem jej policzka.

- Chyba nie powinniśmy się zapędzać za daleko.

- Dlaczego?

- Za dużo tu duchów.

- Nie należy się obawiać świata duchów, przecież to właśnie dzięki niemu zakochujemy się i miłość tracimy.

Jack patrzył na nią chwilę.

- Chyba jeszcze poproszę.

Zabrała od niego kieliszek i podeszła do barku.

- Czy Sabitini był twoim kochankiem?

- Nonsens.

- Dlaczego? Jest przecież przystojny, macie wspólne zainteresowania.

- Ale nie ma między nami napięcia.

- To dla mnie za włoskie.

- Masz rację, bardzo włoskie. - Podała mu wino.

Usiadł na oparciu sofy, poluzował krawat i odpiął dwa guziczki koszuli.

- Powiedz, skąd się u ciebie wzięło zainteresowanie archeologią?

- Jak byłem mała, La Scala została zaproszona na występy do Kairu i rodzice wzięli mnie ze sobą. Po wygaśnięciu kontraktu zwiedzaliśmy kraj, pływaliśmy po Nilu. Wtedy zobaczyłam Dolinę Faraonów, Sfinksa, piramidy, świątynie w Abu-Simbel i te ogromne wizerunki faraonów. Od tej chwili już wiedziałam, że kiedyś muszę poznać te wszystkie tajemnice.

- Ile miałaś wtedy lat?

- No, nie wiem. Trzynaście, czternaście. Czemu chcesz wszystko tak dokładnie wiedzieć?

- Trochę się wstawiłem, trochę się w tobie zadurzyłem i nie mogę odróżnić tego, czym się zajmujesz, od tego, kim jesteś.

- Może to coś zmieni, a może nie, ale Camus powiedział, że „jesteśmy tym, co robimy”.

- To znowu za francuskie. - Uśmiechnął się i wstał. - Jeśli się nie mylę, w tym klubie miał być saloonowy pianista.

- Już myślałam, że nigdy nie poprosisz.

Wyłączyła muzykę i usiadła przy pianinie. Podniosła wieko.

- Coś z klasyki, jazzu, a może saloonową piosenkę? - zapytała.

- Saloonową piosenkę.

- Masz jakąś ulubioną?

- Taak, ale chyba jej nie znasz. Napisał ją bardzo sławny pianista, ale jest mało popularna.

- Powiedz lepiej, jak on się nazywa.

- Matt Dennis.

- A piosenka „Everything Happens to Me”.

- Skąd wiesz? - popatrzył na nią zupełnie zaskoczony.

- Jak mieszkałam w Nowym Jorku, było tylko trzech wielkich saloonowych pianistów: Joe Bushkin, Billy Taylor i Matt Dennis.

Rozpoczęła romantyczną, wesołą melodię. Jack napił się wina i popatrzył na zwinnie poruszające się po klawiaturze palce. Na jej włosy padało delikatne światło. Śpiewając, mrużyła powieki. W ostatniej frazie piosenki zaśpiewała: „Przepuścić pociąg, złapać grypę, to chyba będzie życia mego treść, przecież wszystko właśnie zdarza się mnie.” Skończyła z nostalgią, a Jack klasnął w dłoń.

- A teraz może jeden głębszy dla pianisty? - zaproponowała.

Delikatnie zamknął wieko i pomógł jej wstać.

- Niestety, bar już zamknięty.

Ich oczy się spotkały.

Wziął ją w ramiona i przytulił do siebie. Poczul na piersiach ciepło jej oddechu, zapach perfum. Chwilę trwali w uścisku, napawając się sobą nawzajem. Całował jej oczy, policzek, potem delikatnie muskał wargami jej szyję. Wtem przycisnęła usta do jego ust.

Naraz opuściło ich wszelkie skrępowanie.

*

Światło księżyca nadawało ich splątany ciałom nierealności. Przysunęła usta do jego ucha.

- O czym myślisz? - zapytała szeptem.

- Od czego zacząć?

- Obojętnie.

- Myślałem o tym - pocałował ją lekko - z jak wielu powodów się myliłem.

Uniosła głowę i podparła podbródek na ramieniu.

- To wymaga wyjaśnienia - powiedziała.

- Mówiłem, że nie powinniśmy zapędzać się zbyt daleko. Niesłusznie. Szkoda tylko, że prowadzi to donikąd.

- W Londynie mówiłeś coś o radowaniu się chwilą.

- Naprawdę? - uśmiechnął się.

Wstała, włożyła szlafrok.

- Lepiej zostań.

Zapalił cygaretkę i oparł się o wezglowie. Zaciągnął się i ze smutkiem pokręcił głową. Wiedział, że ona należy do innego świata - hermetycznego świata mrocznych tajemnic. A teraz cieszyli się tą nocą, lecz on zdawał sobie sprawę z braku jakichkolwiek perspektyw dla ich związku. Został wskrzeszony duch Laury.

W pokoju rozległ się przejmujący głos Lindy Ronstadt. Śpiewała nową aranżację klasycznej ballady „What’s New?”

- Nie za głośno? - zapytała Gabriella, wchodząc do sypialni z dwoma drinkami.

- Ani trochę.

Usiadła na brzegu łóżka i stuknęli się szklaneczkami whisky.

- Daj pociągnąć - poprosiła.

Podał jej cygaretkę do ust, a gdy zaciągała się, pojaśniał zapalony koniec.

- Nie grasz nigdy włoskiej muzyki? - zapytał.

- Sporadycznie. Wszystkie piosenki są takie same. On ma żonę albo ona męża i tak dalej.

- Tak, wiem.

Światło księżyca padło na jej włosy i uwypukliło kształt profilu. Sprawiała wrażenie zajętej jakąś niezwykle odległą myślą.

- Często masz urlop?

- Wakacje?

- Tak, u nas mówi się urlop.

- Nie miałem już kilka lat.

- A twoja córka byłaby zła, gdybyś pojechał bez niej?

- Kiedy następnym razem zdmuchnie świeczkę, będzie miała piętnaście lat i na pewno z radością część wakacji spędzi beze mnie. - Zgasił cygaretkę. - Czemu pytasz?

- Bo mam plan. - Powiedziała to z takim błyskiem w oczach, że przypominała dzieciaka, który chce zrobić komuś psikusa. Napila się whisky. - Tajny plan. Po zatwierdzeniu nie można go zmieniać w żadnych okolicznościach. Musisz się zastanowić nad odpowiedzią.

- Dobrze.

- Byłeś kiedyś zimą w Wenecji?

- Nie. W ogóle byłem tam tylko raz. Było wspaniale, ale gorąco, brudno i za dużo Japończyków z aparatami i karmiących gołębie Niemców.

- Nie ma jak Wenecja zimą. Żadnych turystów. Jest zimno i mgliście. Takie wysokie przypyły, że woda wylewa się na placiki. Zza Lido słychać Adriatyk, jakby to był krzyk jakiegoś demona. Każda uliczka, każdy kanał jest cichy i pełen tajemnic. Można się czegoś napić nawet na placu św. Marka, a muzycy grają tylko dla ciebie. W barze Harry'ego jest gwarno, a barman przyrządza doskonale martini. Można wynająć motorówkę i obejrzeć zachód słońca w Lido. Wenecja zimą to najromantyczniejsze miejsce na świecie. Mówię ci.

- A co z tym planem?

- Spotkamy się w Wenecji w ostatni poniedziałek listopada.

Popatrzył na nią zamyślony.

- A jak się okaże, że jutro rano nie będziemy mogli na siebie patrzeć?

- Spotkamy się w Wenecji jak zupełnie obcy ludzie.

Objął ją, przyciągnął do siebie, włosy opadły jej na twarz.

- I co ty na to? - zapytała.

- Doskonałemu martini nigdy nie można się oprzeć - szepnął jej do ucha.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

Poranne niebo zszarzało od pierwszych promieni wschodzącego słońca. Rozpraszane przez chłodny wiatr mgły przypominały duchy tancerzy. Lord Anthony Hamilton ze strzelbą w ręku przedzierał się przez połacie trzciny. Skórzane buty zabrudziły się w marszu. Przy nodze biegł wiemy pies.

Dziś był dzień targowy, więc kucharz i lokaj pojechali do miasteczka po zakupy. Hamilton został sam. Samotność była dla niego stanem spokoju, a nawet majestatu.

Sięgnął po schowaną drewnianą kaczkę i pokazał ją rozradowanemu psu.

- No, dalej, polecą za tobą. Naprzód.

Hamilton pchnął drewnianą atrapę i obserwował, jak prąd powoli znosi ją na środek jeziora. Wiatr kołysał wtkami trzciny, a jasne promienie słońca przebijały przez chmury i oświetlały powierzchnię jeziora.

Lord sprawdził zabezpieczenia w ręcznie robionej Beretcie, a potem wyjął z wewnętrznej kieszeni kurtki srebrną piersiówkę i napił się brandy. Zakręcając butelkę zauważył kilka ptaków krążących nad jeziorem. Powoli zataczały szerokie koła niemal wzdłuż brzegów jeziora. Hamilton uśmiechnął się z satysfakcją. Atrapa zrobiła swoje.

Z oddali dobiegało ujadanie psa. Przygotował strzelbę do strzału.

Zawsze zaczyna się od niepozornego szumu, który po niedługim czasie przechodzi w natarczywy, wypierający poranną ciszę trzepot wielu skrzydeł. Ptaki podnosiły się z bagien jak wielka ciemna chmura. Z zadziwiającą precyzją ustawiały się w klucz i krążyły wysoko nad jeziorem.

Hamilton wstrzymał oddech, wziął na muszkę pierwszą kaczkę i fachowo wodził za nią celownikiem, aż pociągnął za spust. Trafił. Za drugim razem także. Dwa ptaki, jakby porwane silnym porywem wiatru, oderwały się od stada i zniknęły w jeziorze.

Lord przełamał dymiącą strzelbę i włożył dwa nowe ładunki. Zanim znów przelecia nad jego stanowiskiem, miał chwilę relaksu. Wyciągnął z torby herbatniki w nagrodę dla psa, który lada moment przyniesie ustrzelone kaczki.

Postawił kołnierz i znów napił się brandy. Rozgrzała go i dodała euforii. Pomyślał, że bogowie muszą mu sprzyjać. Życie jest pełne ekscytacji. Cieszył się dobrym zdrowiem i szacunkiem przyjaciół. Co więcej, w wieku siedemdziesięciu dwóch lat ma jeszcze do

osiągnięcia pewien cel. Dopomogą w tym wykopaliska w Megiddo.

Jest główną postacią w scenariuszu, którego pierwszy akt został spisany trzy tysiące dwieście lat temu. Teraz nadchodzi już niemal finałowa scena. Bercovici i Raines zrobią, co do nich należy i zostaną wyeliminowani. Cywilizowany świat powinien dowiedzieć się, że ostatnie słowo Boga wydobyl na światło dzienne Lord Hamilton.

Odciał koniuszek cygara i już prawie je zapalił, gdy zamarł w bezruchu.

Na wprost niego wyszedł z mgły wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna w tweedowej kurtce i filcowym kapeluszu. W ręce trzymał dwunastostrzałowego, automatycznego Browninga.

Hamilton wstał i krzyknął do zbliżającego się intruza:

- Proszę pana, to prywatne jezioro! Pan wtargnął na mój teren!

Myśliwy uśmiechnął się, ale nie zwolnił kroku.

- Nalegam, aby pan natychmiast opuścił posiadłość.

Myśliwy słyszał, jak jego buty pluszczą w mętnej wodzie. Odbezpieczył karabin. Dystans między nim a starym człowiekiem zmniejszyła się. Wyraźnie widział strach w ptasich oczach Hamiltona. Nacisnął na oba spusty jednocześnie.

Strzały zwały Hamiltona na ziemię. Niewidzący wzrok wbił w niebo. Z dziur w brzuchu wypływały strumienie czerwonej i żółtej cieczy. Poruszał ustami, ale nie wydawał z siebie żadnego dźwięku.

Myśliwy przyklęknął i wyciągnął z kurtki Hamiltona duży pęk kluczy. Przewiesił strzelbę przez ramię i spokojnie ruszył w stronę domu.

Hamilton zapał, starając się złapać oddech. Otwierał i zamykał oczy, chcąc zidentyfikować kształt mający obok jego twarzy. Z trudem udało mu się wyostrzyć wzrok. Wrócił pies i spoglądał na niego z góry. W pysku trzymał dwie martwe kaczki.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

Elegancki mercedes sunął wąską tłoczną ulicą; minął ogromne korynckie kolumny przed wjazdem do Damaszku. Jack siedział obok siwowłosego kierowcy o oliwkowej skórze. Przez otwarte okna wpadało poranne powietrze, niosąc ze sobą zapach paliwa, oleju i słodką woń wypalanej kawy.

Uliczni handlarze hałaśliwie oferowali ciemnoskórym przechodniom ryby, daktyle, a także porcje ryżu lub makaronu. Z radia płynęły melancholijne arabskie pieśni. Rzeźnik wystawił na sprzedaż kawały krwistego mięsa i cały rząd baranich głów. Dzieci z opuchłymi brzuskami podbiegały do samochodów, zebrząc o pieniądze. Nastolatki ubrane w zachodnie dżinsy mijaly kobiety w tradycyjnych strojach. Starsi mężczyźni w czarnych garniturach i czerwonych fezach wylegiwali się na kawiarnianych tarasach, umilając sobie czas bezproduktywnymi rozmowami.

Minęli meczet Ummayad ze wspaniałymi minaretami i ostro skręcili w przestronną ulicę.

- Zaraz wjedziemy na drogę do Ebla - powiedział kierowca.

Na początku autostrady prowadzącej do Aleppo stały resztki baraku z brązową tablicą pamiątkową.

- Nalot Izraelczyków - wyjaśnił kierowca. - Październik siedemdziesiątego trzeciego.

Jack skinął głową w milczeniu.

- W następnej wojnie zdobędziemy Hajfę - mówił dalej kierowca. - Teraz przyszli Ruscy z nowymi czołgami. Amunicją. Jeszcze zobaczycie.

Na przejrzyście błękitnym niebie, z rzadka usianym drobnymi cumulusami, świeciło słońce. Wydawało się, że przecinająca pustynię czarna wstęga autostrady jest fatamorganą. Jedynymi żywymi stworzeniami w zasięgu wzroku były czyhające na padlinę sępy.

Przez otwarte okna wpadał suchy wiatr. Jack wrócił myślami do Gabrielli. Miał w pamięci zapach jej perfum. Tęsknił za nią. Nic podobnego nie zdarzyło się już od dawna. Pokręcił głową myśląc, jakie niespodzianki potrafi zgotować życie.

Rozważania przerwał zachrypły głos kierowcy.

- Patrz pan tam! - wskazał na suche koryto rzeki nie opodal wzgórza.

W słońcu błyszczały lufy najnowszych modeli radzieckich czołgów T-72. Na wzgórzach

stały baterie pocisków SAM-5. Jack dostrzegł uwijających się jak mrówki pracowników.

- To Ruscy. W następnej wojnie wykończymy Izraelczyków - powiedział z satysfakcją w głosie kierowca.

Dodał coś jeszcze, ale słowa zagłuszył huk startującego MIG-a-28. Samolot przeleciał kilka metrów nad mercedesem.

Kierowca roześmiał się, odsłaniając trzy złote zęby.

- Dobry pilot. Szkolił się na samochodach. Nasi chłopcy są najlepsi. Patrz pan na te pociski, na te samoloty. W górach mamy tego jeszcze więcej. W następnej wojnie zdobędziemy Hajfę.

Jack zamknął oczy i rozparł się w fotelu. Pomyślał o długich kolumnach zakurzonych izraelskich czołgów. I o ludziach w tych stalowych trumnach. Ludziach takich jak generał Zvi Barzani - wojownikach z krwi i kości. Walkę przejęli w genach po tych, którzy ginęli w Auschwitz i na płonących piaskach Synaju. W boju krew jest winem, a proch pachnie zwycięstwem. Każde pokolenie płaci śmiercią młodych ludzi - powszechne stają się stypy zamiast przyjęć urodzinowych.

Pod koniec pobytu w Tel Awiwie Jack zdał sobie sprawę, że Ziemia Obiecana stała się Spartą. Okrutny Bóg Izraelitów zbyt długo ich doświadczał. Jego lud wybrany przemienił się w wojowników. A Syryjczykom uda się dojść do Hajfy tylko w snach wywołanych haszyszem.

Nagle skończyła się asfaltowa szosa i, gdy wjechali na piaszczystą drogę, kierowca nacisnął pedał hamulca. Mijali rzędy niskich, zakurzonych, przypominających ule chat z gliny.

- No i mamy Ebla! - oznajmił kierowca.

Za ostatnią wioską rozciągały się ruiny Tell Mardikh. Wzgórze kojarzyło się Jackowi z drzemiącym słoniem. Na szczycie stali syryjscy żołnierze, a w cieniu zaparkowane jeepy, ciężarówki i helikoptery. Sto metrów dalej znajdował się budynek dla pracowników.

Niedaleko osady zatrzymano mercedesa, a wysoki, muskularny mężczyzna w czerwonym berecie nachylił się i grzecznie poprosił o dokumenty. Kierowca pokazał swoją kartę identyfikacyjną i paszport Jacka. Żołnierz spojrzął na dokumenty, oddał je i skierował samochód na parking.

- Trzeba iść do jadalni - powiedział kierowca, wskazując na miejsce osłonięte przed słońcem pasiastą zasłoną.

Jack ruszył we wskazanym kierunku zastanawiając się, dlaczego starożytni mieszkańcy Ebla wybrali sobie na osadę tak odludne i zapomniane miejsce.

Z namiotu przeznaczonego na kuchnię wyszedł smukły, ubrany w strój typu safari mężczyzna, o sympatycznym wyrazie twarzy i ciepłym, szczerym uśmiechu.

- Witam w Ebla, panie Raines. Amin Gamasi.

- Bardzo mi przyjemnie, panie doktorze.

Uścisnęli sobie dłonie.

- Dość ciężko się tu jedzie z Damaszku.

- Nie po asfaltowej szosie. - Jack się uśmiechnął.

- Chodźmy, z pewnością chce się panu pić.

- Czy jest tu łazienka? - zapytał Jack, gdy weszli do namiotu.

- W pewnym sensie - powiedział Gamasi. - Tam za kuchnią zobaczy pan drzwi z narysowanym penisem. - Wzruszył ramionami. - Taki niewinny wojskowy żart.

Jack stanął przed brudnym sedesem. Wszędzie dokoła czuć było odór uryny. Załatwił się uważając, by niczego nie dotykać. Umył ręce w letniej wodzie, a za ręcznik posłużyła mu własna kurtka.

Na stole obok talerzy z serami, oliwkami, cebulą i kromkami chleba stały dwie butelki włoskiego piwa. Jack jednym haustem wypił sporą zawartość jednej z nich.

- Proszę spróbować serów - zachęcił Gamasi. - Są naprawdę doskonałe.

- Nie, dziękuję. Wolę piwo.

Gamasi uklonił się niemłodej kobiecie, która właśnie weszła i zamówiła jedzenie.

- Może papierosa? Francuskie. Bardzo mocne.

Jack wyjął jednego ze złotej papierošnicy. Gamasi chciał coś powiedzieć, ale podszedł do niego młodszy stopniem syryjski oficer. Spocony żołnierz pochylił się i szepnął mu coś do ucha.

- Przepraszam na chwilę, panie Raines - powiedział Gamasi. Przeszedł na drugą stronę namiotu, gdzie przy stole pułkownik w polowym mundurze pił whisky z piękną kobietą. Gamasi pocałował kobietę w rękę i powiedział kilka słów do pułkownika. Roześmiali się głośno, a Gamasi uklonił się kobiecie i wrócił do stolika.

Usiadł naprzeciw Jacka, nalał zimnego piwa i obejrzał się za siebie.

- Ta kobieta należy do najslawniejszych aktorek filmowych.

- Jest bardzo piękna.

- Na nieszczęście interesuje ją tylko własna płeć. No, ale do rzeczy, panie Raines. Obawiam się, że przebył pan długą drogę po raczej wątpliwą pomoc.

- Praca policji polega na wątpliwościach. Rzadko sami wyjaśniamy przestępstwo. Zwykle opieramy się na uzyskanych informacjach. Ktoś przedstawia nam swoje, odmienne

poglądy i sprawa posuwa się naprzód. Czasami zwykły policjant staje się odkrywczym detektywem.

W oczach Gamasiego pojawiła się wesołość.

- Dziękuję za uprzejmość, ale ja nic nie wiem o... - zawahał się - ...o tych nieszczęśliwych wypadkach w Pyramid International. Zgodziłem się na to spotkanie tylko na prośbę doktora Sabitini.

- Rozumiem. Ale skoro już tu jestem, chciałbym zadać kilka pytań.

- Tak, oczywiście. Słucham.

- Jak dobrze znał pan Pierra Claudona?

- Słabo. Kilka razy z nim rozmawiałem. Latał między Europą a Bliskim Wschodem jakby go giez ukąsił. Zdaje się, że był w bliskich stosunkach z Lordem Hamiltonem.

- Wiedział pan, że Claudon handlował kradzionymi dziełami sztuki?

- Nie. Jak mówiłem, słabo go znałem.

- A doktora Sorensona?

- Był tutaj latem. Zjedliśmy razem kolację i omówiliśmy postęp prac. Podziękowałem mu za finansowe wsparcie i po dwóch czy trzech dniach wyjechał.

- A doktora Howarda Emory?

- Z nim pozowałem jedynie do zdjęcia. Wyglądał na człowieka spokojnego, zamkniętego w sobie.

Nagle zerwał się wiatr i obydwaj musieli osłonić oczy przed piaskiem. Wiatr tak szybko ucichł, jak się pojawił.

- Co pan może powiedzieć na temat Lorda Hamiltona? - zapytał Jack.

- To dziwak. Ma obsesję na punkcie archeologii, ale jakąś taką schizofreniczną. Szybko zmienia nastroje. Nie jestem psychiatrą, ale myślę, że ogarnęło go szaleństwo.

- Dlaczego?

- Przez sposób, w jaki trzyma dzieło sztuki. Objawia się wtedy jego żądza posiadania przedmiotu - jakby dzięki zabytkom mógł zapomnieć o własnej śmiertelności. - Gamasi spojrzał na zegarek. - Nie chciałbym być niegrzeczny, ale muszę wracać do pracy. Cały zespół na mnie czeka.

- Proszę mi powiedzieć, doktorze, w jaki sposób złoty trójkąt trafił z krypty do sejfu Sorensona w Los Angeles.

- Nie mam pojęcia.

- A może pan wyjaśnić, jak tabliczki z Ebla trafiają do Londynu i Nowego Jorku?

- To nic niezwykłego. Żadne wykopaliska nie są strzeżone absolutnie. Zapewne ktoś z

mojego zespołu - asystent, strażnik, może jakiś wynajęty Beduin - wykrada je. Specyfika archeologii sprawia, że policja nie może nad wszystkim zapanować.

- Mówi pan, że ktoś z personelu w Ebla może kraść tabliczki.

- Takie jest moje zdanie. Sztuka i kultura nie są wolne od korupcji. Zaryzykuję nawet twierdzenie, że nie wszyscy wasi oficerowie mają czyste ręce. Mało świętości jest na tej ziemi.

- Nie mam już argumentów.

Podnieśli się.

- Przykro mi, że przyjeżdżał pan na próżno. Mała to pociecha, ale mogę oszczędzić panu drogi powrotnej do Damaszku. Za moment jeden z tych śmigłowców leci do miasta. Zabiorą pana. Za godzinę będzie pan już w hotelu.

- Bardzo miło z pana strony.

Uścisnęli sobie dłonie. Gamasi spojrzał przelotnie na Rainesa.

- Zostaje pan na noc w Damaszku? - zapytał.

- Tak. Rano lecę na Cypr.

- Na Cypr?

- Tak, to najkrótsza droga do Tel Awiwu.

- Rozumiem. Widzę, że i pana ogarnęła gorączka Megiddo. Poszukiwania tablicy Mojżesza.

- Chyba tak.

- Ciekawe. Myślałem, że prawdziwi policjanci przeszli już do legendy. Proszę pozdrowić ode mnie panią Bercovici. *Salam alakum*, panie Raines.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

Słońce zaszło, a na niebie pojawił się jasno błyszczący księżyc. Dźwięki dobiegające z ulicy były zupełnie inne niż za dnia. Ścierały się ze sobą klaksony, syreny i smutna arabska muzyka. Tworzące się dysonanse przypominały strojenie instrumentów orkiestry symfonicznej przed koncertem.

Stał na małym balkonie. Czuł się wypoczęty, ale lekko sfrustrowany. Gamasi mówił prawdę - lot śmigłowca z Ebla do Damaszku trwał nie dłużej niż godzinę. W hotelu Jack wziął prysznic, przekąsił coś i, paląc bez przerwy, starał się wyciągnąć wnioski ze spotkania z naukowcem.

Instynkt mówił mu, że grzeczna obojętność Gamasiego była tylko maską. Obecność pułkownika z pewnością nie pozostała bez wpływu na pracownika ministerstwa kultury. Ale prawdopodobnie Gamasi zgodziłby się na spotkanie bez wstawiennictwa Sabitiniego. W każdym razie podróż do Damaszku okazała się niewypałem, a tajemniczy Gamasi kolejnym graczem w grze o nieznanym zakończeniu.

Wyrzucił wygaszoną cygaretkę przez balkon, wrócił do pokoju, wyciągnął się na sofie i pomyślał o Gabrielli. Wyobraził sobie, jak kierując się wskazówkami umieszczonymi na trójkącie przekopuje się przez ciemne komnaty Megiddo i stara się dotrzeć do ostatniego słowa Jahwe.

Drgnął, gdy zadzwonił telefon.

- Pan Raines?

- Przy telefonie.

- Mówi portier. Pewien dżentelmen czeka na pana w hotelowej kawiarni. Mówi, że ma informację dotyczącą trójkąta.

- Trójkąta?

- Tak. Będzie czekał przy kontuarze

W słabo oświetlonej kawiarni tłoczyli się młodzi żołnierze; niektórzy oglądali w telewizji film z Johnem Waynem. Jack kończył drugą kawę, gdy przysiadł się do niego niski mężczyzna w błyszczącym niebieskim garniturze. Rozejrzał się nerwowo po sali i powiedział poufałym szeptem:

- Za pięćdziesiąt amerykańskich dolarów dostarczę panu dwóch młodych, ślicznych

chłopców.

Jack spojrzał zakłopotany. Dziwny sposób nawiązywania znajomości.

- Ach, proszę o wybaczenie, źle zrozumiałem pana intencje - mówiąc to, rozglądał się po sali. - Za tę samą cenę przyprowadzę piętnastoletnią niemiecką uczennicę, blondynkę, mięciutką, okrągłutką, jak z obrazka. Spełni każde pana życzenie.

Zakłopotanie Jacka minęło. Mężczyzna był zwykłym stręczycielem. Znalazł się przy nim przypadkowo, a ten, na którego czeka, jeszcze się nie pojawił.

- Za sto dolarów amerykańskich ma pan francuskie bliźniaczki. Dwudziestolatki, oferta specjalna, w eleganckim apartamencie. Haszysz, szampan. Są naprawdę wspaniałe - szeptał nieznajomy.

- Interesują mnie trójkąty - powiedział cicho Jack.

- Trójkąty? - człowieczek zmieszał się. - Myślę, że taki układ da się jakoś załat...

Słowa uwięzły mu w gardle i natychmiast zniknęły w tłumie.

Zanim Jack zorientował się o co chodzi, poczuł w okolicach nerek ucisk metalowego przedmiotu.

- Płać za kawę i wychodź - rozkazał ochrypły głos.

Jack zostawił banknot, wyrzucając sobie, że postąpił jak zwykły amator. Dał się zwabić, zapominając o zachowaniu ostrożności. Takiego błędu zawodowiec popełniać nie powinien. Wykrzywił z bólu twarz, gdy lufa wbiła się w dolną część kręgosłupa.

Popychany pistoletem wyszedł na ulicę. Gdy stał na krawężniku, oślepiły go światła czarnego buicka. Otworzyły się tylne drzwi, a właściciel pistoletu wepchnął go do środka. Z przodu siedziało dwóch mężczyzn, a z tyłu czarnoskóry Sudańczyk. Dwie silne dłonie przycisnęły go do podłogi, a ciężki but przytrzymał jego twarz przy wykładzinie cuchnącej starymi wymiocinami. Na uchu poczuł zimną lufę pistoletu.

- Nie ruszać się! Nie gadać! - rozkazał Sudańczyk.

Ból rozszedł się po klatce piersiowej. Pociły mu się dłonie. Świadomość, że lufa pistoletu dotyka jego ucha, była straszna. Wiedział, że to zawodowi najemnicy. Na czyj rozkaz działają? Gamasiego? A może ostrzeżenia Gabrielli okazały się prorocze? I Bensinger wydał go Syryjczykom? Jeśli tak, to z pewnością wiedzą, że kiedyś stacjonował w Tel Awiwie. Ale po co miałyby go wydawać? Szybko znalazł odpowiedź na pytanie - został sprzedany syryjskiemu wywiadowi. Agencje często prowadzą takie gry. Tel Awiw to dawna sprawa. Od dziesięciu lat nie miał kontaktu z izraelskimi urzędnikami. Wszelkie spekulacje nie miały sensu. Teraz musi zachować absolutny spokój. Przy oddychaniu bolały go płuca, a od śmierdzącej wykładziny chciało mu się wymiotować.

Jechali około pół godziny, aż poczuł, że zwalniają i wjeżdżają pod górę. Potem zakręcili szerokim łukiem i wkrótce się zatrzymali.

Otworzyły się drzwi samochodu i stopa, która gniotła jego twarz, zsunęła się na podłogę.

- Wstawaj! - usłyszał.

Jack wyczołgał się i stanął na nogach. Na kręgosłupie znów poczuł lufę pistoletu. Niepewnie szedł w otoczeniu uzbrojonych mężczyzn przez nieskazitelnie czysty garaż.

Krętymi schodkami wspięli się na pierwsze piętro i przeszli całą długość słabo oświetlonego korytarza. Sudańczyk zatrzymał się przed wyłożonymi drewnem drzwiami i wyciągnął z kabury pistolet ciężkiego kalibru.

- Do środka - rozkazał, mierząc w Jacka.

Pokój wyglądał jak z arabskiej baśni. Niebieskie ściany z ozdobami. Na niskich sofach porozkładane lśniące poduszki, a podłogę pokrywał stary wschodni dywan. Żyrandol rzucał odbite od sufitu różowe światło. Pomędzy zebranymi dziełami sztuki stała gablota ze statuetką groteskowo roześmianego Pazuzu.

- Siadać i nie ruszać się. - Wskazał jedną z sof.

Jack usiadł, a Sudańczyk wyszedł, zamykając za sobą ciężkie drzwi. Nie licząc dochodzących z zewnątrz śpiewów ptaków w pokoju panowała cisza.

W kącie Jack zauważył barek. Był bardzo spragniony, ale bał się podnieść.

Spojrzał na Pazuzu. Kanaanejski bożek zła przewijał się przez śledztwo już od pamiętnej niedzieli u Laury, a teraz jego wyłupiaste oczy zdają się drwić z niego.

Powoli poruszyła się klamka i do pokoju wszedł ubrany w biały garnitur i czerwony fez doktor Amin Gamasi. Zamknął za sobą drzwi i, przykładając palec do ust, nakazał milczenie. Włączył radio i wybrał stację nadającą arabskie pieśni. Lekko pogłośnił, podszedł do Jacka i otworzył złotą papierośnicę.

- Francuskie, bardzo mocne.

- Taak... pamiętam.

Jack wziął papierosa, a Gamasi podał mu zapalniczkę.

- Proszę mi wybaczyć, panie Raines. Nie pochwalam takiego postępowania, ale... - Wzruszył ramionami.

- Proszę tylko o drinka.

- Oczywiście. Co pan sobie życzy?

- Szkocką z lodem.

- Jeszcze raz bardzo przepraszam. Nie miałem wyboru. Nie mogłem pozwolić, żeby

mnie z panem widziano.

- A co z naszym popołudniowym spotkaniem?

- Było oficjalne i, jak pan pewnie zauważył, cały czas byliśmy pod obserwacją. Ci dżentelmeni, którzy pana tu przywieźli, należą do organizacji terrorystycznej znanej jako al-Asiqa. Pewne okoliczności i pewne pieniądze związały mnie z nią. Zapewniają mi swego rodzaju ochronę, dopóki ja zapewniam im swego rodzaju dotacje finansowe.

Podał Jackowi drinka.

- Na zdrowie - powiedział, wznosząc swoją szklaneczkę.

Jack napił się, a Gamasi usiadł na brzegu rzeźbionego stołu.

- Chcę być z panem szczerzy, panie Raines. Mimo swojej pozycji jestem zagrożony. Czytałem znaczną część tabliczek z Ebla. Są niepodważalnym dowodem na to, że w starożytnym Ebla osiedliły się plemiona izraelskie na dwa i pół tysiąca lat przed wyłonieniem się jakiegokolwiek kultury arabskiej. Język, prawa, zwyczaje są identyczne jak u Izraelitów z czasów Mojżesza. Nie ma cienia wątpliwości, że dzisiejsi Syryjczycy są ich potomkami. Widziałem tabliczki zwiastujące przybycie Mojżesza - wielkiego proroka, który miał karać za niewypełnienie ostatnich słów Jahwe - a w dzień jego śmierci te słowa miały zostać zapisane dla potomności. - Zgasił papierosa i natychmiast zapalił następnego. - A więc mamy potwierdzenie słów Itamara. Tablica Mojżesza nie jest mitem.

Jack wstał i zrobił kilka kroków.

- Dlaczego wiedza o tym może być niebezpieczna?

- Mimo wszystko jestem zawodowo związany z zachodnimi dziennikarzami i naukowcami. Z punktu widzenia syryjskiego wywiadu jestem potencjalnym wrogiem porządku. Mój związek z al-Asiqa przynajmniej na jakiś czas pozwala mi działać. Ale ja rozumiem realia polityczne Syrii. Jestem jakby na cenzurowanym. - Zawahał się i ściszył głos. - Aby przetrwać, muszę podejmować pewne ryzyko.

- Jakie ryzyko?

- Za pośrednictwem Pierra Claudona sprzedałem dwa trójkąty.

Jack spojrzał na niego z zainteresowaniem. Wydarzenia zaczynały się układać w logiczną całość.

- Dlaczego?

- Dla pieniędzy.

- A co Claudon zrobił z trójkątami?

- Jeden sprzedał Sorensonowi, a drugi Hamiltonowi.

- Wie pan za ile?

- Po sto tysięcy dolarów za każdy.

- Ile pan z tego miał?

- Pięćdziesiąt procent.

- Czy zaskoczy pana, jeśli powiem, że Sorenson zapłacił Claudonowi ćwierć miliona?

Gamasi westchnął i smutno się uśmiechnął.

- Nie, nie zaskoczy. Pan Claudon nie cieszył się reputacją człowieka uczciwego.

- Ale jest pan pewien, że Hamilton zapłacił sto tysięcy?

- Sam mi to mówił - Gamasi pokiwał głową. - Dzwonił na początku czerwca, gdy doszło do transakcji. Pytał o znaczenie napisu. Nic mu nie powiedziałem. Wyparłem się wszelkiej wiedzy o trójkątach. - Przerwał. - Nigdy nie ufałem Hamiltonowi.

Jack spacerował po pokoju.

- Czy Sorenson, jako kolekcjoner, znał się na rzeczy?

- Trzeba przyznać, że jak na amatora, tak.

- No to dlaczego za identyczną rzecz zapłacił dwa razy więcej niż Hamilton?

- Można tylko przypuszczać, że Claudon znał możliwości finansowe Sorensona i podszedł go w odpowiedni sposób. Poza tym Hamilton był jego najważniejszym klientem i nie chciał go stracić.

- Więc nie przywiązuje pan wagi do różnicy cen? - Jack dokończył whisky.

- Nie za bardzo. Doleję panu.

Wziął szklaneczkę i podszedł do barku.

- Jeśli wiedziałbym czego dokładnie pan szuka, może mógłbym udzielić dokładniejszych informacji.

- Próbuje ustalić, kiedy Sorenson i Hamilton zdali sobie sprawę z prawdziwej wartości trójkątów.

- Nie mam pojęcia - powiedział Gamasi i wręczył, Jackowi drinka.

- Kiedy ostatnio rozmawiał pan z Hamiltonem?

- Kilka dni temu. Mówił, że odwiedziła go pani Bercovici, że ma pan trójkąt i zamierza mnie pan odwiedzić.

- Dlaczego to panu powiedział?

- Chciał wiedzieć, czy byłby pan skłonny sprzedać trójkąt.

- I co mu pan odpowiedział?

- Nic, grzecznie go spławiłem.

Jack spojrział na Pazuzu.

- Kiedy po raz ostatni rozmawiał pan z Sorensonem?

Gamasi usiadł na stole.

- Zdaje się, że na początku lipca. Przyjechał do Damaszku i prosił, żebym pomógł mu zorganizować spotkanie z wywiadem.

- Jak ono przebiegało?

- Nie byłem na nim obecny, ale tego samego dnia jadłem z Sorensonem kolację. Powiedział, że namawiał moich zwierzchników do kontynuowania prac wykopaliskowych w Ebla dla dobra nauki. Spotkanie zakończyło się bez rzeczowych konkluzji. Kolacja była udana, a następnego ranka wyjechał.

- A wie pan, co się mogło stać z trzecim trójkątem?

Gamasi sięgnął do kieszeni i wyciągnął niewielkie aksamitne zawiniątko. Wysupłał z niego złoty trójkąt.

Jack wziął go i uważnie się przyjrzał. Na pierwszy rzut oka wyglądał identycznie, jak ten Sorensona, takie same linie i pismo.

- Z pewnością jest oryginalny - powiedział Gamasi. - Osobiście wszystkie trzy wyjąłem z kamienia Itamara, zanim włoscy koledzy odkryli pogrzebową kryptę.

- Proszę mi pomóc zrozumieć. - Jack oddał trójkąt Gamasiemu. - Odkrył pan kryptę Baala, zabrał trójkąty z kamienia Itamara, jeden zostawił dla siebie, a dwa sprzedał Claudonowi.

- Tak właśnie było. - Gamasi wstał. - Zorganizowałem również przeciek kilku tabliczek z Ebla na Zachód.

- Ze względu na pieniądze?

- Oczywiście - odpowiedział zniecierpliwiony. - Gdy rozkazano mi odsunięcie od prac moich włoskich kolegów, podjąłem stanowczą decyzję: nie mogę dłużej żyć w państwie policyjnym. Potrzebowałem pieniędzy, dużych pieniędzy, aby umieścić je na koncie w Szwajcarii. Chcę żyć w wolnym społeczeństwie, pracować na jakimś uniwersytecie. Zarabiam teraz osiemset dolarów na miesiąc, a moi skorumpowani zwierzchnicy mają miliony na kontach. Musiał nadejść czas, kiedy względy osobiste wzięły górę nad patriotyzmem. Mam nadzieję, że nie myśli pan o mnie źle.

- Ja nikogo nie oceniam. Ciekawi mnie tylko, jak poprowadził pan granicę między pragmatyzmem a honorem.

- Ho, ho, ho, panie Raines. Mamy za mało czasu, żeby wdawać się w filozoficzne rozważania i dyskusje o moralności. Muszę z panem załatwić pewną sprawę.

- Ale przedtem mam kilka pytań.

- Tylko szybko, proszę.

- Dlaczego został zamordowany Sorenson?
- Mogę tylko spekulować, że ktoś chciał mieć trójkąt.
- Claudon?
- Możliwe, ale bardziej prawdopodobne, że Hamilton.
- A może pańscy zwierzchnicy?
- Gdyby coś wiedzieli o sprawie, to owszem, mieliby motyw, aby odzyskać trójkąt.
- A Emory?
- Nie mam pojęcia. Tylko raz go widziałem na oczy.
- Dlaczego zginął Claudon?

- Ja go kazałem zabić - odpowiedział z zadziwiającą szczerością Gamasi. - Usiłował mnie szantażować. Mało mu było pieniędzy. Nalegał, żebym wciągnął go w przemyt tabliczek. Stawiał mnie w niezręcznej sytuacji.

- Czy Gabriella miała w tym także jakiś udział?

Gamasi pokręcił głową.

- Ona jest całkowicie oddana nauce. Pieniądze mogłyby dla niej nie istnieć.

Nagle otworzyły się drzwi i zajrzał Sudańczyk.

- *Al-an?* - zapytał.

- *Ihda ahar* - odpowiedział Gamasi spojrzawszy na zegarek.

Sudańczyk pokiwał głową i zamknął drzwi.

- Musimy od razu przejść do rzeczy, panie Raines. Mam konkretną propozycję. Pan ma kontakty z ważnymi osobistościami w Izraelu, zwłaszcza z generałem Zvi Barzani. Dam wam trójkąt w zamian za azyl polityczny.

- W Izraelu? - powtórzył z niedowierzaniem Jack. - Chyba pan żartuje.

- Przeciwnie. Nie ja pierwszy i nie ostatni. Arabscy oficjałowie często szukają schronienia w obozie wroga. Izrael to jedyne państwo, gdzie nie może mnie dosięgnąć zemsta Syryjczyków. Po jakimś czasie wyjadę do Zurychu albo Paryża. Generał Barzani jak nikt może mi w tym pomóc. A trójkąt, łącznie z tym, który jest w pańskim posiadaniu, niezwykle zawęzi poszukiwania w Megiddo. - Gamasi przerwał i patrzył przenikliwie ciemnymi, inteligentnymi oczami. - Proszę bardzo, jest pański. Oto mój wkład w poszukiwanie ostatniego słowa Jahwe. Proszę przedstawić moją propozycję generałowi Barzani.

Jack, gasząc papierosa, rozważał słowa Gamasiego. Ma niewiele do stracenia, a wartość drugiego trójkąta jest olbrzymia. Ukierunkuje poszukiwania i zmniejszy dystans do tablicy Mojżesza. A jeśli to Syryjczycy wykończyli Laurę, tekst z tablicy będzie gwoździem do ich trumny. Na zawsze stracą twarz u swych islamskich braci, a on dokona zemsty.

- Rozumie pan, że nie mogę mówić za Barzaniego ani za izraelski rząd.

- Oczywiście. Ja tylko proszę o interwencję. W jakim hotelu zatrzyma się pan w Izraelu?

- W Dan w Tiberias.

- W piątek rano zadzwonię do pana z Bejrutu.

- Z Bejrutu?

- Tak. Urządzamy tam ekspozycję syryjskich zabytków. W hotelu zostawię panu numer. Jeśli Barzani się zgodzi, proszę do mnie zadzwonić, a ja przedstawię panu moje, hm, plany podróży.

- Chce pan wjechać do Izraela z Libanu?

- Tak. Z Sidon nad morzem.

- Skąd mam być pewien, że pan nie zerwie umowy?

- Bo wy macie wszystkie atuty. Jeśli ja zawiodę, będziecie mogli mnie odesłać z powrotem, a wtedy jestem skończony.

Przez chwilę patrzyli na siebie.

- No to co, zgoda?

- Zgoda. - Jack skinął głową. - Jeśli oczywiście potwierdzi to Barzani i ja wyjdę stąd cało.

- Moi przyjaciele zadbają, aby bezpiecznie wrócił pan do hotelu. - Gamasi uśmiechnął się. - W bardziej kulturalny sposób niż przedtem.

Ruszyli w stronę drzwi.

- A właśnie - powiedział Gamasi - czytał pan dzisiejszą *International Herald Tribune*?

- Nie.

- Wygląda na to, że Lord Hamilton zginął w wypadku podczas polowania na swojej posiadłości.

Jack poczuł dreszcz na plecach.

- Chryste - szepnął. - Ostatni Mohikanin.

- Nie, panie Raines, ostatni trójkąt.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

Czekając na Jacka w wyludnionym hotelowym barze generał Zvi Barzani popijał piwo. Jego straż przyboczna z automatyczną bronią przewieszoną przez oparcia krzeseł siedziała przy stoliku.

Barzani spotkał się z Jackiem na lotnisku Ben Gurion. Podczas drogi na północ od Tiberias w przyjacielskiej pogawędce wspominali wspólnie spędzone chwile i cieszyli się, że znów mogli się spotkać.

Nerwowo stukał palcami w obity skórą blat. Obawiał się trochę powrotu do wykopalisk.

Jemeński barman spytał go o sytuację na Wzgórzach Golan, gdzie Syryjczycy z Izraelczykami potykali się na małym bezludnym skrawku ziemi. Generał wzruszył ramionami.

- Jest, jak jest - powiedział.

Barman zapytał o amerykańskie bombowce bojowe F-16.

- A co pana jeszcze interesuje? - zapytał chłodno Barzani.

- Artyleria.

- No to martw się pan o swoją przyłbicę.

Ciemnoskóry barman szybko przeszedł na drugi koniec baru i zajął się polerowaniem szklanek.

Wszedł Jack ubrany w dżinsy i przydzieloną mu przez Barzaniego wojskową kurtkę.

Generał uśmiechnął się.

- Do twarzy ci w tym, Jack. Może się zaciągniesz?

- Dziękuję, nie skorzystam.

- A ja nie będę miał ci tego za złe. Napijesz się?

- Koniak z lodem.

Barzani powiedział po hebrajsku, a barman nalał henessy.

Jack zauważył, że w ożywionych niegdyś oczach generała pojawiła się niebezpieczna pustka. Napił się brandy i powiedział:

- Gabriella mówiła mi o Nardzie i chłopcach. Trudno mi było w to uwierzyć. Tak mi przykro. Sam nie wiem co powiedzieć.

Barzani pokiwał głową i dosypał soli do piwa.

- Ja też składam ci kondolencje. Śmierć Laury jest w gruncie rzeczy tragiczniejsza niż moja strata. Narda i dzieci padły ofiarą wojny, a Laura... - Wzruszył ramionami. - Straszna, bezsensowna śmierć.

- No cóż, może mi się uda jakoś ją pomścić.

- Wiem, że tego pragniesz, potrafię to zrozumieć, ale pamiętaj, że masz jeszcze córkę. Musisz się nią opiekować. Ja, to co innego. Nie mam już nic do stracenia. - Zwrócił się do żołnierzy - *Anachnu hochim*.

Żołnierze o kamiennych twarzach zabrali karabiny i wyszli.

- Wypij, Jack, i jedziemy do naszej pięknej Włoszki.

*

Znad Jeziora Galilejskiego zawiął lekki wietrzyk, promienie wschodzącego słońca padały na Wzgórza Golan. Jeep pędził krętą drogą ciągnącą się wzdłuż biblijnego morza.

- Patrz, rekiny - powiedział Barzani.

Jack spojrzał na błyszczącą wodę i zauważył małe fale rozbijające się na piaszkowych wysepkach.

- Tu Chrystus chodził po wodzie.

- Skąd wiesz?

- Nie ma innego wyjaśnienia, chodził po tym piasku. A tam - Barzani wskazał oliwny gaj - w tym gaju jest Kafarnaum. Sześćdziesiąt lat przed naszą erą stała tam synagoga. Chrystus wygłosił w niej swoje pierwsze kazanie. A na tych wzgórzach za Kafarnaum jest Nazaret.

- Skąd tyle wiesz o Chrystusie?

- Przecież był naszym największym rabinem.

Jack uśmiechnął się.

- Jak postępują wykopaliska? - zapytał.

- Nieźle. Zgodnie z napisem na trójkącie szukamy świątyni Isztar. Gabriella i moi chłopcy są już na szóstym poziomie, trzynaście metrów poniżej stajni Salomona, kopią ku wschodowi. Wydobyliśmy mnóstwo przedmiotów: rzymskie monety, brązowe szczątki po egipskich rydwanach, pieczęcie Salomona, kanaanejską biżuterię. - Przerwał na chwilę, a w jego oczach pojawił się błysk. - Z jeszcze jednym trójkątem znaleźlibyśmy tablicę.

Jeep jechał krętą drogą u stóp góry Tabor.

- Mogę załatwić drugi trójkąt - powiedział Jack.

- Jak? - Barzani był zaskoczony.

Jack przedstawił propozycję Gamasięgo. Nie mówił, a generał nie pytał, skąd Gamasi ma trójkąt.

- Kiedy mam dać odpowiedź?

- Gamasi będzie dzwonił jutro rano.

- Czyli polityczny to skomplikowana sprawa, ale powiadomię cię wieczorem.

- Jakie są szanse?

- Potrzebujemy tego trójkąta. Zrobię, co w mojej mocy. A teraz opowiedz o Syrii.

- Wybierają się do Hajfy.

- A to ciekawe.

- Nie lekceważ tego. Widziałem kolumny nowych czołgów radzieckich T-72, śmigłowce bojowe, baterie pocisków SAM-5 i mnóstwo M-25.

- Gdzie widziałeś taki arsenał?

- Na północ od Damaszku.

- Na drodze do Aleppo?

- Tak... jakieś dwadzieścia pięć mil na południe od Ebla.

Generał pyknął cygarem, a wiatr porwał szary dym.

- No to dojdą do Hajfy - powiedział. - I dobrze. Zgotujemy im powitanie.

Skręcili w lewo i wjechali w cień rzucany przez górę Tabor.

- Oj, Jack, Jack - Barzani pokręcił głową - mijasz miejsce jednej z największych bitew i nawet nie spojrzysz.

- Gdzie?

- Tu. Góra Tabor. Trzy tysiące lat temu Debora, prorokini z Samarii, zebrała izraelskie plemiona. Przemawiała do nich jak generał Patton. Przeklinała je. Wyzwoliła w nich męstwo. Odwołała się do ich dawnych związków z Jahwe. Zjednoczyła je, poprowadziła na górę i odnieśli zwycięstwo. Dwudziestotrzyletnia dziewczyna dokonała czynu, który udało się powtórzyć dopiero Mao Tse Tungowi w Chinach.

Jeep skręcił ostro na zachód i znów wyjechali na słońce.

- To była ostatnia bitwa między Izraelitami a Kanaanitami. - ciągnął generał. - Wspomnienie tego zwycięstwa przez pięć pokoleń łączyło naród.

- A potem?

- Wojna domowa - Barzani wzruszył ramionami. - Izrael się rozpadł. Nadeszli najeźdźcy: Babilończycy, Asyryjczycy, Rzymianie, aż w końcu doszło do banicji. Ziemia Obiecana została utracona na dwadzieścia wieków.

- Uważaj, przyjacielu. Historia lubi się powtarzać.

- To prawda. Ale teraz na szczęście mamy Arabów. Oni czuwają nad naszą jednością.
- Ale ile wojen naród będzie jeszcze mógł znieść?
- Tyle, ile będzie potrzeba.

Zjechali na piaszczystą drogę, która wiodła pod górę do dwóch kopców łupanego granitu.

- Megiddo - powiedział generał. - Niegdyś wielkie miasto, a teraz stosy rozłupanych kamieni. Tak powiedział o nim Jeremiasz: *Będzie ona ostatnią wśród narodów, zeschną ziemią i stepem. Z powodu gniewu Jahwe pozostanie nie zamieszкана, stanie się prawdziwą pustynią.*

*

Zatrzymali się nie opodal ciemnego wejścia do ruin. Panujący dokoła ruch przypominał Jackowi plan filmowy: kuchnia polowa, generator prądu, reflektory, ludzie wykrzykujący angielskie i hebrajskie polecenia, jedni pracują, oczyszczając skorupy miotełkami z trawy, inni rozmawiają, popijają kawę.

Dwaj mężczyźni, salutując, podeszli do generała. Mówili coś po hebrajsku. Jeden z nich wręczył Barzaniemu latarkę.

- Chodź, Jack, poszukamy naszej przyjaciółki.

Gdy zeszedli uformowanymi z ziemi stopniami na czwarty poziom, powietrze stało się chłodne. Barzani oświetlił kilka brązowych kolumn, mających prawie dwa metry w obwodzie.

- Fragmenty wrót króla Salomona. Za tym tunelem znajduje się dziedziniec jego letniego pałacu.

Prześlizgnęli się wąskim przejściem podtrzymywanym drewnianymi stemplami.

- Teraz uważaj - powiedział Barzani i poświecił na stopnie. - To początek kolejnego poziomu. Trzydzieści dwa stopnie. Idź ostrożnie. Nie za szybko.

Znaleźli się w obszernej wapiennej komnacie. Zespół cieśli budował wsporniki, a elektrycy zakładali światło.

Jack spostrzegł trumnę, na wieku której była płaskorzeźba przedstawiająca ludzką głowę. Obok leżały porzucane statuetki bóstw z twarzami wykrzywionymi grymasem, jakby obawiały się dwudziestowiecznych światła.

- Jak dojdziemy do następnej komnaty, trzymaj się przy ścianie - polecił Barzani. - Ostatni poziom może być niebezpieczny, pod spodem są kanały. Ostrzegałem Gabriellę, ale ona zawsze musi postawić na swoim.

Barzani świecił po wilgotnych ścianach korytarza prowadzącego w stronę ciemnej

komnaty. Powietrze było zimne i miało dziwnie słodki zapach, jakby gdzieś został tu schowany krzew jaśminu. Z dołu dochodził dźwięk spływającej wody i czuło się lekkie drżenie podłogi.

Po drugiej stronie pomieszczenia Jack dostrzegł Gabriellę. Stała przy prześlicznie zdobionym brązowym ołtarzu i oczyszczała z ziemi złotą statuetkę przedstawiającą króla w stożkowej koronie. Po chwili cofnęła się i poprosiła asystenta o dodatkowe światła.

Nagle rozległ się rumor i posypał się piasek z wyższego poziomu. Komnata wypełniła się pyłem i kurzem. Hałas spowodował wstrząs i pod stopami Gabrielli rozwarła się ziemia. Krzyknęła i wpadła do jamy.

Jack rzucił się w stronę rozpadliny.

Barzani zdążył go złapać i przygnieść do ziemi.

- Nie ruszaj się! - rozkazał.

Leżeli w milczeniu, czekając na jakiegokolwiek odgłosy życia dochodzące z rozpadliny.

Powoli opadał pył i można było coś zobaczyć. Dało się słyszeć spływającą wodę.

- Teraz - powiedział Barzani.

Podnieśli się i ostrożnie ruszyli przed siebie. Barzani skierował do jamy światło latarki.

Gabriella stała po pas zanurzona w gęstym błocie.

- Nic mi nie jest - krzyknęła. - Tylko nie świećcie po oczach!

Barzani opuścił latarkę i zawołał po hebrajsku do obecnych:

- *Chevel sulam!*

Dwaj mężczyźni wyszli z komnaty.

Dopiero teraz Gabriella zauważyła Jacka.

- A... to ty - powiedziała zaskoczona. - Może byście mnie tak stąd wyciągnęli zanim utonę?

- Nie utoniesz - zażartował Barzani. - Jesteś w czepku urodzona. Nie tyle wpadłaś w błoto, co udało ci się osiągnąć erę brązu. A gdyby nie glina, poleciałabyś aż do ery kamienia łupanego.

Ludzie Barzaniego wrócili z liną i podali jeden koniec Gabrielli.

- Trzymaj się - powiedział Barzani. - Będziemy ciągnąć.

Grzęznąć w gęstym błocie udało jej się złapać linę i kurczowo zacisnęła dłonie. Mężczyźni pociągnęli i po chwili znalazła się na ich poziomie.

Wyglądała jak dziecko z buzią umazaną czekoladą.

- A nie mówiłem - zaczął Barzani.

Otarła glinę z twarzy.

- Nic mi się nie stało, dajmy temu spokój. - Wskazała na statuetkę króla. - Całe szczęście, że on nie poszedł w moje ślady. Patrzcie na jego narządy płciowe.

Rzeźba miała męskie genitalia i kobiece piersi.

- Oto klasyczny przypadek niezdecydowania - zaśmiał się Jack.

- Być może jest to najcenniejszy przedmiot, jaki tu znaleźliśmy. To symbol uwielbienia Isztar i jej pobratymca Pazuzu - dwu kanaanejskich demonów. Jesteśmy bardzo blisko świątyni opisanej na trójkącie.

- Być może - powiedział Barzani - ale w którym kopać kierunku? W zachodnim? Wschodnim? A może w dół?

Otarła twarz rękawem koszuli.

- Przydałby się jeszcze jeden trójkąt, ale mam przeczucie, że powinniśmy kopać na wschód, w stronę słońca. Kanaanejscy czcili słońce.

- Wystarczy już tych zgadywanek - oświadczył Barzani. - Naszemu amerykańskiemu przyjacielowi udało się znaleźć drugi trójkąt.

- Jak to? - otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia.

- Później ci opowiem - odparł Jack.

- W każdej chwili może się tu wszystko zawalić - ostrzegął Barzani. - Nie mam zamiaru skończyć w kanaanejskim błocie, więc może byśmy już stąd, do diabła, poszli.

- Pan przodem, panie generale - powiedziała.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

Czerwone słońce zawisło nad horyzontem jakby nie miało zamiaru kontynuować swej drogi. Żłociste promienie padały na powierzchnię morza. Młode Szwedki w kostiumach bikini opalały się na plaży, leniwie przeciągając się i wystawiając na działanie słońca. Kilka osób uprawiało jogging, inni pływali na deskach surfingowych.

Jack i Gabriella siedzieli przy kawiarnianym stoliku z widokiem na morze. Byli sami, ponieważ Barzani musiał wracać do Tel Awiwu. Jack opowiedział jej o spotkaniu z Gamasim i o śmierci Hamiltona.

Wyglądała na dziwnie niezainteresowaną i patrzyła na siedzących w pobliżu izraelskich żołnierzy. Mieli na sobie mundury ochronne i czerwone berety. Na oparciach krzeseł wisiały automatyczne karabiny Uzi. Byli w wyśmienitym humorze i głośno rozprawiali o opalających się Szwedkach.

Brak reakcji Gabrielli zaskoczył Jacka, dotknął jej dłoni.

- No i co o tym wszystkim sądzisz?

- Sama nie wiem, co powiedzieć. - Zmieszała się. - Staram się przyjąć do wiadomości fakt, że taki spokojny, kulturalny człowiek jak Gamasi może okradać swój kraj z dzieł sztuki i wydać na kogoś wyrok.

- Potrzebował pieniędzy. Claudon go szantażował, a morderstwo to tradycyjny sposób obrony przed szantażem.

- Czy ty wiesz, co mówisz? Przecież chcesz usprawiedliwić morderstwo.

- Niczego nie chcę usprawiedliwiać. Ale długo już jestem gliniarzem i widziałem dojrzałych, spokojnych ludzi z pewnym życiowym dorobkiem, których szantaż doprowadził na skraj rozpacz. Claudon posunął się za daleko.

- Być może, ale kimkolwiek był, zasługiwał na lepszy los. Nie wspomnę już o tej dziewczynie, która zginęła razem z nim.

- To już inna para kaloszy. prostytutka ryzykuje życiem za każdym razem, gdy puka do drzwi.

- Tak nie można, Jack. Nie można tak lekko traktować zabójstwa.

- Wcale nie mam takiego zamiaru - odpowiedział z nutką zniecierpliwienia. - Claudon wdał się w sprawy, które doprowadziły go do śmierci. Nic już na to nie można poradzić.

Gamasi ma coś, czego potrzebujemy, więc zawarłem z nim układ.

- Wszystko rozumiem - westchnęła. - Na wiele rzeczy można przymknąć oczy, aby osiągnąć cel, ale trochę mnie to wszystko przeraża.

- Z tym już sama musisz sobie poradzić.

- Już sobie poradziłam, ale coś mnie jeszcze mierzi. Ten egoizm, który wcale mi się nie podoba. - Zawahała się. - Pierwszy raz mi się to zdarza.

- Jeśli chcesz zostać świętą, wybrałaś zły zawód. A teraz daj spokój i nie myśl już o tym.

Popatrzyła na żołnierzy. Na migi i łamaną angielszczyzną flirtowali ze Szwedkami, które wróciły z plaży.

Z głośników dolatywała piosenka Charlesa Aznavoura.

- Możesz mi dać papierosa? - poprosiła Gabriella.

Jack wyjął jednego z paczki, zapalił osłaniając przed wiatrem i podał jej. Zaciągnęła się głęboko i dziwnie na niego popatrzyła.

- O co chodzi? - zapytał.

- Ach, sama nie wiem. Chyba bym trochę chciała, żeby Barzani nie dostał zgody. W tej chwili nie ma niebezpieczniejszego miejsca niż Liban. Może pakujesz się w jakąś zasadzkę.

- Jeśli mnie się coś przydarzy, Gamasi jest również skończony.

- I co ci po tym?

- Słuchaj, rozumiem, że istnieje pewne ryzyko, ale mówimy o inteligentnym, pragmatycznym człowieku. Dlaczego miałby wystawiać się na niebezpieczeństwo po tylu latach planowania akcji?

- Gamasi może być tylko przynętą - powiedziała. - Z tego co mówiłeś, syryjski wywiad cały czas go obserwował.

- Zostawmy te rozważania na odpowiedni czas. Jeszcze nie wiemy, czy Gamasi dostanie azyl.

- Ciekawe dlaczego Hamilton dał mi fundusze na wykopaliska, a zataił trójkąt.

- Może uznał go za polisę na życie, a może chciał go ujawnić w jakimś szczególnym momencie? - Dolał wina do kieliszków. - Wiesz, że ze śmiercią Hamiltona wyłączne prawo do tablicy Mojżesza dostało Metropolitan. Ettinger na pewno się cieszy.

- Myślisz, że to Syryjczycy zamordowali Hamiltona?

- Nie jestem pewien, czy został zamordowany. To mógł być wypadek na polowaniu.

- Sam w to nie wierzysz.

- Fakt. Ale nie mogę tego wykluczać. Czasami wyszukuje się w śledztwie bardzo skomplikowanych motywów, a okazuje się, że rozwiązanie jest bajecznie proste.

Nagle rozległy się dwa potężne huki. Żołnierze pokazywali Szwedkom białe smugi na niebie.

- Odrzutowiec przekracza barierę dźwięku - powiedział Jack. - Może leci na misję do Libanu.

- Niewiarygodne - westchnęła Gabriella. - Nigdy nie przestaną się bić.

Rozległ się jeszcze jeden huk. Odruchowo popatrzyli w niebo.

- F-16 - powiedział ze znanstwem Barzani. - Wydają zupełnie inny dźwięk niż F-4.

Podszedł bliżej i położył dłoń na ramieniu Jacka.

- Załatwione. Izrael udzieli politycznego azylu doktorowi Gamasi. Możesz go przywozić. - Barzani nalał sobie wina i popatrzył na Gabriellę. - A ty, moja piękna, będziesz miała drugi trójkąt - dwie trzecie układanki.

Zmieniła się muzyka i słychać było teraz smutną hebrajską balladę. Jack zauważył, że nawet żołnierze nagle zamilkli i wsłuchali się w słowa piosenki.

- O czym to jest? - zapytał.

- O miłości - odparła Gabriella.

- Tylko pozornie - powiedział Barzani. - Tłumaczysz tekst dosłownie, Gabriello, i zapominasz o podtekście. To piosenka polityczna. Opowiada o ostatnim spotkaniu kochanków. Chłopiec ginie na patrolu w Libanie, a dziewczyna pyta dlaczego.

Słuchali przez chwilę w milczeniu.

- Włoskie piosenki nigdy nie są polityczne - odezwała się Gabriella. - Zawsze mówią o beznadziejnym romansie.

- Szkoda, że nie nasze - powiedział Barzani. - Tani sentymentalizm jest oznaką stabilizacji narodu. A tak na marginesie: nigdy nie zapraszaliście mnie do Rzymu.

- Nieprawda. Latem Sabitini wysłał ci oficjalne zaproszenie.

- To się nie liczy. Latem była wojna.

- Tu zawsze jest wojna - powiedziała smutno.

Jack zauważył między nimi cień melancholijnego porozumienia. Bez wątplenia był oznaką jakichś wspólnych przeżyć.

- Ech, do diabła z tym wszystkim. Patrzcie na morze. Szwedzkie dziewczyny. O, i moi chłopcy. Gabriello, pamiętasz tę kawiarnię?

Skinęła głową.

- Przyszliśmy tu uczcić odkrycie stajni króla Salomona w Megiddo. Zachód był taki

sam, tylko dziewczyny były Niemkami, a muzyka amerykańska - powiedział z nostalgią.

*

Na czarnym niebie księżyc w pełni świecił jak złowieszcze oko Cyklopa. Jezioro Galilejskie migotało w jego poświęceniu, od strony Wzgórz Golan wiał chłodny wiatr niosący ze sobą odgłosy niesamowitych zawodzeń.

- Cicho - szepnęła Gabriella. - Słyszysz to?

Stali na balkonie jej apartamentu.

Wycie stopniowo się zbliżało.

- Co to jest? - zapytał Jack.

- Szakale. Polują w nocy. Kiedyś podeszły pod sam obóz w Ebla. Jeden Beduin zastawił na nie sieci. Pewnej nocy szakal złapał się za łapę. Miał oczy pełne szaleństwa, położone uszy, a i tak zachowywał się godnie. Chciał sobie amputować łapę, żeby się uwolnić. Godzinami słyhać było zawodzenia całej sfery. Podchodziły blisko obozu. Widzieliśmy, jak krążą, węższą. Nie mogłam tego znieść. Poszłam po Beduina i prosiłam, żeby zlitował się nad zwierzęciem i zabił je. Odmówił.

- Dlaczego?

- Twierdził, że śmierć szakala bez cierpienia się nie liczy.

Zadrżała lekko od chłodu i powiedziała:

- Chodźmy do środka.

Na skali radia wyszukała radiostację nadającą muzykę klasyczną.

- Może być? - zapytała.

- Tak.

- Jak chcesz, mogę zmienić.

- Nie, nie musisz! - zdenerwował się.

- O co ci chodzi?

- O nic, nie chodzi mi o nic.

Wiedziała, co go trapi i postanowiła to wyjaśnić.

- Opowiem ci o Barzanim i o mnie.

- To nie moja sprawa.

- Przed Rzymem może i nie, ale teraz tak. W październiku 1973 roku, na żydowskie święto pokuty, Syryjczycy i Egipcjanie zaatakowali Izrael. Zostały wstrzymane wykopaliska w Megiddo. Nas, Włochów, wysłano do tego hotelu. Generał wyjechał na front Golan. Był w oddziale izraelskim, który miał powstrzymać atak Syryjczyków. Drugiej nocy bitwy przyszedł do mojego pokoju w mundurze poplamionym krwią. Pachniał prochem i ocierał się

o śmierć. Kochaliśmy się wtedy. My... przynajmniej tak mi się wtedy zdawało - zawahała się - próbowaliśmy śmierci. To było smutne i straszliwie puste. Tak jak śmierć szakala nie miało żadnego znaczenia.

- Przykro mi - objął ją ramieniem i szepnął: - Przykro mi za was oboje.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY

Jack szedł do swojego pokoju słabo oświetlonym korytarzem około wpół do ósmej rano. Doszedł do drzwi i już miał wkładać klucz, gdy ze środka dotarł do niego jakiś szmer. Bardzo cichy. Niemal niesłyszalny. Przyłożył ucho do drzwi, nasłuchiwał chwilę, ale dźwięk się nie powtórzył.

Wszedł do pokoju. Oślepiły go wpadające do środka promienie porannego słońca. Rzucił marynarkę na łóżko, rozejrzał się i zamarł w bezruchu. Poczł nagły przypływ adrenaliny. Próbował złapać oddech. Serce waliło mu jak młot. Czuł, że włosy stają mu dęba.

W skórzanym fotelu, wygodnie, z nogą na nodze, uśmiechając się tajemniczo siedział doktor Martin Sorenson.

- Cześć, Jack - Sorenson wstał z fotela. - To tylko ja. Nie chciałem cię przestraszyć, ale przecież nie mogłem ot tak po prostu podejść do ciebie w zatłoczonym holu.

Jack nadal nic nie mówił. Nie mógł oderwać od Sorensona oczu.

- Widzisz, to tylko ja. Nie jestem żadnym duchem - ciągnął. - Okoliczności zmusiły mnie do symulowania śmierci, aby pozostać przy życiu. Dla dobra operacji „Rosemark” musiałem udać trupa.

Sorenson przechadzał się po pokoju.

- Wybrałem człowieka, który przypominał mnie fizycznie - zważając na rozmiary, wiek, kolor oczu, włosów, odcień skóry i tak dalej. Trzymałem trupa w chłodni na pokładzie.

Zatrzymał się i podniósł w zadumie wzrok, jakby przenosił się w przeszłość.

- W moim kompleksie szpitalnym znajdował się oddział stomatologiczny. Jak mój dentysta poszedł na emeryturę, nadarzyła się okazja, aby podrzucić kartę denata na miejsce mojej. - Mówił takim tonem, jakby zwracał się do siebie. - Gdy opuściłem mój jacht, samotnie popłynąłem w stronę Point Dume.

Znów przerwał i zaczął szukać po kieszeniach papierosów. Jack patrzył na niego z lękiem w oczach. Sorenson zaciągnął się głęboko papierosem, a dopływ nikotyny najwyraźniej pomógł mu się wysłowić.

- Na morzu było jeszcze widno. Wyciągnąłem zwłoki na pokład. Chcąc mieć pewność, że dolne zęby nie zostaną rozpoznane, strzeliłem raz w ucho. - Uśmiechnął się z lekką arogancją. - Takie sobie ubezpieczenie. Zostawiłem łuskę w nadziei, że specjaliści od

balistyki rozpoznają radziecki automat i zaczną podejrzewać KGB. Potem poćwiartowałem ciało, powiesiłem na szyi medalik ze świętym Krzysztofem i wyrzuciłem je za burtę. Zraniłem się w nogę, aby poplamić pokład własną krwią. Podniosłem kotwicę i na pontonie z silnikiem popłynąłem do plaży. Ukryłem się i śledząc doniesienia prasowe, cierpliwie czekałem, aż koroner... - przerwał. - Jak on się nazywa?

- Torres - odparł Jack.

- Właśnie, Torres. Aż oficjalnie potwierdzi mój zgon.

- Teraz to już nie ma znaczenia - wtrącił Jack - ale Torres nie był na sto procent pewien twojej śmierci.

- Czyżby?

- Tak. A ja trochę ci pomogłem. Torres robił sekcję całą noc. Był bardzo zmęczony, a ja go poganiałem. Miał wątpliwości, ale mnie się spieszyło.

- Jakie wątpliwości?

- Sugerował, że ciało mógł poćwiartować człowiek, niekoniecznie drapieżnik. Mówił też, że jak na tak długi pobyt w wodzie za dobrze przechowały się tkanki. Tłumaczył to temperaturą wody i zasoleniem.

- Nieźle - przyznał Sorenson. - Nie masz czegoś do picia?

- W górnej szufladzie biurka.

Sorenson nalał sobie sporą porcję szkockiej whisky.

- Też chcesz?

- Nie, dziękuję.

- Nie masz w zwyczaju odmawiać drinka.

- Skończmy z tymi pogaduszkami! Zjawiasz się u mnie niespodziewanie, więc chyba należy mi się parę wyjaśnień!

- Hola, hola, Jack. Rozumiem, że to wstrząs, ale jesteśmy sześć tysięcy mil od obszaru, na którym masz prawo wydawać polecenia. Ponieważ mamy wspólne interesy, z przyjemnością odpowiem na kilka pytań. Od czego chcesz zacząć?

- Od Laury.

- Zamordowali ją zawodowcy wynajęci przez Hamiltona do spółki z syryjskim wywiadem. Szukali trójkąta, a Laura im przeszkodziła. - Sorenson usiadł na brzegu stołu i ze spokojem gasił papierosa. - Gdy Hamilton dowiedział się o znaczeniu trójkąta, wszedł w układ z syryjskimi władzami. W gruncie rzeczy zgodził się zostać agentem.

- Agentem?

- No, może nie dosłownie, ale oddaje sedno sprawy.

- Co cię upewniło, że Hamilton ma powiązania z Syryjczykami?

- Morderstwo Laury.

Jack popatrzył w niebieskie oczy doktora.

- Zdziwiasz mnie.

- Niedługo po tym, jak dostałem trójkąt, pokazałem go Emory. Był zafascynowany napisami i nalegał, aby zawiadomić Hamiltona. Mówił, że Lord jest w dobrych stosunkach z Gamasim i może uda nam się jeszcze jedna transakcja. Zaskoczyło mnie jego zainteresowanie i zapytałem, co wie na temat trójkąta. Zaczął mnie zbywać. Przypuszczalnie właśnie wtedy słyszała nas pani Emory. W każdym razie minęły tygodnie, zostałem wezwany do Waszyngtonu i zapomniałem o całej sprawie. Ale po morderstwie Laury byłem pewien, że zdradził mnie Emory.

- Skąd ta pewność?

- Wiedział, że mam w domu sejf. Obydwaj zamawialiśmy w tej samej firmie. Miał w Palm Springs podobny. Zabójcy Laury szukając sejfu musieli opierać się na informacji Emory. Laura weszła im w drogę i zabili ją.

- Dlaczego nie powiedziałeś mi, gdy o to pytałem?

- Nie miałem żadnych dowodów. Poza tym posiadałem trójkąt nielegalnie. Zostawało tylko jedno wyjście - udać swoją śmierć i pomścić Laurę.

Jack pokiwał głową.

- W nocy, kiedy zamordowano doktora Emory, po dziesiątej dzwoniłeś do Gabrielli z lotniska w Santa Monica na koszt rezydencji Bel Air i poleciałeś swoim odrzutowcem do Palm Springs. To tylko dwadzieścia minut lotu.

- Nieźle, Jack - Sorenson się uśmiechnął.

- Około północy spotkałeś się z Emory. Powiedziałeś, że się namyśliłeś i chciałbyś porozmawiać o transakcji z Hamiltonem. Była bardzo miła, przyjacielska atmosfera, więc łatwo nadarzyła się okazja, żeby dodać do drinka Inderalu i zabić Emory.

- Pomścić śmierć Laury.

- Oczywiście - odpowiedział sarkastycznie Jack. - Hamiltona także ty wykończyłeś, prawda?

- Należało mu się - odparł spokojnie. - Pomijając to, że był odpowiedzialny za śmierć Laury, to wynajął jeszcze morderców, żeby zabić ciebie. Sprzątnąłem ich. Wszystkich trzech. Zaskoczyłeś mnie, Jack. Nie myślałem, że jesteś romantyczny. To było takie bez troskie - przejazdka dorożką. Zdziwiasz mnie, przyjacielu.

- Powinienem się domyślić - powiedział Jack. - Niemiecki bagnet był pamiątką po

twojej działalności w OSS podczas drugiej wojny.

- Uważam, że wykonałem dobrą robotę.

- W jaki sposób trafiłeś za mną do Nowego Jorku?

- Zanim zniknąłem, zadzwoniłem do Sabitiniego i powiedziałem mu, że chcę się skontaktować z Gabriellą w sprawie inwestycji w Megiddo. Profesor powiedział, że Gabriella właśnie odleciała do Nowego Jorku i zatrzymała się w hotelu „Plaza”. Już miałem do niej zadzwonić, gdy pojawiłeś się ty. Miałeś trójkąt i właściwie zastąpiłeś mnie.

- Skąd wiedziałeś, że mam trójkąt?

- Na dzień przed odlotem do Nowego Jorku pojechałem do Bel Air i zastałem pusty sejf. Jedynym człowiekiem, który wiedział dokładnie, gdzie jest sejf, był szef firmy budowlanej. Zadzwoniłem do O’Neila, podałem się za swojego prawnika, powiedziałem, że dokumenty wskazują na istnienie pewnych przedmiotów przechowywanych w sejfie, a sejf zastałem pusty. O’Neil wszystko mi powiedział.

Jack podszedł do biurka i nalał whisky do filiżanki po kawie. Napił się i starał się uporządkować myśli. Wstrząs, jakiego doznał na widok żywego Sorensona, jeszcze nie minął, tak samo jak zaskoczenie na wiadomość o jego zemście. Może Sorenson był szalony, nawet psychicznie chory, ale na wszystko miał logiczną odpowiedź.

- Powiedz mi, Martinie, co Hamilton miał do zaoferowania Syryjczykom?

- Myślałem, że to oczywiste.

- Nie rozśmieszaj mnie.

- Hamilton dawał im wszystko. Grę i zawodników. Trzy trójkąty z Ebla są najważniejszą wskazówką do odnalezienia tablicy z ostatnimi słowami Boga. Wypisany na niej tekst świadczy o izraelskim pochodzeniu Syryjczyków. Taka sensacja może narobić im więcej szkód niż najcięższa bitwa. - Sorenson napił się whisky. - Wiadomo, że tablica znajduje się w Megiddo - miejscu niedostępnym dla Syryjczyków. Hamilton powiedział im, kto ma trójkąty i zaoferował swe usługi. Miał dostęp, jak mówił, do samego sedna sprawy.

- Czemu Syryjczycy po prostu nie odzyskali wszystkich trójkątów?

- To nie takie proste. Pamiętaj, że ani ja, ani Hamilton, ani Gamasi nie nosiliśmy trójkątów przy sobie. A skąd mogli wiedzieć, że, jeśli któregoś z nas spotka nagła śmierć, nie okaże się, iż trójkąt na mocy prawnego zapisu ma trafić do Izraela? Poza tym nawet bez tych trójkątów izraelscy archeolodzy za pięć, dziesięć lat mogli natrafić na tablicę. Nie, pewniejsze było zawarcie układu z Hamiltonem. Niewiele ich to kosztowało. Musieli tylko wydać trochę pieniędzy i wynająć mordercę.

- A co miał z tego mieć Hamilton?

- W interesie Syryjczyków jest, aby tablica Mojżesza nie ujrzała światła dziennego. Hamilton mógł finansować wykopaliska i zapewniać prawo do wystaw, ale miał zlikwidować tę część tekstu, która dotyczyła pochodzenia Syryjczyków. Stałby się właścicielem jedyne­go w swoim rodzaju eksponatu.

Sorenson podszedł do okna, promienie podświetlały jego profil.

- Mógłby trzymać tablicę w swojej samotni, gdzie i tak miał unikalne, zbierane przez lata przedmioty. Miałby pokój z ostatnimi słowami Boga. Mógłby je dotykać, czuć pod swymi palcami. A po jego śmierci tablica byłaby eksponowana z napisem: „Ostatnie słowa Boga przekazane ludzkości przez Lorda Anthony Hamiltona”. To prawie nieśmiertelność.

- A co z Gamasim?

- On się nie liczy. Jest usidlony w Damaszku. Syryjczycy mogą z nim pertraktować, kiedy im się tylko zachce. - Sorenson odwrócił się do Jacka. - Jak widzisz, układ z Hamiltonem był jedynym wyjściem.

- I doszło do niego w czerwcu?

Sorenson przytaknął.

- Jakiś tydzień, może więcej po tym, jak otrzymaliśmy trójkąt.

- Dlatego jechałeś w lipcu do Damaszku?

- Nie, nie, wtedy jeszcze nie wiedziałem o związkach Hamiltona z Syryjczykami.

- Po co więc ta podróż?

- Nic ważnego. Apelowalem do władz syryjskich o ponowne prowadzenie wykopalisk w Ebla. Wysłuchali mnie.

- I oczywiście zapłaciłeś Claudonowi ćwierć miliona.

- Widzę, że odrobiłeś swoje lekcje.

- Zaskoczy cię, jeśli ci powiem, że Hamilton za taką samą rzecz zapłacił sto tysięcy?

- Ani trochę. Claudon ustalał taryfę, jak mu się podobało. Uznałem, że trójkąt jest wart nie mniej niż pół miliona. - Przerwał i uśmiechnął się. - Coś cię jeszcze trapi, Jack?

- Nie, już nic.

- To dobrze. - Sorenson sięgnął do kieszeni i położył trójkąt na stole. - Hamilton już nie będzie tego potrzebował. Powinieneś oddać to Gabrielli. Niech go odszyfruje. - Jego głos nabrał pewnego patosu. - Nigdy nie zrozumiesz, jakie to ma dla mnie znaczenie. Odkrycie tablicy Mojżesza i poznanie słów Boga będzie moim życiowym sukcesem.

- To dziwne - powiedział Jack. - Hamilton mówił mi prawie to samo.

Nagle zadzwonił telefon. Jack odszedł od stołu i podniósł słuchawkę.

- Tak?

- Pan Raines?
- Przy telefonie.
- Tu centrala. Telefon do pana od doktora Gamasi.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY

Ze wznoszącego się ponad górą Karmel śmigłowca widać było Hajfę jak na dłoni. Skalki w kolorach pastelowych wylaniały się z zalesionych wzgórz schodzących do morza. Zapadał zmierzch i miasto zaczynało mienić się światłami.

- Wygląda jak San Francisco! - krzyknął Jack, zagłuszając hałas silnika.

- Chciałeś powiedzieć, że San Francisco wygląda tak jak Hajfa - odpowiedział generał.

Pilot wysłuchał komunikatu od kontroli naziemnej, lekko pociągnął drążek sterowniczy, puścił lewy pedał i maszyna skręciła ostro na zachód, kierując się w stronę lotniska. Przelecieli nad zakamuflowaną rafinerią i znaleźli się na przybrzeżnym lądowisku wyznaczonym zielonymi światłami. Pilot ustawił maszynę w środku okrągłego pola i ostrzegł, by po wyjściu nie kierowali się do przodu. Ostrożnie, schylając głowy, Barzani i Jack zeszli z lądowiska.

Oficer marynarki zasalutował Barzaniemu i wymienili krótkie meldunki po hebrajsku, a następnie uścisnął dłoń Jackowi i odprowadził ich na długie nabrzeże. Na redzie aż roiło się od okrętów wojennych, a powietrze cuchnęło słoną wodą i paliwem. Stado mew skrzeczało żebrząc o jedzenie, brudny pies szczekał z pokładu łodzi podwodnej na siedzącego opodal pelikana. Minęli groźnie wyglądający okręt z pociskami i skomplikowanym wyposażeniem elektronicznym.

Oficer wskazał im przycumowany stary kuter rybacki. Farba na kadłubie wyblakła i odpadała płatami. Po obu stronach burty miał przywieszzone rybackie sieci, a przy samym dziobie widniał napis - „Galia”. Na maszcie powiewała biało-złota flaga Cypru. Na rufie i dziobie stały przykryte ciężkim brezentem działa. Ponad masztem Jack zauważył radary przypominające pajęczyny.

Potężny, brodaty mężczyzna pokiwał im z mostku i, zanim zszedł na pomost, wydał kilka poleceń.

Barzani ucieszył się na jego widok.

- To kapitan Mattiyahu. Możesz go nazywać Matty. Mówi dobrze po angielsku, a jego dialekt marynarski jest wręcz wspaniały. Pomijając trampki, dzinsy i poszarpany sweter, jest komandorem izraelskiej marynarki - przedstawił go Jackowi.

- Bardzo mi miło, panie Raines - powiedział brodac. Uścisnęli sobie dłonie i kapitan rzekł do oficera: - Wszystko gotowe, może pan odejść.

- Mamy przyływ z prawej burty. - Dowódca kutra zwrócił się do Barzaniego. - Będzie nam się dobrze płynęło. Proszę na pokład, panie Raines.

Barzani położył dłoń na ramieniu Jacka.

- Ten kuter nadaje się nie tylko do pływania. Jest przeznaczony do prowadzenia badań i obserwacji. Napędzają go dwa silniki mercedesa, wyposażony jest w system radarowy. Ty jesteś oficjalnie amerykańskim turystą, który wynajął łódź do głębinowych połowów. Jak coś będzie nie tak, zdaj się na rozkazy Matty'ego. On jest szefem. Zrozumiano?

- Zrozumiano.

- Teraz jest siódma, powinniście wrócić około pierwszej w nocy. Będę czekał.

- Posłuchaj, Zvi. Upewnij się, czy twoi ludzie dobrze pilnują Gabrielli. Nie chcę, żeby zostawała sama z Sorensonem.

- Przed jej pokojem czuwają dwaj moi ludzie. Zostaną przy niej aż do momentu odczytania inskrypcji na trójkącie. Co mam powiedzieć Amerykanom, jak nie wrócisz?

- Powiedz, że połknął mnie wieloryb. - Jack uśmiechnął się. - Skoro Jonaszowi mogło się to przytrafić...

*

Mknęli po spokojnym morzu. Niebo stopniowo ciemniało, precyzyjnie jak światła w teatrze na moment przed podniesieniem kurtyny. Jack stał na mostku. Chłodne nocne powietrze, falujące morze i żywo rozwijająca się akcja powodowały, że poddawał się chwili, ale szybko wrócił myślami do Sorensona.

Wstrząsnął nim kliniczny opis zamrożenia i poćwiartowania anonimowych zwłok. Sorenson opowiadał z mrozącą krew w żyłach arogancją, jakby miał prawo do zabicia pięciu osób. Jack po raz kolejny przekonał się, że przy zbiorowych morderstwach zawsze ma się do czynienia ze zdemoralizowanym choć inteligentnym zabójcą. Jednakże wyjaśnienie postępowania doktora Emory oraz układu między Syryjczykami i Hamiltonem zadziwiła doskonałą logiką.

Jack zasłonił płomień zapalki dłońmi i zapalił papierosa. Zaciągnął się głęboko i pokręcił z niezadowoleniem głową. Wersja przedstawiona przez Sorensona była niewątpliwie spójna i konsekwentna, jednak czuł instynktownie, choć nie potrafił tego zdefiniować, że gdzieś musi tkwić jakiś haczyk.

- Panie Raines!

Jack usłyszał głos kapitana i odwrócił głowę.

- Proszę do środka. Zbliżamy się do Palmyra Cove.

*

Pomieszczenie sterowni, wyposażone w nowoczesne urządzenia elektroniczne, trudno było uznać za komfortowe, ze względu na ograniczoną przestrzeń. Nawigator stał wpatrzony w żyrokompas. Łącznościowcy mieli twarze skąpane w zielonym świetle padającym z ekranów.

- Mamy mało miejsca - powiedział kapitan - ale jakoś udaje nam się nie wchodzić sobie w paradę. Proszę spojrzeć tutaj.

Stanęli obok mężczyzny śledzącego zieloną linię krążącą po ekranie. Po przejściu linii na krótką chwilę zostawały podświetlone zielone pola.

- Te plamy oznaczają wybrzeże przy Sidon - wyjaśnił kapitan. - Płyniemy niemal równoległe do niego.

- Jak daleko jesteśmy od celu?

- Dwie i pół mili w linii prostej. Umie pan odczytywać mapy morskie?

- Mam kłopoty z tymi znaczkami.

- Chodźmy - kapitan uśmiechnął się - objaśnię panu naszą pozycję.

Podeszli do szyby ze szczegółowym planem libańskiego wybrzeża.

- Jesteśmy tutaj - powiedział, przykładając do mapy czerwony pisak. - Zgodnie z tym, co pan mówił, Gamasi będzie nadawał sygnały z Palmyra Cove, czyli tutaj. Znam to miejsce. W czerwcu osiemdziesiątego drugiego zrzuciliśmy tam pięć platform z komandosami. To dość puste wybrzeże - same palmy i fenickie ruiny.

Wziął dwie lornetki z noktowizorami, postawił kołnierz kurtki i dodał:

- Chodźmy na bocianie gniazdo.

Dokładnie zlustrował wybrzeże i zapytał o godzinę.

- Dziesiąta czterdzieści trzy.

- Mniej więcej za dziesięć minut powinniśmy odebrać pierwsze sygnały.

- Tak mówił Gamasi.

- Będzie nadawał SOS?

- Tak.

- Podpłyniemy na odległość pięciuset metrów, zatrzymamy silniki i poczekamy. Trochę obawiam się Syryjczyków.

Wziął tubę i wydał kilka rozkazów po hebrajsku. Przednie i tylne działa zostały odsłonięte.

- To aż tak niebezpieczna operacja?

Kapitan poglądził brodę i wzruszył ramionami.

- Syryjczycy mają tu gdzieś niedaleko szybkie radzieckie okręty. Z tego co pan mówił, Gamasio ktoś może śledzić albo zdradzić. Nigdy nic nie wiadomo. Musimy być przygotowani na najgorsze.

Spojrzał na wybrzeże i wydał rozkazy do siłowni. Kilka sekund później, gdy dwie śruby zwiększyły obroty, pokład drgnął i kuter gwałtownie się przechylił.

Kapitan znów spojrzał na wybrzeże.

- Palmyra Cove, proszę spojrzeć.

Jack przyłożył lornetkę do oczu i zobaczył porośniętą palmami plażę.

Kapitan rozkazał sternikowi zmienić kurs i zredukować prędkość do pięciu węzłów. Silniki ucichły i zgasło zielone światło lokalizujące płynącą łódź. Kuter kołysał się na falach. Chmury nagle zasłoniły księżyc i zapadła ciemność.

- Miejmy nadzieję, że natura nadal będzie po naszej stronie - powiedział cicho kapitan.

- Im ciemniej, tym lepiej.

Stali obok siebie i obserwowali przez lornetki wybrzeże. Stwierdzili, że minął czas podany przez Gamasio. Minuty wlokły się niemiłosiernie. Księżyc wyrzwał zza chmur i zrobiło się niebezpiecznie jasno. Kapitan zaklął po hebrajsku, odłożył lornetkę i spojrzał na zegarek.

- Jedenasta pięć. Gdzie ten pański Syryjczyk?

- Ma dopiero piętnaście minut spóźnienia.

- Przy takiej akcji kwadrans może zadecydować o życiu. Czekam jeszcze pięć minut, a potem wracamy do Hajfy.

- Pan tu jest szefem.

- Przykro mi, ale to...

- Proszę spojrzeć! - krzyknął Jack.

Kapitan przyłożył lornetkę do oczu. Od strony Palmyra Cove mrugało do nich czerwone światło - trzy sygnały krótkie, trzy długie i trzy krótkie. Kapitan szybko podszedł do sygnalizatora i wysłał odpowiedź. Potem chwycił za tubę i wydał szereg rozkazów. Silniki zaczęły pracować, a kuter ruszył powoli w stronę brzegu.

Na odkrytej łódce stał doktor Amin Gamasi. Libański rybak siedział przy sterze.

Gamasi jeszcze raz sprawdził, czy niczego nie zapomniał. W kieszeni kurtki miał trójkąt razem z paszportem. W notesie zapisany numer szwajcarskiego konta. Do pasa przywiązana torba z piętnastoma tysiącami dolarów.

Odległość między łódką a kutrem malała z każdą chwilą. Kapitan rozkazał zmniejszyć

prędkość i wystawić za burtę drabinę.

Ciemne chmury znów zasłoniły księżyc.

- Zdaje się, że los nam sprzyja, panie Raines.

Jack obserwował zbliżające się światelko przytwierdzone do łódki.

Otworzyły się drzwi kabiny nawigacyjnej i łącznościowiec powiedział coś po hebrajsku. Kapitan prędko ruszył w jego stronę.

Jack wyraźnie widział twarz Gamasiego i libańskiego rybaka.

Wrócił kapitan i skierował lornetkę na północ.

- O co chodzi? - zapytał Jack.

- Radar wyłapał płynący w naszą stronę statek. Jakies sześćset metrów stąd.

Opuścił lornetkę i wydał rozkazy strzelcom, którzy ustawiali działą zgodnie z odczytami z radaru.

- Proszę zejść na pokład! - polecił kapitan. - Jak dopłyniemy do łódki, wyciągniemy Gamasiego.

Jack zszedł na dół i stanął obok marynarza z bosakiem. Czerwone światelko łódki znajdowało się nie dalej niż sto metrów od nich. Wydawało mu się, że słyszy terkot silnika.

- Syryjski okręt. Duży. Silny - krzyczał młody izraelski marynarz.

Mała łódka zbliżała się powoli, była już niecałe dwadzieścia metrów od kutra.

- Gamasi! - krzyknął Jack.

- Tutaj! - Postać z łódki dała znak ręką. - Trochę późno, ale jestem!

Usłyszeli potężny huk zbliżających się silników.

Marynarz przyciągnął bosakiem łódkę, a rybak wykazał się wiedzą i ustawił ją równolegle do burty kutra.

Nagle oślepił ich błysk. Działą dziobowe otworzyło ogień i w stronę światel nadpływającego okrętu posypał się grad kul.

Kapitan wciągnął z powrotem drabinę i podał Jackowi hełm.

- Niech pan to włoży!

Słychać było strzały z karabinu maszynowego. Przybiegł sternik z jakimś meldunkiem.

- Są kłopoty z rufowym działem - kapitan wyjaśnił Jackowi. - Proszę pamiętać o rozkazach - dodał i oddalił się w stronę rufy.

Syryjski okręt odpowiedział strzałami. Nastąpiła wymiana ognia. Gryzący zapach prochu powodował u Jacka łzawienie oczu, twarz płonęła mu pod wpływem gorąca.

Marynarz, nie zważając na niebezpieczeństwo, trzymał bosakiem łódkę z Gamasim.

Jack wychylił się za burtę, wyciągając rękę do Syryjczyka.

W rewanżu za serię z izraelskiego statku, zbliżający się okręt odpowiedział strzałami z pokładowych działek. Na kutrze rozległ się szczęk tłuczonego szkła.

- Padnij! Padnij! - krzyczał izraelski marynarz.

Ignorując ostrzeżenia, Jack schwycił Gamasiego za rękę i wciągnął na pokład kutra. W końcu zaczęło działać rufowe działo.

Libański rybak zapalił silnik i zawrócił w stronę brzegu. Nagle pocisk eksplodował tuż przed nim i łódka przewróciła się do góry dnem.

Wybuchy oświetlały morze i zagłuszały krzyki marynarzy.

Gamasi leżał na pokładzie, a z jego prawego oka płynęła krew. Jack klęczał przy umierającym wiedząc, że nie ma już dla niego ratunku. Nie uświadomił sobie, że od pewnego czasu zamilkły strzały.

W pewnym momencie podniósł głowę i zobaczył zanurzający się syryjski okręt, który po chwili całkowicie zniknął pod ciemną wodą.

Kapitan wydał rozkazy, ruszyły silniki i kuter skręcił o sto osiemdziesiąt stopni.

Jack sięgnął pod zakrwawioną kurtkę Gamasiego i wydobył zawinięty w aksamit złoty trójkąt.

- Mówiłem - odezwał się kapitan. - Czasami kwadrans może zdecydować o życiu.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY

W pokoju Gabrielli panowało udzielające się wszystkim napięcie. Trzej mężczyźni palili papierosy, pili kawę i milczeli, podczas gdy ona odczytywała tekst z trzeciego trójkąta. Przepisała inskrypcję po hebrajsku, przełożyła na angielski i jeszcze raz sprawdzała, czy nie ma pomyłki.

Jack zdał sobie sprawę z komizmu sytuacji: Barzani, Sorenson i on czekają w skupieniu, aż ta Włoszka powie, co jakiś izraelski kapłan zapisał trzy tysiące lat temu na złotych trójkątach.

Sorenson opierał się o ścianę, jego ręce drżały, a niebieskie oczy błyszcząły, jakby w gorączce.

Usłyszeli bicie kościelnego dzwonu z Nazaret. Jack wyszedł na balkon i przyglądał się rybakom rozkładającym sieci na Jeziorze Galilejskim. Chmura kurzu wznosiła się nad kolumną izraelskich czołgów zmierzających ku Wzgórzom Golan.

Odwrócił się, gdy usłyszał, że Gabriella wstaje od biurka. Podeszła do wiszącej na ścianie tablicy.

Otoczyli ją, gdy przypinała kartki. Otarła pot z twarzy i zaczęła czytać:

Kartka pierwsza

Isztar, pani wojny. Królowo radości. Strach siejąca kobro. Bogini czuwająca w świątyni. Podążam za twoimi oczami. Sześć łokci pod ołtarzem. Przy wschodniej ścianie jest wejście do grobowca Reszeffa i to jest droga...

Kartka druga

...przez północną ścianę i opieczętowane przejście do królewskiego arsenału. Najskrytszym pomieszczeniem jest podparty filarami korytarz. To tajne przejście do komnaty czarów Isztar. Stopnie z brązu prowadzą do kamiennego przejścia. Na końcu znajduje się portal z godłem Reszeffa.

Kartka trzecia

Wejdiesz tamtędy do złotej komnaty. Znajdziesz boginię Isztar. Jej rubinowe oczy odkryją miejsce, gdzie ja, Itamar, posłaniec wielkiego proroka, umieściłem tablicę Mojżesza.

*

Barzani zorganizował dwudziestoczterogodzinny dyżur.

Niewiele minut po dwunastej pierwsi ludzie zniknęli w ciemnych podziemiach i w milczeniu schodzili z poziomu na poziom. Ogarniało ich chłodne, wilgotne powietrze przepełnione mdłym odorem szczurzych odchodów.

Na głębokości dwudziestu metrów weszli do komnaty, gdzie Gabriella wpadła w rozpadlinę. Nadal czuło się jaśminowy zapach. Teraz ściany były wzmocnione, a z niższego poziomu wciąż wypompowywano wodę. Można było chodzić po podłożu bez obaw.

Zgodnie ze wskazówkami pierwszego trójkąta żołnierze Barzaniego rozbili kilofami wschodnią ścianę. Po dwudziestu minutach wszyscy mogli swobodnie przejść do wapiennego korytarza. Gabriella szła obok żołnierza niosącego reflektor. Pozostali podążali za nimi.

Szybko rosła temperatura. Powietrze wpadało niewielkimi otworami w opływających wodą ścianach. Zatrzymali się w miejscu, o którym była mowa na drugim trójkącie. Żołnierze świecili latarkami, szukając zapieczętowanego wejścia do królewskiego arsenału.

Sorenson pierwszy zauważył czerwoną pieczęć z profilem brodatego wojownika. Gabriella przecisnęła się między ludźmi i obejrzała ją. Wosk łączył ze sobą dwie duże wapienne płyty tworzące wejście.

Żołnierze z kilofami zaczęli uderzać w kamienne drzwi. Po dziesięciu minutach jeden z kilofów przebił się na drugą stronę i ciepłe powietrze uleciało z sykiem.

Szybko wybito większe przejście i Gabriella weszła do przyległej komnaty. Światło padło na broń starożytnych Kanaanitów. Brązowe włócznie, tarcze, części rydwanów, łuki, strzały i gliniane maski wojowników. Na wschodniej ścianie znajdowało się malowidło przedstawiające walkę Kanaanitów z legionami Hittie.

- Teraz musimy odnaleźć wspomniany w drugim trójkącie korytarz z filarami - wyjaśniła Gabriella.

Podzielono się na dwu- i trzyosobowe grupki. Światła latarek oświetlały ściany podziemnych korytarzy. Jack miał wrażenie, że znajduje się w labiryncie w wesołym miasteczku. Dzięki wytrwałości znaleźli wreszcie przejście przez zachodnią ścianę. Trafili na „najskrytsze pomieszczenie”.

- Ja pierwszy - powiedział Sorenson.

Schylił się, przecisnął przez otwór i zniknął. Po jakimś czasie zawołał:

- Chodźcie!

Znaleźli się w przepastnym holu z czarnymi bazaltowymi kolumnami.

- To chyba tu - stwierdziła Gabriella. - Musimy znaleźć wejście do komnaty czarów Isztar.

Dwie godziny krążyli po zimnym, wilgotnym holu. Kapiąca woda odmierzała czas niczym zegar. Ludzie klęli, zderzając się w ciemnościach. Słabły nadzieje. Górę brało zdenerwowanie. W komnacie dominowały uczucia frustracji i klaustrofobicznego lęku. Wszyscy byli głodni i spragnieni. Zapasy wody dawno się już skończyły.

Wtem usłyszeli odbijający się echem głos Gabrielli:

- Tutaj! Przynieście światła!

Stała między dwiema kolumnami po północnej stronie komnaty. Oświetlała latarką fragment czarnej ściany kontrastujący na tle wapiennej powierzchni. Dotknęła i ubrudziła sobie dłoń.

- Tu się paliło - wyjaśniła.

- Ale nie ma żadnych pieczęci plombujących drzwi - powiedział Sorenson.

- Wosk mógł się stopić - odparła. - Megiddo sześćdziesiąt lat przed Chrystusem zajęli Rzymianie. Może spalili drzwi i stopili pieczęcie.

Barzani wydał rozkazy. Podeszli żołnierze i zaczęli uderzać kilofami w czarny fragment. Rozległ się dźwięk kruszonego kamienia. Po pewnym czasie ściana ustąpiła. Zaraz potem usłyszeli syk uciekającego powietrza.

Kolejno precyzyjnie przeszli przez otwór. Dokoła zobaczyli ściany pokryte malunkami przedstawiającymi zwierzęta, głowy pogańskich bóstw, słońcami, księżycami i dziwacznymi znakami astrologicznymi.

- To komnata czarów Isztar - powiedziała Gabriella. - Według ostatniego trójkąta powinniśmy znaleźć schody prowadzące do przejścia.

- Już pięć godzin jesteśmy pod ziemią - powiedział Barzani. - Może zrobimy przerwę?
- spojrzał na Gabriellę.

- Nie mogę mówić w imieniu wszystkich, ale ja zostaję.

- Ja też - powiedział Sorenson.

- A ty, Jack? - zapytał Barzani.

- Możemy kontynuować.

*

Rozeszli się po komnacie, przeszukiwali każdy fragment. Wytworzyła się kojąca, niemal senna atmosfera.

- *Madregot!* - wykrzyknął nagle młody żołnierz.

Ruszyli w jego stronę i w świetle reflektorów ujrzeli schody.

Nie padło ani jedno słowo. Nikt nie skomentował odkrycia stopni. Potwierdziło ono prawdziwość słów znajdujących się na ostatnim trójkącie.

Zeszli do ciemnego tunelu. Przeszli na czworaka dwadzieścia metrów i znaleźli się przed brązowym portalem ozdobionym twarzą kanaanejskiego boga wojny Reszeffa. Portal miał półtora metra wysokości i metr szerokości. Obramowany był drewnianymi listewkami.

- Proszę się cofnąć! - polecił Barzani.

Od jednego z żołnierzy wziął kilof i podważył listewkę. Niemal natychmiast pojawiła się szpara.

Generał popatrzył i powiedział coś po hebrajsku do jednego ze swych ludzi. Żołnierz podszedł, włożył trzonek kilofa w szparę i zaczęli ciągnąć razem.

Pot ciekł im z czoł, ale po chwili poczuli, że płyta drgnęła. Zmienili pozycję i odepchnęli ją.

Przeszli przez otwór i w milczeniu patrzyli na to, co przedstawiało się ich oczom. Pośrodku komnaty ze szczyrego złota stała zapierająca dech w piersiach ponad czterometrowa złota rzeźba Isztar z węzami u stóp.

Miała idealne rysy twarzy, odpowiednio wydatne policzki świetnie harmonizujące z nosem i delikatnymi wargami. Rubinowe oczy patrzyły niemal zmysłowo. Ściskając dłońmi piersi wystawiała je wijącym się wokół pasa węzom.

- Pamiętasz tego jasnovidza? - Gabriella zapytała generała. - Tego starego, z Jerozolimy. Miał w pokoju portret Isztar. Mówił, że ona wciąż jest w Megiddo i posiada wielką moc.

Generał skinął i pokręcił ze zdziwieniem głową.

- Brałem już udział w wielu wyprawach w tym kraju. Pod pustynią i pod wodą, ale nigdy nie widziałem czegoś równie wspaniałego.

- Bez wątpienia cudowna rzeźba. - Sorenson nerwowo poruszał rękami. - Ale w jaki sposób jej oczy mogą odkryć miejsce ukrycia tablicy?

- Nie wiem - powiedziała Gabriella. - To wymaga interpretacji.

- Pamiętasz dokładnie słowa?

Gabriella przytaknęła.

- *Jej rubinowe oczy odkryją miejsce, gdzie ja, Itamar, posłaniec wielkiego proroka, umieściłem tablicę Mojżesza.*

- W oczach widać tylko światło - powiedział Jack, przyglądając się źrenicom Isztar.

- One mają „odkryć” miejsce - odparła Gabriella.

- Może ma tabliczkę za oczami - zasugerował Sorenson.

- Raczej nie - powiedziała Gabriella. - Sądząc po kształcie czaszki nie ma tam miejsca na tablicę.

Jack skierował na oczy Isztar światło reflektora. Błysnęły krwawo czerwonym promieniem.

- Boże - szepnęła Gabriella. - W świetle wygląda jak żywa.

- Takie wrażenia niewiele nam pomogą - powiedział zdenerwowany Sorenson.

- A może...? - zapytała w zamyśleniu Gabriella. - W Egipcie, w Tebach, bóstwo słońca

- Hapotet, stało w taki sposób, że słońce padało na jego twarz w samo południe. Egipcjanie wierzyli, że Hapotet ożywa, gdy promienie słońca padają na jego oczy.

- Może też powinniśmy spróbować - zaproponował Jack.

- Jak? - zapytał Barzani.

- Przyniesiemy drabiny i ustawimy reflektory w taki sposób, żeby zastępowały promienie słońca.

- Warto spróbować - stwierdziła Gabriella. - Promienie odbite w oczach będą się musiały przeciąć w którymś miejscu.

- Tak działają oczy człowieka - dodał Sorenson. - Oczy bóstwa mogą wskazać jakiś punkt... - odwrócił się - ...na ścianie.

- No dobrze - powiedział Barzani. - I tak nie mamy żadnych innych propozycji.

Generał wydał swoim podwładnym rozkazy i żołnierze poszli na górę.

*

Gdy czekali, Isztar - bogini życia i śmierci - spoglądała na nich nęcąco. Około północy wrócili ludzie Barzaniego z drabinami i szybkoobrotową piłą na baterie.

Gabriella wyznaczyła miejsce ustawienia drabin, aby reflektory mogły imitować słońce. Dwaj mężczyźni weszli z reflektorami na wysokość pięciu metrów. Nakierowali światło na oczy Isztar i zwężili strumień.

Jak zahipnotyzowani stali w milczeniu, przyglądając się błyszczącym rubinowym źrenicom.

- Tam, tam! - krzyknął nagle Sorenson.

Czerwone światło padło na przeciwległą ścianę półtora metra nad podłogą.

- Tnijcie po skraju światła - rozkazał Barzani żołnierzom.

Po chwili rozległ się dźwięk ciętego złota.

Barzani podszedł do nich z bagnetem i podważył odcięty kawałek złotej blachy.

- *Hachmad* - powiedział do żołnierzy, a oni podali mu latarkę. Zaświecił w otwór i

zajrzał do środka.

Gabriella drżała, zalewał ją zimny pot. Obok niej stał Sorenson i nie odrywał oczu od Barzaniego.

Dłoń zniknęła w dziurze.

W komnacie zaległa cisza.

Barzani powoli wyjął rękę, odwrócił się i wręczył Gabrielli glinianą tabliczkę wielkości dziesięć na dwadzieścia pięć centymetrów.

Wszyscy zafascynowani oglądali pojedyncze hebrajskie znaki układające się w pięć wersów.

- Co to znaczy? - zapytał w końcu Sorenson.

- Hebrajskie liczby - odpowiedziała.

- Liczby? - zapytał ze zdziwieniem Jack.

- Tak. W pewnych układach. To jakiś kod. - Przyjrzała im się z zaciekawieniem. - Na kamieniu Itamara było napisane, że znajdziemy „drogę” do słów Boga. Zdaje się, że było tam hebrajskie słowo „derech”, a to znaczy „wskazówka”, ale myślałam, że to byłoby zbyt dosłowne tłumaczenie.

- Oznacza to - powiedział Jack - że Mojżesz dał Itamarowi zaszyfowaną tablicę, która ma tylko prowadzić do słów Jahwe.

Gabriella przytaknęła.

- Na pewno chciał, aby zignorowali ją złodzieje.

- No to znaleźliśmy pierwsze w dziejach ludzkości zabezpieczenie przed złodziejami - powiedział Barzani.

- To nic śmiesznego - ofuknął go spięty Sorenson. - Zostaliśmy nabici w butelkę.

- Wcale nie - odparła spokojnie Gabriella. - Wojskowi specjaliści od kryptografii potrafią to rozszyfrować.

- Skąd wiesz? - zapytał Sorenson.

- Pracowali już dla mnie w Rzymie. Pomogli odczytać tabliczki z Ebla. Ten szyfr na pewno jest prymitywny i mało skomplikowany.

- Ma rację - poparł ją Barzani. - Wszystkie kody liczbowe działają na tej samej zasadzie. Jednej cyfrze odpowiada jedna litera. Wystarczy odkryć, która której, a reszta pójdzie jak po maśle. Proszę mi wierzyć. - Uśmiechnął się. - Dla naszych specjalistów wielki prorok Jahwe to pestka.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY

Na kuchennym stole, blisko balkonowych drzwi, stały puste naczynia po kolacji. Jack przechylił kieliszek brandy i spojrzał na spowite w ciemności wzgórza na wschodnim brzegu Jeziora Galilejskiego. Gabriela obserwowała go dyskretnie. Zauważyła, że odkąd wrócił z hotelu, cały czas coś go gnębiło.

Odwrócił się i wskazał ręką na stół.

- Zabiorą to wreszcie, do cholery, czy nie?

- Wróciliśmy prawie o drugiej w nocy - powiedziała. - I tak się ładnie zachowali, że dali nam kolację.

- No i dobrze. - Westchnął.

- Co się stało?

- Dzwoniłem do Jenny. Płakała. Nauczyciel matematyki zwrócił jej uwagę przy całej klasie.

- Co powiedziałeś?

- A co mogłem powiedzieć? - Wzruszył ramionami i wstał. - Powiedziałem, że tak bywa, żeby się nie martwiła i że niedługo wracam. Niby nic takiego, a czuję się cholernie głupio.

- Nie wiem, czy to może mieć jakieś znaczenie, ale gdy umarła moja matka, ze wszystkimi dziecięcymi kłopotami biegałam do ojca.

- A co on na to?

- Był dobry i kochający, ale bardzo uczciwy. Powiedział mi, że matki nikt mi nie zastąpi i muszę się sama nauczyć rozwiązywać swoje problemy. Robił wszystko, żebym nauczyła się samodzielności. Z początku myślałam, że po prostu nie ma dla mnie czasu. Wtedy często wyjeżdżał na koncerty. Ale jak dorosłam, zrozumiałam jego postępowanie. I stopniowo nauczyłam się polegać na sobie. Tylko nie zrozum mnie źle. Kiedy go potrzebowałam, zawsze mogłam na niego liczyć i wiedziałam, że będzie przy mnie. - Przerwała na chwilę. - I dlatego nie wolno ci tak bardzo ryzykować. Słyszałam o waszej eskapadzie do Libanu. Macie szczęście, że uszliście z życiem.

- Eee, Pancho Villa mnie nie dorwał, to co mi tam Syryjczycy?

- Jaki Pancho Villa?

- Meksykański bandyta albo bojownik, zależy po której jesteś stronie.
- Nie żartuj, Jack. Czas, abyś przestał się tak ciągle narażać.
- Nie myślałem, że dojdzie do strzelaniny. Wyglądało na to, że Gamasi wszystko dokładnie zaplanował.

- Podobno umarł ci w ramionach.

- Mniej więcej.

- Kto wydał rozkaz natarcia?

- Syryjski wywiad. Cały czas deptali Gamasiemu po piętach. Atak na morzu był dla nich idealnym rozwiązaniem: za jednym zamachem ja, Gamasi, trójkąt i izraelski statek szpiegowski. Gdyby nie kaprysy księżycy i przytomność załogi, ich plany by się powiodły. Chwilami było tyle ognia co w piekle.

- Miałeś szczęście.

- Do kul mam więcej szczęścia. Gorzej z nożami.

- Pamiętaj, że cała opieka nad córką spada na ciebie. Może powinieneś zamknąć śledztwo i wracać do domu. Ludzie odpowiedzialni za zabójstwa nie żyją i nic już nie da się dla Laury zrobić.

- Nie Laura mnie martwi, tylko ty.

- Ja? Mnie nic nie grozi.

- W tej chwili. Wiele w życiu widziałem i czuję, że coś tu brzydko pachnie. - Dopił brandy. - Sorenson ma cholernie dużo na swoim koncie. Przeszłość w OSS; manipulacje ludzką psychiką. Chciał znaleźć spokój w podziemnym bunkrze. Z zimną krwią zainscenizował swoją śmierć - zamroził zwłoki, a potem je poćwiartował. I niczego nie żałuje. Potem zabił pięciu ludzi. A wszystko to z zemsty i w samoobronie. Ma takie samo szaleństwo w oczach jak Hamilton. Gdy Barzani wyciągał tabliczkę, Sorensonowi trzęsły się ręce.

- Zimno mi - powiedziała. - Chodźmy do środka.

*

Jack podszedł do stolika i spojrzał na trzy idealnie do siebie pasujące trójkąty sprzed trzech tysięcy lat.

- Co z nimi zrobisz? - zapytał.

- Jeszcze o tym nie myślałam. Zostały znalezione w Ebla, więc formalnie należą do Syrii.

- A kto o nich wiedział oprócz Gamasiego?

- Nikt.

- Więc wolno ci je wystawiać. Wszyscy dotychczasowi właściciele zmarli.

- Oprócz Sorensona.

- W świetle prawa on także nie żyje. Poza tym nie sądzę, żeby naszego doktora jeszcze interesowały. Gdybym był na twoim miejscu, oddałbym je Ettingerowi i umieścił w Metropolitan jako dar od Uniwersytetu Rzymskiego. A tak na marginesie, nie uważasz, że powinien tu z nami być Sabitini? Zwłaszcza że jesteśmy już tak bliscy celu.

- Dzwoniłam do niego. Ucieszył się z tablicy, ale nie może teraz wyjechać z Rzymu.

- Dlaczego?

- Toczy z administracją boje o pieniądze. Chcą nam obciąć budżet. - Wzruszyła ramionami. - Najwidoczniej historia ludzkości jest mniej ważna od zdobywania pieniędzy na jej odkrycie.

- Prawa do wystaw powinny przynieść uniwersytetowi jakieś fundusze.

Usiadła na sofie, założyła nogę na nogę i przeczesła włosy.

- Niesamowicie dziwnie się czuję widząc trzy trójkąty razem. Nigdy nie myślałam, że do tego dojdzie i ani mi się śniło, że są w rękach moich kolegów z Ebla.

Spojrzał na nią przenikliwie. Jej słowa znów obudziły w nim wątpliwości dotyczące śledztwa.

- Co ci jest? - zapytała.

- Pamiętasz, kiedy pierwszy raz wspomniałaś Sorensonowi o istnieniu trójkątów?

- Tak, zaraz po śmierci Laury. Zapytałam, czy wspomógł finansowo wykopaliska w Megiddo. Powiedziała mi, że znaleźliśmy kamień Itamara i że inskrypcja na nim sugeruje istnienie tablicy Mojżesza, a w jej odnalezieniu mogłyby pomóc trzy zaginione trójkąty.

- Jak zareagował? Był zaskoczony? Podekscytowany?

- Nie. Ani trochę. Powiedział tylko, że zabito jego żonę i nie może się na razie niczym innym zajmować.

- Powiedział, że ma trójkąt?

- Nie, skąd.

- A pamiętasz, kiedy powiedziałaś Hamiltonowi o kamieniu Itamara i zaginionych trójkątach?

- Tak - skinęła. - Tego samego dnia, tylko trochę później.

- I jak on zareagował?

- Entuzjastycznie.

- No dobrze, ale spróbuj sobie przypomnieć, co dokładnie powiedział.

- Zapytał, czy już z kimś rozmawiałam o trójkątach. Zmieszał się, gdy usłyszał o

mojej rozmowie z Sorensonem. Potem nalegał, żebym zapomniała o Sorensonie i że to on, Hamilton, pokryje znaczną część kosztów wykopalisk w Megiddo.

- I co odpowiedziałaś?

- Że jeśli postawi rozsądne warunki, zgodzę się. Bardzo mi podziękował i za jakiś czas zjawił się w Rzymie Claudon z pieniędzmi.

Jack wstał i przez moment chodził po pokoju. Czuł, że śledztwo toczyło się w niewłaściwym kierunku.

- Jesteś zupełnie pewna, że o znaczeniu trójkątów powiedziałaś obydwu dopiero po śmierci Laury?

- Absolutnie.

- I tylko Hamiltona podekscytowała ta wieść?

- Tak.

Nagle wszystko ułożyło się w całość. Wiedział, dlaczego Sorenson przepłacił Claudonowi za trójkąt i znał prawdziwy cel jego lipcowego wyjazdu do Damaszku. Wiedział też, kto jest odpowiedzialny za zamordowanie Laury. Wiedział wszystko. Ale jeszcze nie miejsce ani czas, żeby to wyjawić. Jeszcze nie.

- Dlaczego to takie ważne? - zapytała.

Podszedł do sofy, wziął ją za rękę i pomógł wstać.

- Obiecuj mi jedno. Nigdy i nigdzie nie zostaniesz sam na sam z Sorensonem. Choćby nie wiem co się działo.

- Dlaczego? - zapytała z przerażeniem w oczach.

- Nie mogę ci powiedzieć. Im mniej wiesz, tym lepiej. Tylko mnie słuchaj. - Wziął ją w ramiona. - Nie chcę, żeby coś ci się stało. - Pocałował ją w ucho i szepnął: - Nie chciałbym być w Wenecji sam, zwłaszcza w listopadzie.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIERWSZY

Młody izraelski kapitan wczytał cały hebrajski alfabet do komputera. Na półce przed nim wisiała fotokopia tabliczki, która została wysłana do kustosa zabytków w Jerozolimie.

- Lubię takie miłe odmiany od codziennej pracy - powiedział do Gabrielli. - To zaszczyt odczytywać słowa zapisane przez wielkiego proroka. Kryptografia jest tak stara, jak ludzkie pismo. Prorok Jeremiasz kodował swoje teksty. Potem Juliusz Cezar i Napoleon użyli takiego samego szyfru.

Przyjrzał się uważnie reprodukcji tablicy.

- Dobrze się składa, że są tylko dwadzieścia dwie liczby, tyle samo co liter w alfabecie hebrajskim. To bardzo ułatwi zadanie.

Barzani, z nutą zniecierpliwienia w głosie, powiedział coś do kapitana. Ten odpowiedział mu z szacunkiem, a potem uśmiechnął się do Gabrielli.

- Generał się niecierpliwi. Spróbujemy złamać kod, a potem już pójdzie szybko. Możemy założyć, że Mojżesz wymienił imię Jahwe i swoje.

Wprowadził do komputera szyfr liczbowy z tablicy. Przez kilka sekund na ekranie pojawiały się bezładne układy hebrajskich liter.

- No, teraz zobaczymy.

Prawie natychmiast ukazał się szereg hebrajskich liczb, a pod każdą widniały kolejne litery alfabetu.

Kapitan klasnął w dłoń.

- Proszę, dobrze poinstruowany komputer może rozszyfrować najbardziej skomplikowany kod.

- Co to znaczy? - zapytał Sorenson.

Kapitan nacisnął czerwony klawisz i na ekranie pojawiły się dwa napisy po angielsku.

10-1-8-20-3

J-A-H-W-E

- Teraz zapytam komputer, czy zna słowo Mojżesz.

Za kilka sekund odczytał najpierw po hebrajsku, a potem po angielsku litery i liczby.

9-11-10-22-3-21-22

M-O-J-Ż-E-S-Z

- Okay, komputer rozszyfrował dziewięć z dwudziestu dwu liter. To prawie połowa. Teraz poszukamy następnej.

Dotykał palcami klawiszy niczym wirtuoz fortepianu.

Na ekranie zaczęły pojawiać się dziwne układy liczb i cyfr. Kapitan spoglądał na nie i wywoływał następne.

W końcu rozsiadł się na krześle, przeciągnął, odwrócił i powiedział do Barzaniego:

- Ech, generale, gdyby na co dzień szło tak łatwo. - Potem zwrócił się do pozostałych:
- No i mamy cały tekst. Teraz tylko przełożę to na angielski.

Nacisnął czerwony klawisz i zniknęły hebrajskie litery, a na ich miejscu pojawiły się angielskie słowa tworzące zdanie: *Na wschodnim wybrzeżu Morza Martwego.*

Kapitan przycisnął jeszcze kilka klawiszy i czytał dalszy tekst:

Nie opodal Zohar, na ziemi Moab, u stóp góry Nebo, jest jaskinia wieczności. Pod nią, we wschodniej ścianie jest mój grób. Tam złożyłem papirus w brązowej szkatule. Na tym papirusie ja Mojżesz, syn Amrama, własną ręką spisałem ostatnie słowa Jahwe.

Kapitan uruchomił drukarkę i wręczył wydruk Gabrielli.

- Teraz może wreszcie znajdziecie ostatnie słowa Boga. - Uśmiechnął się. - Miejmy nadzieję, że nie będą zaszyfrowane.

*

Barzani wiozł ich jeepem przez ulice wojskowej dzielnicy. Zaparkował samochód przy kawiarni. Zasiedli przy dużym stole i popijali mocną, słodką kawę po turecku.

- Niezły jest ten facet od komputera - Jack zwrócił się do Barzaniego i zapalił cygaretkę.

- Naprawdę trzeba być geniuszem, żeby opanować te wszystkie systemy szyfrowania.

- Tłumaczenie zawiera opis śmierci Mojżesza taki jak w Księdze Powtórzonego Prawa - wyjaśniła Gabriella. - Jaskinia w Nebo. Akurat po przeciwnej stronie Morza Martwego, w Moab.

- Stamtąd po raz ostatni rzucił okiem na kraj mlekiem i miodem płynący - ironicznie powiedział Barzani.

- W tamtych czasach tak właśnie mogło tu być - zauważył Jack.

- Nie, na tej ziemi zawsze lała się krew.

- Opis z Księgi Powtórzonego Prawa i miejsce śmierci Mojżesza to podważalne fakty - powiedział Sorenson, nerwowo stukając palcami o blat stołu. - Ale odszukanie tej jaskini, to

co innego.

- To nie takie proste - stwierdził Barzani. - Jaskinia jest miejscem czci Beduinów. Znajduje się w zachodniej części góry Nebo i, jak twierdzą Beduini, stanowi wejście do labiryntu pełnego tajemnych przejść. A wszystkiego strzeże duch Aba-Musa.

- Dlaczego nie można jej przekopać? - zapytała Gabriella.

- Bo i po co? Żeby znaleźć kilka nikomu niepotrzebnych szkieletów? Dawniej tam grzebało się zwłoki. Poza tym, aż do chwili obecnej, nikt nie wiedział o istnieniu zwojów ze słowami Boga. A Jordańczykom nie zależy na udowodnianiu autentyczności Starego Testamentu.

- A co, u diabła, mają do tego Jordańczycy? - zapytał Sorenson.

- Góra Nebo jest w Jordanii - odpowiedział Barzani.

- Może uda nam się wciągnąć do współpracy jordańskie władze? - spytała Gabriella.

- Marne szanse - odparł generał. - Nie będą chcieli mieć do czynienia z izraelskimi archeologami.

- Przecież my nie jesteśmy Izraelczykami - zaprotestowała.

- Dla nich jesteście. Dowiedzą się, że szukacie w Nebo śladów izraelskiej historii. Jordańczycy nawet nie uznają praw do istnienia naszego państwa, a już zupełnie nie będą chcieli przyjąć do wiadomości istnienia na tych ziemiach naszych korzeni. Z Jordanią mamy zawieszenie broni, ale nie utrzymujemy żadnych stosunków.

- A może profesor Sabitini wystosuje oficjalną prośbę do ambasadora Jordanii w Rzymie - zaproponowała.

- Prośbę pewnie przyjmą, ale po kilku miesiącach oczekiwania dadzą odmowną odpowiedź. Wiem, że dla obcokrajowców to trudne do zrozumienia, ale narody arabskie będą przeszkadzały w udowodnieniu, że Stary Testament nie jest legendą.

- Ale jeśli dowiedzą się, że tam jest ostatnie słowo Boga...

- Już w Syrii mogliście się przekonać, że wystarczyło, aby na tabliczkach odkryto hebrajski język. Rób, co chcesz, ale w kontaktach z Jordanią nie mogę wam pomóc.

Przy stoliku zapadło milczenie.

Sorenson wyjął paczkę papierosów i poczęstował Barzaniego.

- Proszę mi powiedzieć, generale, jak daleko jest z Izraela do góry Nebo?

- Granica przebiega po północnym brzegu Morza Martwego. Sądzę, że nie więcej niż trzydzieści kilometrów.

- To teren bardzo strzeżony?

- Nie. Jordańscy terroryści nie przechodzą do nas, ani my nie organizujemy akcji

przeciwko Jordanii. - Przerwał i zaciągnął się papierosem. - Tym niemniej jordańska strona jest kontrolowana przez policję. Morze Martwe przecinają starożytne szlaki handlowe. Plemiona Beduinów zamieszkujące naszą pustynię Negev nadal wchodzą do Jordanii, przemycają haszysz. Jordańska policja patrzy na to przez palce. A dlaczego pan pyta?

- Zrobiliśmy już tyle, a teraz ma nas powstrzymać jakaś cholerna granica. - Sorenson pochylił się do przodu i szepnął konspiracyjnie: - Proponuję, żebyśmy przekroczyli granicę w nocy i spróbowali szczęścia.

- Jacy my?

- Oczywiście ty, ja i Gabriella.

- Bez żadnej obstawy?

- A co nam grozi? Przypuśćmy, że zatrzyma nas jordańska straż graniczna - udamy, że się zgubiliśmy. Pokażemy paszporty i odeślą nas do granicy. Przecież nie zabiją nas posądzając, że jesteśmy izraelskimi szpiegami.

- A jak zostaniecie złapani w drodze powrotnej? - spytał Barzani. - Za kradzież narodowych dóbr kultury dostaje się w królestwie Jordanii dwadzieścia pięć lat więzienia.

- Nas to nie dotyczy - upierał się Sorenson.

- Proszę się nie spierać, doktorze! - Barzani się rozzłościł. - W jakimś średniowiecznym lochu może się pan i ze sto lat domagać widzenia z konsulem.

- Rozumiem twoją konsternację - powiedziała spokojnie Gabriella - ale nie mogą nam udowodnić, że znaleźliśmy papirus w jaskini w górze Nebo.

- Jordańskie władze nie potrzebują niczego udowadniać. To nie demokracja. To królestwo - jednoosobowa dyktatura.

- No cóż, ja jestem gotów podjąć takie ryzyko - powiedział Sorenson.

- Ja też - dodała Gabriella.

- Ty, przyjacielu - Barzani spojrzał na Jacka - jesteś profesjonalistą. Wszystko zależy od ciebie. Jeśli zdecydujesz się na przekroczenie granicy, pomogę wam na ile to możliwe. Pamiętaj, że na granicy kończą się moje wpływy.

Zapadła chwila ciszy. Wszyscy wbili wzrok w Jacka. Napił się kawy.

- Mówiłeś, że nie ma tam zbyt dużo patroli? - zapytał spokojnie.

- Stosunkowo nie.

Jack podrapał się w policzek.

- Boże, sam nie wiem. Jak myślisz, jakie mamy szanse?

- Przy dobrej organizacji granicę da się przejść, ale grób Mojżesza i brązową szkatułę musielibyście znaleźć przed przyprawem. Zanim wzejdzie słońce, musicie wracać.

- Dobrze - powiedział spieszenie Sorenson. - Ustalimy limit czasu. Jeśli nie uda nam się do, powiedzmy, czwartej rano, rezygnujemy i wracamy.

Barzani popatrzył na nich i ciężko westchnął.

- Znacie ryzyko. Ja zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby wam pomóc.

Wyjął pióro, otworzył teczkę i wyciągnął mapę. Zazaczył punkt po wschodniej stronie i napisał „Góra Nebo”. Potem, po przeciwnej stronie narysował Gwiazdę Dawida.

- Będziemy stacjonować tutaj. Zorganizuję jeepa z łącznością radiową i uzbrojoną obsługą. Tam na was będę czekał. Przekroczycie granicę przy pełni księżyca. Jeśli zaangażujecie grupę Beduinów, możecie uchodzić za turystów, którzy wynajęli przewodników i przez pomyłkę znaleźli się w Jordanii.

- To znaczy zrobić sobie zasłonę z Beduinów? - zapytał Sorenson.

Barzani skinął głową.

- Policja często ich śledzi, ale rzadko zatrzymuje.

- A jak to zorganizować?

- Nic trudnego. Mieszka tu pewien szejk, stary, dobry przyjaciel. Jego karawana będzie eskortować was do Nebo. Beduini pójda dalej do Aqaba - to taki jordański port, skąd zabierają haszysz z Sudanu.

Sorenson nerwowo bębnił palcami w stół.

- Rozumiem pana dobre intencje, generale, ale nie podoba mi się ten pomysł z Beduinami.

- Dlaczego?

- A jeśli Beduini podprowadzą nas do Nebo, a potem dadzą znać na policję?

- Dlaczego mieliby to zrobić?

- Żeby się przypodobać jordańskim władzom.

- Proszę nie porównywać anglosaskich praktyk korupcyjnych z Beduinami. To ludzie, których kodeks honorowy kształtował się przez pięć tysięcy lat. Mają swoją dumę i nie potrzebują od nikogo łaski. Poza tym, nie zdradzają przyjaciół.

- Zdaję się na pana - powiedział pojednawczo Sorenson.

- Zgoda. Dostarczę wam potrzebny sprzęt i mapy.

- A co z bronią?

- W żadnym wypadku - odpowiedział Barzani. - To ostatnia rzecz, jakiej wam potrzeba.

- Ale nie wyobrażam sobie...

- Rany boskie, Martin! - przerwał Jack. - Generał i tak nastawia za nas karku!

- Po co się złościś, Jack? - powiedział przymilnie Sorenson. - Zadałem logiczne pytanie. Mimo wszystko iść bez broni przez pustynię nie jest najbezpieczniej.

- Nikt cię nie zmusza - burknął Jack.

Zapadła pełna napięcia cisza, którą przerwała Gabriella.

- Gdzie się spotkamy?

- Tutaj o dziesiątej. Wszystko zorganizuję. Wy powinniście się przespać. Wyruszyście zaraz po północy.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DRUGI

Jasne światło księżyca rzucało niezwykle cienie na pustynię i jordańskie wzgórza. Zatrzymali się na zachodnim brzegu Morza Martwego. Słaby wiatr lekko poruszał piaskiem. Na dachu jeepa dwaj żołnierze siedzieli i palili papierosy.

Gabriella i Sorenson studiowali mapy i ustalali pozycje z izraelskim oficerem. Jack przyglądał się, jak Barzani na migi dogaduje się z wodzem Beduinów.

Siedzieli na wielbłądach i cierpliwie czekali, aż negocjacje dobiegną końca. Mieli ciemne twarze, a w oświetlonych światłem księżyca czarnych oczach odbijała się nabywana przez wieki mądrość.

Barzani uścisnął dłoń szejka.

- Chodźcie - zawołał do Jacka i pozostałych.

Potem nalał wina w złożone ręce szejka i powiedział:

- Pijąc wino z jego dłoni potwierdzimy naszą umowę.

Każdy pił czerwony, słodki płyn z brązowych rąk starca.

- *Allah inshallah* - powiedział cichym, ochrypłym głosem.

- *Allah akbar* - odpowiedział Barzani.

Starzec pocałował go w obydwie policzki, odwrócił się i dosiadł wielbłąda. Uderzył zwierzę, które nie bez oporu ruszyło. Karawana, składająca się z piętnastu wielbłądów i Beduinów, podążyła na wschód.

Jack usiadł za kierownicą jeepa. Obok zajęła miejsce Gabriella, a Sorenson na tylnym siedzeniu. W samochodzie znajdował się reflektor, silne latarki, liny, czekany, apteczka i termosy z gorącą kawą.

- Wiesz jak się posługiwać radiem? - zapytał Barzani.

Jack pokiwał głową.

- Ten guzik - do odbioru, a ten - do nadawania.

- Okay - westchnął Barzani. - Pamiętajcie, jedźcie za karawaną, nie wolno jej wymijać. Jak dojedziecie do Nebo, szejk pokaże wam wejście do jaskini. Jeśli natraficie na jordański patrol, powiedzcie, że wynajęliście Beduinów, bo chcieliście zobaczyć ruiny Zoharu. Pokażcie im paszporty. Będą was przeszukiwać. Bądźcie cierpliwi i nic nie mówcie. Stary potwierdzi wasze słowa. Być może będziecie eskortowani także w drodze powrotnej.

- Dzięki - powiedział Jack.

- Ale... jeśli znajdziecie to, czego szukacie i zatrzymają was w drodze powrotnej... -
Wzruszył ramionami. - Życzę szczęścia.

*

Wielbłądy biegły niezwykle szybko, a wiatr rozwiewał czarne szaty Beduinów.
Karawana posuwała się ku północnemu krańcowi Morza Martwego.

- O Boże! Patrzcie! - wykrzyknęła Gabriella. Słupy krystalicznej soli wystawały z
czarnej wody. Miały wielkość człowieka i wyglądały jak duchy strzegące morza.

- Jeden z nich to żona Lota - wyjaśnił Sorenson. - Niepotrzebnie oglądała się za siebie.

- Niewykluczone, że legenda jest prawdziwa - odpowiedziała Gabriella. - Archeolodzy
ustalili istnienie Sodomy i Gomory na południu Morza Martwego.

Jack milczał. Błądził myślami między przeszłością a teraźniejszością. Za późno zdał
sobie sprawę ze swojej sytuacji. Był poza prawem i w dodatku jechał z Sorensonem -
wielokrotnym zabójcą. Geniuszem, a równocześnie nieświadomym szaleńcem.

Za karawaną ciągnęła się chmura kurzu. Góra Nebo wznosiła się ponad pustynią
niczym wielki kamienny ołtarz. Z daleka usłyszeli przeciągłe wycie.

- Co to jest? - zapytał zdenerwowany Sorenson.

- Szakale - odparła Gabriella.

Szejk powstrzymał wielbłąda, zrównał się z jeepem i wskazał na Nebo.

- *Jabal nabi Musa* - powiedział.

- Góra proroka Mojżesza - przetłumaczyła Gabriella.

- *Madchal abrashia Musa garib. Giddan muzlim.*

- Mówi, że niedaleko jest wejście, ale bardzo ciemne.

- *Yahdia yati!* - rozkazał.

- Chce, żebyśmy za nim jechali.

Szejk zmusił wielbłąda do szybkiego galopu. Jack włączył silnik i ruszył do stóp góry
Nebo.

Nocne powietrze było świeże, czyste i chłodne. Wiatr niósł ze sobą wycie szakali.
Gdy zbliżyli się do podnóża, shejk zwolnił, a Jack zaparkował przy zwałonej skale.

- *Asfal! Asfal!* - krzyknął Beduin.

Zwierzę z początku opierało się, ale w końcu uklękło na przednie kolana, a potem
podwinęło tylne nogi.

Szejk zsiadł i wskazał na dwa głązy.

- *Moutanazh nouna!*

- Mówi, żeby tam zaparkować - przetłumaczyła Gabriella.

- *Saria! Saria!*

- Co on mówi? - zapytał Jack.

- Żeby się spieszyć - odpowiedziała Gabriella.

Wzięli sprzęt i poszli za starcem do ciemnej grotty.

Poświecili latarkami i zobaczyli u wejścia do jaskini wysoki stopień.

- *Hawaa la gayid* - powiedział szejka.

- O co chodzi? - zapytał niecierpliwie Sorenson.

- Nie jestem pewna. Beduini nie mówią czystym arabskim, ale zdaje się, że w środku jest jakieś złe powietrze, którym trudno oddychać.

Zerwał się wiatr, a wielbłądy zaczęły prychać i ryczeć.

- *Roubama khasim* - mruknął Beduin.

- Uważa, że będzie burza piaskowa.

- Może to i dobrze - powiedział Sorenson. - Będzie nas osłaniać w powrotnej drodze.

- Jeśli tylko zacznie się burza piaskowa, lepiej nigdzie się nie ruszać. Kompaszy szaleją, a dzień zamienia się w noc.

- Później się będziemy martwić - stwierdził Jack. - Podziękuj wodzowi i życ mu wszystkiego dobrego.

- *Shikran habibi. Gayid har* - przetłumaczyła Gabriella.

- *Sigaia tabqh* - uśmiechnął się.

- Chce tytoniu, papierosów.

Sorenson wsunął mu w dłoń paczkę papierosów.

- *Shikran* - odpowiedział.

Zapalił papierosa, zaciągnął się i wypuścił dym nosem. Dotknął włosów Gabrielli i powiedział:

- *Yagtaa yuti shama ashqar. Gayid haz.*

- Chce kosmyk moich włosów - wyjaśniła. - Blond włosy przynoszą szczęście.

Sorenson wyciągnął myśliwski nóż, jednym ruchem obciął Gabrielli pasemko włosów i podał szejkowi. Jednak tamten pokręcił głową.

- *Imraa.*

- Przyjmie tylko ode mnie - powiedziała Gabriella.

Podowała mu kosmyk. Odwrócił się i pokazał je współplemieńcom.

- *Gayid!*

- *Gayid!* - odpowiedzieli.

Stary wsiadł na wielbłąda, popędził zwierzę i pomachał im ręką.

- *Salam alakum!*

Karawana Beduinów powoli odjechała. Jeszcze przez jakiś czas na pustyni majaczył jej zarys.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY TRZECI

Weszli do środka. Podłoże łagodnie wznosiło się do góry. Wystarczył jeden nieostrożny krok w lewo, aby rozbić się na ostrych skałach. Po kilku metrach światło latarki idącego przodem Sorensona padło na półtorametrową wyrwę pod nogami.

Doktor oparł się o ścianę.

- Da się przeskoczyć - powiedział. - Skoncentrujcie uwagę na przeciwnej stronie wyłomu i nie patrzcie w dół.

Schował latarkę do kieszeni, zaczerpnął tchu, nieco się pochylił, skoczył i bez trudu wylądował po drugiej stronie.

Gabriella podeszła do krawędzi, przykucnęła i skoczyła. Lewa noga stanęła na przeciwległym brzegu, natomiast prawa osunęła się po śliskich kamieniach. Sorenson błyskawicznie chwycił ją za rękę i pomógł utrzymać równowagę. Jack był pełen uznania dla jego zręczności i refleksu.

Nagle powiał tak silny wiatr, że Jack musiał chwycić się wystającej skały, przylegając do niej całym ciałem.

- Przeczekaj wiatr! - krzyknął Sorenson.

Przestało wiać równie nagle, jak zaczęło. Jack odsunął się od ściany, zrobił zamach, skoczył i wylądował na przeciwległej krawędzi.

- Najgorsze mamy chyba już za sobą - powiedział Sorenson. - Trzymajcie się blisko ściany i chodźcie za mną.

Poruszali się bardzo wolno. Skwapliwie wyszukiwali miejsc, których mogli się złapać, aby utrzymać równowagę. Po przejściu może dwudziestu metrów stracili z oczu wejście do jaskini. Sorenson zapalił reflektor, kierując strumień światła w ciemną otchłań. Powietrze było chłodne i wilgotne. Musieli bardzo szybko oddychać.

Niemal nie czując wznoszenia, minęli kilka zakrętów. Jedyne ich kroki i oddechy zakłócały panującą ciszę. W pewnym momencie sklepienie obniżyło się tak, że musieli iść schyleni. Od ciągłej wspinaczki pod górę i wilgotnego powietrza ich ciała były pokryte potem.

Doszli do końca korytarza i stwierdzili, że prostopadle do niego znajduje się nowy tunel.

- Co o tym sądzisz? - spytał Sorenson Gabriellę.

- Idziemy. Musimy znaleźć kryptę, szkielety lub jakieś ślady pochówku. Na pewno nie bez powodu nazywano to miejsce jaskinią wieczności.

Poczuli ostrą woń amoniaku. Skierowali światła na sklepienie i zobaczyli dziesiątki uwieszonych pod nim nietoperzy.

- Ten zapach pochodzi od ich moczu - wyjaśniła Gabriella. - Ale nie są groźne.

- Odór amoniaku jest szkodliwy dla zdrowia - dodał Sorenson.

- Niestety na to nie możemy poradzić - powiedział Jack. - Powinniśmy zabrać butle z tlenem.

Buty grzęzły w drobnych kamieniach i odchodach nietoperzy. Tunel zwężał się, a sklepienie opadało. Objijając się o ściany, wolno posuwali się naprzód. Nagle Sorenson zatrzymał się dla nabrania oddechu, a światło jego latarki natrafiło na litą ścianę. U jej stóp leżał duży głaz.

- Cholera! - zaklął. - Jakaś ślepa uliczka.

- Druga dwadzieścia pięć - oznajmił Jack. - Do wschodu słońca zostały nam trzy godziny.

Gabriella minęła ich i podeszła do ściany.

- Ze szczeliny między głazem a ścianą dolatuje powiew ciepłego powietrza - powiedziała - co oznacza, że jest tam przejście.

Zaparli się nogami o ścianę i pchając, próbowali odsunąć głaz, aż kamień drgnął z miejsca.

- No, jeszcze trochę, jeszcze kilka centymetrów - dyszał Sorenson.

Spróbowali jeszcze raz, aż głaz ustąpił, odsłaniając otwór, przez który bez trudu mógł przecisnąć się człowiek.

- Specjalnie został tu położony - powiedziała Gabriella.

- W powietrzu unosi się trupi zapach - zauważył Jack.

- Spodziewam się - mruknął Sorenson. - Może dotarliśmy do krypty.

Jedno za drugim przeszli przez otwór i znaleźli się w pomieszczeniu pełnym czaszek i ludzkich kości.

Gabriella zatrzymała się nad częściowo jeszcze ubranym szkieletem. Wokół niego stały brązowe naczynia, leżały monety i ozdoby.

- To szczątki niewolników i służby, którzy byli chowani wraz ze swoim panem.

- Kiedy? - zapytał Sorenson.

- Od tysiąca do dwóch tysięcy lat przed Chrystusem.

- Skąd wiesz, że to niewolnicy? - zapytał Jack.

- Po kolorze ich szat. Żółty, niebieski i czerwony to barwy noszone przez lud. Purpura jest przypisana królom i wysokim kapłanom. Mamy prawo domyślać się, że gdzieś w pobliżu jest krypta królewska.

- Z pewnością nie zdążymy przed wschodem słońca - ostrzegł Jack.

- A idź do diabła - warknął Sorenson. - Jak się boisz, możesz wracać.

Jack zaświecił Sorensonowi prosto w twarz i powiedział z uśmiechem:

- Zgubiłbyś się beze mnie, Martinie.

- Nie świeć mi w oczy!

- Przestańcie! - krzyknęła Gabriella. Schwyciła Jacka za rękę i zmusiła do opuszczenia latarki. - Jeśli będziemy działać zgodnie, zdążymy.

Ostrożnie przeszli między czaszkami i szkieletami. Posuwali się naprzód, oddychając ubogim w tlen powietrzem.

Po dwudziestu minutach marszu spostrzegli w ścianie wąską szczelinę, w której znajdował się szkielet w pozycji siedzącej. Na kościach wisiały resztki okrycia, a na kolanach leżała włócznia i brązowa tarcza z Gwiazdą Dawida oraz pięcioma hebrajskimi literami.

Gabriella spojrzała na inskrypcję.

- To wojownik izraelickiego plemienia Naftali. Być może to członek straży wystawionej przez Jozuę przy grobie Mojżesza.

- Chodźmy - powiedział przejęty Sorenson.

Minęli szczelinę i znaleźli się w wapiennym holu. Nie było tam nietoperzy, szkieletów ani żadnych widocznych oznak ludzkiego czy zwierzęcego życia. Nogi uginały się pod nimi, a brak tlenu powodował zawroty głowy.

Sorenson oświetlił jakąś wyrwę w ścianie i poleciwszy im zostać w miejscu, wszedł do środka. Usłyszeli podejrzany hałas i po chwili pojawił się Sorenson w rozerwanych spodniach i z przeciętym policzkiem.

- Podłóżę opada pod kątem pięćdziesięciu stopni - wysapał. - Straciłem równowagę. Tam są resztki stopni wyłobionych przez wodę. Idźcie bokiem, patrzcie pod nogi i trzymajcie się ściany.

Z trudem utrzymali równowagę, co chwila ślizgając się na mulistych skałach, ale doszli do chłodnej komnaty o nieregularnych glinianych ścianach. Sorenson włączył reflektor i zobaczyli brązową trumnę, w której spoczywał ubrany w purpurę szkielet. Obok stał owalny kosz upleciony z palmowych liści i zapieczętowany czerwonym woskiem.

Gabriella delikatnie go uniosła, odwróciła pieczęć do światła i zobaczyła hebrajskie

litery.

- MSM - powiedziała stłumionym głosem. - W biblijnym hebrajskim oznaczają Mojżesza. Martinie, daj mi nóż.

Wstrzymując oddech przyłożyła ostrze do pieczęci. Nagle poczuli podmuch wiatru i ruchy ziemi pod stopami.

- A to co? - zapytał Jack.

- Góra z tunelami i jaskiniami reaguje jak stara kopalnia. Wszystko tu może runąć bez żadnego ostrzeżenia.

Przecięła pieczęć, otworzyła kosz i zajrzała do środka.

Przez chwilę stali bez słowa, przypatrując się przepięknie zdobionej szkatułce z brązu.

- No, wyjmuj - ponaglał Sorenson.

Podniosła szkatułkę do światła. Na wieczku znajdowała się płaskorzeźba przedstawiająca dwa lwy Judy. Otworzyła je i ostrożnie wyjęła owinięty w purpurę papirus.

- Nie! - krzyknął Sorenson, chcąc ją powstrzymać.

Jack złapał go za rękę.

- Spokojnie, Martin!

- Powietrze! - Głos mu drżał, a oczy płonęły wściekłością. - Papirus się rozleci.

Gabriella pokręciła głową.

- Nie ma obawy - uspokoiła go. - W Egipcie budowano z niego łodzie.

Sorenson ciężko oddychał.

- Masz rację. Przepraszam.

Podeszła do płaskiego kamienia i z największą ostrożnością rozwinęła poślizki arkusz. Miał dwadzieścia na trzydzieści pięć centymetrów i zapisany był pochyłym pismem.

- Czysty biblijny hebrajski - powiedziała stłumionym głosem.

Wyciągnęła pióro i przetrząsała kieszenie w poszukiwaniu kawałka papieru.

- Pisz po drugiej stronie - Jack podał jej mapę.

Gabriella nachyliła się nad papirusem.

- Możesz odczytać? - zapytał Sorenson.- Zdania układają się logicznie - pokiwała głową. - Nie są zaszyfrowane.

Zaczęła pisać po angielsku, co chwila porównując z tekstem hebrajskim.

Na miejscu wód w Meribah-Kadesh usłyszałem głos Jahwe: Mojżeszu, synu Amrama, zstąp do ludu i powtórz im ostatnie słowa waszego Boga.

Zapatrzeni i zasluchani zapomnieli o upływającym czasie.

Wysłuchałem słów Boga. I poruszyły moją duszę. I w niej pozostały.

I ku mej bolesti popadłem w grzech zwątpienia. Albowiem znaczenie słów Pana napawało mnie strachem. I nie powtórzyłem ich ludowi memu. A Pan ukarał mnie za samowolę. I w skrusze dnia ostatniego wysłałem Itamara z kamienną tablicą do Megiddo. Pozwoliłem mu zaznać spokoju w naszym dawnym królestwie Ebla. Spojrzałem w przyszłość i zobaczyłem, że moje słowa odnajdą prawi ludzie o czystych sercach. Zatem w tej jaskini wieczności, na pogańskiej ziemi Moaba, w godzinie śmierci zapisuję ostatnie słowa Boga, żeby przetrwały na wieki.

Gabriella odłożyła pióro i otarła pot z twarzy. Roztarła prawą rękę, zaczerpnęła oddechu i znów nachyliła się nad papirusem. Po chwili intensywnej koncentracji podniosła głowę i powiedziała łagodnym głosem:

- I tu następują słowa Jahwe.

Wytarła spoconą dłoń o udo, wzięła pióro i zaczęła pisać.

Musiało dojść do tego, że ja, twój Pan, utraciłem cię. Bo z miłości do człowieka obdarzyłem go umysłem i wybrałem spośród innych stworzeń. Jednak to błogosławieństwo uczyniło go niedoskonałym i zasiało w nim ziarno zepsucia. Od czasów Adama, istoty, którą stworzyłem na swój obraz i podobieństwo, dar mądrości został zaprzepaszczony. Człowiek poświęcił ducha w imię materii. Odtąd jego wiedza zamieniła się w przebiegłość. Nie przestrzega moich przykazań, a z poczuciem winy za swoją samowolę szuka odkupienia w paleniu ofiar i rytualnych modlitwach kapłanów.

Przerwała i ponownie rozprostowała palce.

Niech wiedzą, że kapłani nie mogą rozgrzeszać ich wykroczeń. Śmiertelnik nie może w moim imieniu ofiarować zbawienia śmiertelnikowi.

I powiedz to kapłanom: Choć odziewają się w purpurę i stają na wyniosłych ołtarzach, nie mają żadnej mocy. Powinni tylko uczyć mych praw. Nie potrafią uzdrawiać ludzi, ani przebaczać im grzechów. Ponieważ grzechy zalegają w duszy człowieka, a w niej mieszkam tylko ja i nikt inny. Nie w świątyniach, nie w relikwiarzach, nie w ołtarzach, lecz jedynie w zwierciadle swej duszy zobaczyć może człowiek prawdę o życiu. I choć stał się istotą

niedoskonałą, nadal posiada wolność wyboru. I jeśli dokona słusznego wyboru, dostąpi zbawienia i mojej miłości.

Zadrzały gliniane ściany i uniosły się tumany kurzu.

Gabriella ostrożnie zwinęła papirus i wsadziła z powrotem do brązowej szkatułki. Potem złożyła mapę z angielskim tłumaczeniem i schowała do kieszeni. Była przejęta i wzruszona.

- Teraz już wiemy, dlaczego wielki prorok nie ujawnił ostatnich słów Stwórcy. Tylko dzięki swej kapłańskiej mocy wodził biedaków przez czterdzieści lat, aż w końcu uwierzyli w Boga. W owym czasie kapłani mieli władzę nad życiem i śmiercią. Mojżesz nie mógł dopuścić, żeby te prymitywne plemiona wierzyły w Boga kiedy chcą i jak chcą.

Spojrzała w stronę kosza, ale Sorenson powiedział:

- Daj, ja wezmę szkatułkę.

- Ona ją znalazła. Ona przetłumaczyła. I ona będzie niosła - zaprotestował Jack.

- A jak nas zatrzyma jordańska policja? Chcesz, żeby u niej znaleźli szkatułkę?

- Wtedy nie będzie ważne, kto ją trzyma. Zgarną nas wszystkich.

- Jack, to nie ma znaczenia. Jeśli Martin chce, niech ją niesie - powiedziała Gabriella.

- Chcę, żebyś ty ją trzymała! - polecił Jack.

- Czego się obawiasz? - zapytał Sorenson.

- Niczego się nie obawiam, ale musimy trzymać się pewnych zasad. Gabriella ma oddać papirus do rąk własnych Barzaniemu.

- Mylisz się, Jack. Jeśli uda nam się wrócić bez szwanku, powiemy Barzaniemu, że niczego nie znaleźliśmy.

Gabriella spojrzała zaskoczona.

- Dlaczego mielibyśmy kłamać?

- Izrael nie będzie chciał ujawnić tego papirusu - odpowiedział Sorenson. - Myślicie, że ortodoksyjni rabini zgodzą się ogłosić, że ich wielki Bóg Jahwe nie tylko opuścił człowieka, ale i odmówił kapłanom mocy? Te słowa nigdy nie ujrzałyby światła dziennego. A ja mam kontakty i możliwości zorganizowania wystawy.

- Mamy już przyrzeczone prawa do wystawy.

- Nie kłóć się - powiedział ze złością Sorenson. - Wiem co mówię. Oni są w stanie zniszczyć rękopis, aby treść nie dotarła do publicznej wiadomości. - Przerwał. Jego głos nabrał patetycznego tonu. - Musicie zrozumieć, że moim posłaniem jest ujawnienie ludzkości ostatnich słów Boga.

- Tobie nie chodzi o posłanie, tylko o zapewnienie sobie nieśmiertelności - krzyknął Jack. - Tego samego pragnął Hamilton.

Sorenson otarł pot z nad górnej wargi.

- Nie porównuj mnie do Hamiltona.

- Niby dlaczego? - zapytał spokojnie Jack. - Macie wiele wspólnych cech. Niepotrzebnie go zabiłeś. Moglibyście razem prowadzić interesy.

- Nie prowadzę interesów z mordercami.

- Jak to nie? A co robiłeś przez całe życie? To ty dobiłeś targu z Syryjczykami, a potem posądziłeś o to Hamiltona. Claudon sprzedał ci coś więcej niż trójkąt. Powiedział ci, co on naprawdę zawiera. Dlatego zapłaciłeś mu dodatkowo sto pięćdziesiąt tysięcy. A za kilka tygodni pojechałeś do Damaszku i dogadałeś się z syryjskim wywiadem.

- Zapłaciłem za trójkąt ćwierć miliona, bo uważałem, że jest tyle wart. - Otarł dłonią usta. - A do Damaszku pojechałem dla dobra nauki. Chciałem namówić Syryjczyków do ponownego rozpoczęcia wykopalisk w Ebla.

- Lepiej, żebyś się tak nie troszczył o dobro nauki. Chciałeś mieć na własność tabliczkę, więc dogadałeś się z Syryjczykami. Potrzebowałeś ich pomocy i akceptacji. Ale chciwość osłabiła twój intelekt. Źle oceniłeś syryjską mentalność. Dawalesz im i grę, i zawodników, więc musieli się zgodzić.

- Niczego źle nie oceniłem. Hamilton mnie zdradził.

- Sam się zdradziłeś! Hamilton nie miał z Syryjczykami nic wspólnego. Przed śmiercią Laury nie znał prawdziwej wartości trójkąta. Dowiedział się dopiero pod koniec października od Gabrielli. Wtedy zaproponował pieniądze na wykopaliska w Megiddo.

- Ale Emory wiedział o trójkącie przed śmiercią Laury.

- Emory miał we wszystkim niewielki udział. Może i powiedział Hamiltonowi, że zdobyłeś ciekawy artefakt, ale to było wszystko, co wiedział. Hamilton bał się Syryjczyków jeszcze długo po śmierci Laury, dlatego do Rzymu wysłał Claudona. Tylko ty wiedziałeś o wszystkim, a odkąd zaczęłaś współpracować z Syryjczykami, Laura znalazła się w niebezpieczeństwie. To tak, jakbyś ty sam pociągnął za spust.

- Pomściłem jej śmierć! - krzyknął Sorenson. - Pomściłem.

Jego głos odbił się echem po tunelach. Gabriella patrzyła z przerażeniem, jak rozwścieczeni gotowi byli skoczyć sobie do gardła.

- To się nie klei - odparł spokojnie Jack. - Przecież ty sam dałeś Syryjczykom powód do zabicia Laury. I gdyby Jenny była wtedy w domu, też by ją zabili.

- Ty pieprzony sukinsynie! - Oczy Sorensona wyrażały wściekłość. - Na wojnie

narażałem swoje życie, żeby tacy jak ty mogli bezpiecznie chodzić po ziemi.

- Narażałeś życie innych. Popeliłeś błąd, Martin, fatalny błąd. Ale twoje ego nie jest w stanie spojrzeć prawdzie w oczy. Chciałeś grać rolę zwiastującego anioła, a doprowadziłeś do śmierci wielu ludzi.

W komnacie powiał wiatr. Przez szpary w podłożu sypał się piasek.

Sorenson zacisnął zęby. Na twarz wystąpiły mu kropelki potu.

- Uratowałem ci życie! - wrzasnął.

Jack pokręcił głową.

- Chroniłeś nie mnie, tylko Gabriellę, bo jej potrzebowałeś.

Na twarzy Sorensona pojawił się niebezpieczny uśmiech.

- Jakie to ma teraz znaczenie? - zapytał bezbarwnym głosem. - Mam słowa Boga.

Spojrzał na nich i wyciągnął długi nóż. W tym momencie Jack rzucił się na niego, powalając go na piasek.

Tarzali się w pyle, a każdy próbował znaleźć się na wierzchu.

Sorenson wbił lewy łokieć w gardło Jacka i zdołał uwolnić prawą rękę z nożem. Jack nie zdążył się odwrócić i ostrze przecięło mu twarz, osuwając się aż do ramienia. Pod koszulą poczuł krew.

Sorenson nieco się uniósł i uklęknął mu na piersi. Podniósł rękę z nożem, lecz w tym momencie Jack złapał garść piasku i rzucił mu w twarz.

Sorenson zaczął się krztusić, a Jack wywinął się z jego uścisku, wymierzając silny cios w splot słoneczny. Doktor zwinął się z bólu, ale nie wypuścił noża. Kopnął Jacka kolanem w krocze, a potem złapał go za włosy i przyciągając jego głowę, przyłożył mu nóż do gardła.

Gabriella podniosła latarkę i z całej siły uderzyła Sorensona w potylicę. Zachwiał się, puścił Jacka, odwrócił i rzucił się na Gabriellę. Upadła na ziemię rozcinając sobie policzek.

Sorenson, z nożem w dłoni, dopadł znów Jacka, ale w tym momencie podłoże zatrzęsło się i skały zaczęły pękać.

Sorenson krzyknął i zniknął im z oczu.

Jack podczołgał się do miejsca, gdzie rozwarła się ziemia, i zajrzał w otchłań.

Spojrzał na Gabriellę. Siedziała na ziemi, trzymając się za policzek, z którego ciekła strużka krwi.

Włączył reflektor i znów podczołgał się do brzegu wyrwy. Skierował w głąb rozpadliny strumień światła i zajrzał do środka.

Na dnie leżał martwy Sorenson z otwartymi oczami pełnymi strachu. Ze spływającej

krwią dziury w brzuchu sterczał grot włóczni.

Jack poruszył reflektorem.

- O mój Boże... - szepnęła Gabriella.

Światło padło na szyderczo uśmiechniętą twarz bożka zła - Pazuzu.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY CZWARTY

Dwie godziny później, kiedy wychodzili z jaskini, na niebie wschodziło słońce. Przed nimi rozciągała się pustynia, a na zachodnim horyzoncie widać było cienką smużkę Morza Martwego. Wokół panowała cisza.

W świetle dziennym zbrocze, po którym mieli zejść, wydawało się mniej groźne. Tym niemniej Jack posuwał się bardzo ostrożnie, uważnie stawiał stopy na występach skalnych i polecił Gabrielli robić dokładnie to samo.

Z ulgą dotarli do dwóch głązów zasłaniających jeepa.

Jack usiadł za kierownicą. Gabriella zajęła miejsce obok, trzymając na kolanach szkatułkę. Jack przekręcił kluczyk w stacyjce.

- Módl się - uśmiechnął się, gdy zaczął pracować silnik.

Spojrzał na pasmo gór spowitych purpurą. Jeśli jordańska straż graniczna zauważy kłęby kurzu, patrol nadjedzie właśnie stamtąd.

Oświetlone wschodzącym słońcem granitowe skały nabrały bursztynowego koloru. Gorący wiatr uderzał w przednią szybę jeepa.

- W schowku są papierosy - Jack przekrzykiwał warkot silnika. - Zapal mi.

Podala mu żarzącego się papierosa. Wziął go lewą ręką i skrzywił się z bólu. Przypomniawszy sobie zranione ramię.

Gabriella zauważyła kropelki potu ściekające mu z czoła na policzek. Co chwila spoglądał w lusterko wsteczne. Milczał i zdawał się być nieobecny, pograżony w myślach.

- Co ci jest?

- Nic.

Położyła szkatułkę obok siebie i przysunęła się do niego.

- Powiedz.

- Nie wiem, do diabła. Bez przerwy chodzą mi po głowie te słowa. Słowa Boga.

Spojrzał na południe i zauważył unoszące się nad pustynią wielkie tumany piasku. Gdy podłoże zrobiło się twardsze, dodał gazu.

- Nie jestem przekonany, czy mamy prawo je ujawniać.

- Dlaczego? - Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Jak powiedzieć ludziom, że są niedoskonalni, a księża nie mają mocy, aby odpuszczać

im grzechy. Że kościoły, świątynie, relikwie nie są do niczego potrzebne.

- Gdzie w tekście jest tak napisane?

- *...jedynie w zwierciadle swej duszy zobaczyć może człowiek prawdę o życiu. Śmiertelnik nie może w moim imieniu rozgrzeszać śmiertelnika. Znaczenie tych słów wydaje się jasne. Pozbawia ludzkość nadziei.*

- Nadziei na co?

- Na ostateczne zbawienie.

Siła wiatru wzmagała się z każdą chwilą. Słońce straciło swój blask.

- To twoja opinia i szanuję ją - powiedziała.

- Ale się nie zgadzasz?

- Ani trochę. Przeciwnie, uważam, że słowa budzą nadzieję: *I jeśli dokona słusznego wyboru, osiągnie zbawienie i moją miłość.* Znaczenie tych słów usuwa hipokryzję religii i nieumiejętne korzystanie z rozumu. Gdyby ludzie znali ten tekst trzy tysiące lat temu, być może nie wisiałaby nad naszymi głowami groźba wojny nuklearnej.

- I nie masz żadnych dylematów moralnych?

- Nie. Odkrycia rządzą się własną logiką. Wszystko, co poszerza ludzką wiedzę, jest moralne.

Powiew wiatru unosił ziarenka piasku, które rozbijały się o przednią szybę jeepa. Jack przymrużył oczy.

Gabriella wstrzymała oddech i wskazała na południe.

- Patrz!

Jack obejrzał się w lewo i wydał okrzyk przerażenia. Cała powierzchnia pustyni podnosiła się jakby przyciągało ją niebo. W ich kierunku sunęła ogromna fala piasku, mająca ponad trzysta metrów wysokości.

Obserwowali ją w pełnym strachu milczeniu.

Jack odciął dopływ paliwa, zatrzymał się i ustawił dźwignię biegów na stop. Ziarenka piasku uderzały ich po twarzach, ubrania furkotały na wietrze.

- Włącz radio! - krzyknął Jack. - Może uda nam się połączyć z Barzanim!

Wziął do rąk szkatułkę i z trudem zamienili się miejscami. Gabriella krzyczała coś po hebrajsku do mikrofonu.

Ogromna trąba piaszkowa zbliżyła się na niebezpieczną odległość i całkowicie zasłoniła słońce. Jack wysiadł z jeepa, pomógł wyjść Gabrielli i wciągnął ją pod samochód. Płasko leżeli na piasku, z głowami wciśniętymi w ramiona. Brązową szkatułkę Jack cały czas przyciskał do piersi.

Z całych sił zaciskali powieki. Jeep trząsał się niebezpiecznie nad ich głowami. Piasek ranił im twarz i ramiona. Wydawało się, że walczą o nich między sobą jakieś demoniczne siły.

Czas dłużył się niemiłosiernie. Każda sekunda wlokła się w nieskończoność.

Wreszcie zorientowali się, że zaczyna słabnąć. Nad jeepem wyłonił się promień słońca. Jack podniósł głowę i spojrział za oddalającym się tumanem piasku. Nie wypuszczając z rąk szkatułki, wyczołgał się spod samochodu.

Nagły podmuch zmusił go do przytrzymania się samochodu. Gabriella poszła w jego ślady. Siedzieli w półmroku i obserwowali, jak wielka trąba wiruje w miejscu, znów nabierając mocy.

Mieli popękane usta, huczało im w uszach, zaschło w gardłach.

Z niedowierzaniem patrzyli na straszliwe zjawisko. Znów zadrżała ziemia i zniknęło słońce.

Na chwilę stracili panowanie nad ciałami. Jack wypuścił z rąk szkatułkę.

Gabriella krzyknęła i rzuciła się za nią. Jack złapał dziewczynę w ostatniej chwili, zanim huragan porwał ją ze sobą.

Przykrył ją swoim ciałem, choć szamotała się, próbując bić i drapać.

- Wypuściłeś ją! - krzychała. - Wypuściłeś!

Nie zwalniał uścisku.

Po jakimś czasie wielka trąba powietrzna oddaliła się na dobre w kierunku góry Nebo. Stopniowo cichł wiatr.

Jack pomógł Gabrielli wstać. Próbowała złapać oddech, łzy ciekły po jej zakrwawionej twarzy.

- Wypuściłeś ją, tak? - łkała.

- Pismo głosiło, że ostatnie słowa Boga mają dostać się w ręce ludzi o „czystych sercach”. Cóż, żadne z nas nie jest święte. Ja chciałem zemsty, Sorenson nieśmiertelności, a ty satysfakcji z dokonanego odkrycia. Nie byliśmy godni.

- Powiedz szczerze - mówiła ciężko dysząc - wiatr ci ją zabrał, czy sam wypuściłeś?

- Nie wiem - westchnął. - I tak naprawdę, wcale nie chcę wiedzieć.

Patrząc w jego oczy Gabriella przypomniała sobie słowa Boga: *Jedynie w zwierciadle swej duszy zobaczyć może człowiek prawdę o życiu*. Jeśli wypuścił szkatułkę, widocznie takie było życzenie Boga.

Delikatnie otarł piasek z jej policzka.

- Być może znaleźliśmy coś ważniejszego, czego nigdy nie utracimy - powiedział.

Przytaknęła niemal odruchowo. Objął ją ramieniem i powoli wrócili do jeepa. Zapalił silnik i, mijając Morze Martwe, popędzili w stronę Izraela.

*

Brazowa szkatułka niesiona przez trąbę powietrzną wirowała nad pustynią, aż znów, na wieki wieków, spoczęła w górze Nebo...